

MISJA:
PRZETRWANIE

BEAR GARYLLS

WILCZY SZLAK



BESTSELLEROWA POWIEŚĆ
DLA MŁODZIEŻY



MISJA:
PRZETRWANIE

BEAR GRYLLS

WILCZY SZLAK

Pascal

Copyright © Bear Grylls 2001, 2005, 2007, 2008, 2009, 2010, 2011

Translation copyright © Wydawnictwo Pascal 2011. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment niniejszej publikacji nie może być reprodukowany, przechowywany, bądź rozpowszechniany w żaden sposób (w formie elektronicznej, mechanicznie, kserograficznie lub w jakiegokolwiek innej postaci) bez uprzedniej zgody wydawcy.

Tytuł: *Misja przetrwanie: Wilczy szlak*

Tytuł oryginalny: *Mission Survival: Way of the Wolf*

Autor: *Bear Grylls*

Tłumaczenie: *Arkadiusz Belczyk*

Redakcja: *Ewa Kosiba*

Korekta: *Dorota Dąbrowska*

Projekt graficzny okładki: *Panczakiewicz Art.Design*

Redaktor prowadzący: *Agnieszka Marekwicka*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Zdjęcie na okładce: *Discovery (s. 4; okładka przód), Dreamstime.com (ilustracja; okładka przód)*
Shutterstock.com (okładka przód, tył)

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

www.pascal.pl

Bielsko-Biała 2014

ISBN 978-83-7642-515-3

eBook maîtrisé par [Atelier Du Châteaux](#)

O AUTORZE



Bear Grylls od zawsze kocha przygody. Alpinista, odkrywca, ma czarny pas w karate. Przeszedł szkolenie w brytyjskich oddziałach specjalnych SAS, gdzie nauczył się sztuki przetrwania. W wieku 21 lat przeżył ciężki wypadek podczas skoku spadochronowego – złamał kręgosłup w trzech miejscach. Mimo to po dwóch latach rehabilitacji zrealizował swe dziecięce marzenie i jako najmłodszy Brytyjczyk w historii stanął na szczycie Mount Everestu. Wyczyn ten odnotowano w Księdze rekordów Guinnessa. Jest znany dzięki swym fascynującym wyprawom oraz z programu telewizyjnego Szkoła przetrwania prezentowanego na kanale Discovery Channel.

*Mojemu najstarszemu synowi Jessemu,
niezwykłemu chłopcu.*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Awionetka pełzła po niebie niczym owad po obrusie.

Daleko w dole Beck Granger ujrzał kolorową mozaikę alaskich pustkowi. Pora roztopów niemal zupełnie ustąpiła już wiośnie. Nie tak dawno cały krajobraz pokrywała jednolita, śnieżnolodowa powłoka. Teraz oczom chłopca ukazały się jodły, trawa i mech, przeplecione strumieniami i rzekami o krystalicznie czystej wodzie – niekończące się polacie o różnych odcieniach zieleni, zszyte w jedną całość cienkimi srebrnymi nitkami.

Beck przycisnął nos do szyby i przez chwilę obserwował mglisty zarys wirującego śmigła. Znajdował się na pokładzie lekkiego, jednoskrzydłowego samolotu Cessna 180, który – jak objaśnił siedzący obok pilota wuj Al – wykorzystywano do najcięższych prac na dalekiej Północy. Optywowy kadłub kształtem przypominał grubą rybę. Przestronna sześćoosobowa kabina tym razem mieściła zaledwie trzech pasażerów, nie licząc pilota. Tylnie siedzenia zajmowały bagaże i ekwipunek.

Wszyscy na pokładzie mieli na uszach duże, wyścielane słuchawki. Bez nich rozmowa byłaby niemożliwa z uwagi na przeraźliwy warkot silnika. Mimo to wibracje maszyny zamieniły żółdek chłopca w bęben wirującej pralki.

Wtem w słuchawkach rozległ się szum, co oznaczało, że za chwilę odezwie się pilot.

– Przedłużam czas lotu o godzinę.

Pilotem była wesoła, krępa kobieta w średnim wieku, której rysy zdradzały, że pochodzi z tych terenów.

– Przed nami fatalna pogoda. To zbyt wielkie wyzwanie dla naszego samolociku. Muszę ominąć te góry.

Gdy tylko ucichł szum interkomu, samolot zaczął się przechylać.

– Dobra – zawołał Beck, ale ponieważ zapomniał włączyć mikrofon, jego głos utonął w ryku silnika.

Samolot wykonał zwrot, ukazując pasażerom widok na góry. Beck chłonął ich potęgę spojrzeniem pełnym respektu. Odwilż dotarła tu jedynie do niższych partii – być może wyżej śnieg nigdy nie topnieje. Również drzewa porastały tylko dolną część stoków, tworząc postrzępioną

linię graniczną z nagimi, skalnymi szczytami, otulonymi cienką warstwą śniegu i lodu. Wyglądało to tak, jakby w początkowej fazie wypiętrzania się górskie masywy otrzepały się z roślin.

Góry przykrywała ciemna, spiętrzona chmura burzowa, niczym potwór pożerający skalne grzbiety. Była to prawdziwa, nieokiełznana siła natury i Beck rozumiał już, dlaczego pani pilot nie chciała podejmować ryzyka w tak małym samolocie. To tak, jakby człowiek miał się zmierzyć z napotkanym w lesie niedźwiedziem. Nie trzeba kusić losu, lepiej omijać niebezpieczeństwo i po prostu dalej żyć.

W słuchawkach ponownie rozległ się szum i głos pilota.

– Dobra wiadomość, burza oddala się, ale nie chciałabym jej dogonić. Trochę opóźni nas ten okrzęzny lot. Mam nadzieję, że Anakat jest tego wart.

– Na pewno – stwierdził z przekonaniem wuj Al. – Proszę mi zaufać.

Celem wyprawy była wioska Anakat, położona nad Morzem Beringa, na zachodnim wybrzeżu Alaski.

– Byłam tam raz czy dwa – ciągnęła kobieta za sterami samolotu. – Podtrzymują tam wielowiekowe tradycje ustnego przekazu. Potrafią bez zająknięcia wyrecytować całą swą historię. Znają te ziemie na wylot.

– Nie mogę się doczekać tego spotkania – powiedział wuj Al, po czym odwrócił się, puszczać oko do siedzącego za nim Becka, a ten uśmiechnął się w odpowiedzi. Oba wiedzieli, że nie lecą na zwykłą wycieczkę.

Wuj Al nie jeździł na zwykłe wycieczki. Każda z jego podróży miała określony cel. Dla reszty świata był to sir profesor Alan Granger – archeolog znany z występów w programach telewizyjnych oraz z ogromnego zainteresowania ochroną przyrody. Nieżyjący już rodzice Becka zabierali go swego czasu na wyprawy po całym świecie, organizowane przez Jednostkę Zieloną, działającą na rzecz ochrony środowiska. Teraz Al z zapałem kontynuował pracę swojego młodszego brata, ojca Becka.

– Oczywiście nie mam nic przeciwko programom edukacyjnym w szkołach – powiedział kiedyś Beckowi. – Ale w ten sposób nauczysz się znacznie więcej.

Było to, jak przypomniał sobie chłopiec, podczas wyprawy do odległych rejonów Australii, gdzie mieli zamieszkać wśród Aborygenów.

Beck ponownie przykleił nos do szyby. Choć z pozoru wszystko tu wyglądało inaczej niż spalona słońcem pustynia Australii Zachodniej, coś łączyło oba światy. Była to wszechpotężna Matka Natura – piękna, ale jednocześnie surowa i nieprzyjazna. To ona ustanawiała prawo. W takich warunkach przypadkowy człowiek zginąłby marnie.

Co innego człowiek odpowiednio przygotowany. Taki ktoś może żyć w harmonii z tutejszą przyrodą, nie pragnąc niczego więcej – jak Inuici, od tysięcy lat zamieszkujący dzięki pustkowia dalekiej Północy, od Alaski aż po Grenlandię. W ich świecie niezmiernie ważną rolę odgrywały kultura i tradycja, przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie – jak w Anakacie. Tego nie można wyczytać z książek ani Internetu – to po prostu trzeba przeżyć.

Beck z wujkiem Alem przylecieli z Londynu do Seattle dużym, wygodnym samolotem pasażerskim. Supernowoczesne lotnisko Seattle-Tacoma lśniło czystością, przypominając raczej miasteczko z ery kosmicznej. Stamtąd udali się mniejszym i bardziej zatłoczonym samolotem do Anchorage, by wreszcie zająć miejsca na pokładzie malutkiej cесny i odbyć czterogodzinny lot nad dzikim, niezmienionym od tysięcy lat krajobrazem. Po każdym etapie podróży Beck czuł, jak gdyby zrzucił niepotrzebny balast – kolejną warstwę dwudziestego pierwszego wieku.

Ktoś pociągnął go za rękaw. Beck odwrócił się od okna do siedzącego obok trzeciego pasażera samolotu – najbardziej zapalonego entuzjasty dwudziestego pierwszego wieku.

Trzynastoletni Tikaani był rówieśnikiem Becka i choć mówił po angielsku z czystym amerykańskim akcentem, rysy twarzy oraz lśniące ciemne włosy od razu zdradzały jego pochodzenie – należał do jednego z ludów inuickich zwanych Anakami. Co więcej, był synem wodza Anakatu, człowieka patrzącego w przyszłość, który pewnego dnia stwierdził, że izolacja wioski nie może dłużej trwać. Ktoś musiał opuścić osadę, by zobaczyć, jak się żyje w cywilizowanym świecie. Wybrano więc Tikaaniego i wyekspediowano go do szkoły w Anchorage. Tam też po wylądowaniu wuj Al otrzymał wiadomość od znajomych z Anakatu z prośbą o zabranie chłopca do wioski.

Zamiast skorzystać z interkomu, Tikaani przysunął się do ucha Becka, odchylił słuchawkę i krzyknął:

– Na co patrzysz?

Beck odpowiedział w ten sam sposób, przechylając głowę w kierunku kolegi.

– Podziwiam krajobraz! – krzyknął. – Jest niesamowity.

– Aha – Tikaani wyciągnął szyję, by spojrzeć przez okno, uprzejmie udając zaciekawienie. W rzeczywistości widywał to wszystko niemal każdego dnia.

– Taak – zamachał cienkim iPodem w srebrzystej plastikowej obudowie, który pożyczył od Becka w Anchorage. – Jak się w tym włącza odtwarzanie losowe?

Beck z trudem powstrzymał się, by nie przewrócić oczami. Zamiast tego delikatnie zabrał iPoda z rąk Tikaaniego i pokazał mu, jak się przewija opcje na ekranie.

– Dzięk!

Tikaani wrócił na swoje miejsce. Cienkie przewody iPoda zniknęły pod grubymi słuchawkami. Beck uśmiechnął się do swoich myśli i potrząsnął głową. Plan zapoznania Tikaaniego z osiągnięciami nowoczesnej cywilizacji powiódł się aż zanadto. Beck podejrzewał, że gdyby tylko młody Anak mógł to zrobić, pewnie z radością porzuciłby cały bagaż kultury i tradycji swego ludu.

Wkrótce zresztą miała się ku temu nadarzyć okazja. Świat Tikaaniego czekała zmiana tak radykalna, że wyrastała nawet poza najśmielsze wyobrażenia jego ojca. Dwa lata temu geolodzy z międzynarodowej korporacji Lumos Petroleum odkryli pod Anakatem olbrzymie złoża ropy naftowej.

Oczywiście wydarzenie to wywołało szereg dyskusji w wiosce. Należało się bowiem zastanowić, jak zareagować na próby przesiedlenia mieszkańców, odebrania im ziemi przodków i zniszczenia tradycyjnego sposobu życia przez olbrzymi koncern naftowy, który na osłodę zaoferował każdemu Anakowi nowy dom z wszelkimi nowoczesnymi udogodnieniami oraz pieniądze na koncie bankowym, pozwalające na zakup nawet najdroższego modelu iPoda...

Beck wiedział, że Tikaani jest całym sercem za tą zmianą. Nie mógł się już doczekać przesiedlenia. Ale dla dorosłych mieszkańców Anakatu sprawa nie była taka prosta. Pieniądze oferowane przez Lumos znaczyły tyle co nic dla kogoś, kto i tak nigdy nie potrzebował zbyt wiele. Co innego tradycja i zwyczaje plemienne, które dla większości Anaków stanowiły bezcenną wartość, opierającą się wszelkim kalkulacjom księgowych z Lumosu.

Właśnie te wydarzenia przyciągnęły do wioski wuja Ala. Postanowił nakręcić film dokumentalny o tradycyjnym stylu życia w Anakacie. Jeśli wszystko miało się tu zmienić, przynajmniej pozostanie jakiś ślad nieistniejącego już świata. Co więcej, dzięki takiemu programowi ludzie poznaliby los wioski.

Nagle rozległ się potężny huk i samolot zachybotał. Beck kurczowo ścisnął podłokietniki fotela. Po chwili awionetka odzyskała równowagę. Silnik wciąż pracował prawidłowo. Tikaani siedział wyprostowany jak struna i z pobladłą twarzą patrzył przed siebie. Beck skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu. „O rany! Chyba trafiliśmy na turbulencje, i to jakie!”, pomyślał.

Nagle silnik zaczął się dławić i kaszleć, co znów wywołało gwałtowne drgania samolotu. I wtedy Beck ujrzał przez okno smużkę ciemnego dymu. Wydobywała się z silnika. Po chwili zamieniła się w paskudną, czarną chmurę, która coraz bardziej wypełniała lodowate powietrze za oknami cessny.

Samolot zaczął wyraźnie przechylać się na jedną stronę. I choć po chwili odzyskał równowagę, Becka oblał zimny pot. Cessna spadała, i to z dużą prędkością.

– Mamy awarię – jak dotąd uspokajający ton głosu pilota stał się chłodny, służbowy.

– Wysiadło podawanie oleju i silnik się przegrzewa. Ustawiam samolot dziobem w dół. Mam nadzieję, że w ten sposób powietrze ochłodzi silnik na tyle, by mógł na nowo zastartować.

„Mam nadzieję?!” – miał ochotę krzyknąć Beck. Jako pasażer spadającego samolotu chciałby usłyszeć coś bardziej konkretnego...

Szum w słuchawkach uciuchł i Beck słyszał teraz jedynie buzowanie własnej krwi. Silnik zgasł. Uciuchły wszelkie dźwięki, ustały wibracje. Ściągnął słuchawki. Na zewnątrz powietrze smagało kadłub samolotu.

Przez przednie okna widać było zbliżającą się ziemię. Beck usłyszał komunikat, wypowiadany opanowanym, choć nagłym tonem:

– Mayday, mayday, mayday, tu Golf, Mike, Oscar...

– Beck...

Beck ledwo słyszał. Wzrok miał wbity w zbliżające się drzewa. „To musiało wyglądać właśnie tak...”.

– Beck! – tym razem krzyk wuja Ala przywołał chłopca do rzeczywistości. – I ty, Tikaani.

Ten ostatni również patrzył przed siebie jak zahipnotyzowany. Al pstryknął palcami przed oczami Tikaaniego, by go wyrwać z transu.

– Natychmiast przyjmij pozycję ratunkową! Wiecie, jak wygląda.

Chłopcy spojrzeli po sobie, po czym bez słowa zgięli się wpół, objęli rękami kolana i czekali. Beck nie miał pojęcia, co w tej chwili chodziło po głowie Tikaaniewi, ale sam myślał gorączkowo.

„Teraz już wiem, co czuli mama i tata”.

Trzy lata wcześniej rodzice Becka lecieli podobną awionetką, która rozbiła się w dżungli. Samolot został odnaleziony, oni nie. Uznano ich za zmarłych.

Do tej pory Beckowi nie przyszło do głowy, że katastrofa lotnicza może trwać dłużej niż ułamek sekundy, a przecież spadający samolot nie od razu się rozbija. Siedząc na pokładzie, można tylko czekać i próbować nie myśleć o zbliżającej się ziemi...

Wtem ponownie rozległ się warkot silnika i zdecydowane ściągnięcie drążka sterowego poderwało samolot w górę. Siła ciężenia wcisnęła Becka w siedzenie, Tikaani wydał triumfalny okrzyk. Beck uniósł głowę, gdy poczuł, że maszyna wyrównuje poziom, ale w tej samej chwili tuż przed dziobem samolotu zobaczył drzewa.



ROZDZIAŁ DRUGI

Pamiętał zaledwie urywki tego, co się wydarzyło. Wirująca za oknami samolotu ziemia zlewająca się w rozmazaną całość, potworne uderzenie, jakby zadane pięścią olbrzyma, ból i hałas... A potem tylko ciemność.

„Żyje!” – to była pierwsza świadoma myśl Becka. Nie był nawet pewien, czy w momencie zderzenia stracił przytomność. Głowę chłopca przeszywał kłujący ból, ciało miał poranione i posiniaczone, ale najważniejsze, że było już po wszystkim, a on mógł oddychać.

Jęki tuż obok powiedziały mu, że przeżył także Tikaani. On również musiał na nowo pozierać cały swój świat w jedną całość.

– Jak się czujesz? – zapytał Beck.

W odpowiedzi Tikaani tylko jęknął i złapał się za głowę. Sposób, w jaki się poruszał, bez wrzasków i gwałtownych oddechów, oznaczał, że wszystkie kości miał całe.

Po chwili do Becka dotarło, że leżą przysypani drobnymi fragmentami samolotu, kawałkami pleksiglasu... i chyba jeszcze drewna.

Powoli uniośł głowę i spojrzał przed siebie.

Samolot wbił się w płataninę gałęzi i martwych, powalonych drzew. Uderzając o ziemię, jego przednia część roztrzaskała się na drobne kawałki, które spadły deszczem na pasażerów w środku.

– Wujku? – zapytał niepewnie Beck.

Al i pilot siedzieli na przednich miejscach, nieruchomo, z opadłymi głowami. Serce Becka przeszył lodowaty dreszcz – skoro najbardziej ucierpiała przednia część samolotu, to i ich życiu zagrażało największe niebezpieczeństwo. Wygramolił się ze swego fotela i nie zważając na ukłucia bólu, jakie odczuwał w całym ciele, powoli przesunął się na przód kabiny. Szybko powtórzył sobie w myślach cztery kluczowe elementy niezbędne przy udzielaniu pierwszej pomocy: „oddech, krwawienie, złamania, oparzenia”, następnie przyłożył dwa palce do szyi Ala, tuż obok jabłka Adama i... odetchnął z ulgą. Tętno było słabe, ale miarowe.

Teraz przyszła kolej na pilota. Beck chwycił kobietę za włosy, by odchylić głowę i odsłonić szyję. Tym razem nie wyczuł tętna. Spróbował ponownie, ale po chwili stracił nadzieję, bo zdał sobie sprawę, że jej ciało robi się coraz zimniejsze. Rad nierad, wyciągnął głowę nieco bardziej

do przodu, by sprawdzić, co się stało. W wyniku uderzenia samolotu o ziemię drążek sterowy przechylił się z całą siłą do tyłu i uderzył kobietę w pierś, co prawdopodobnie spowodowało natychmiastową śmierć.

Panel sterowania był kompletnie zniszczony. Radio nie nadawało się do nawiązania łączności ze światem – została z niego jedynie płatanina kabli.

Po chwili Beck nachylił się nad Alem – nogi wujka były pokryte czerwonymi plamami. Tuż nad kolanem ziała głęboka rana, z której cały czas sączyła się krew. Trzeba było szybko zatamować krwawienie.

Oczy Tikaaniego były szkliste – najwyraźniej wciąż nie dotarło do niego, co się stało. Beck pomyślał nagle z przerażeniem, że chłopiec mógł doznać wstrząsu mózgu. Nawet przy braku obrażeń wewnętrznych i złamanych kości uszkodzenie mózgu mogło go zabić.

Pamiętał lekcje pierwszej pomocy podczas szkolenia kadetów, w którym niegdyś uczestniczył.

– Panowie, istnieją cztery podstawowe objawy wstrząsu mózgu – instruktor przemierzał salę tam i z powrotem, wyrzucając z siebie słowa niczym pociski z karabinu. – Rozkojarzenie! Problemy z pamięcią! Brak koncentracji! Zaburzenia neurologiczne! Proszę powtórzyć, panie Granger.

– Eee – wyjąkał zaskoczony Beck.

Instruktor uśmiechnął się szyderczo.

– Utrata pamięci lub rozkojarzenie, a może po prostu brak koncentracji. Panowie, pan Granger właśnie doznał wstrząśnienia mózgu. Fatalnie się zaczyna...

Teraz Beck naprawdę potrzebował pomocy Tikaaniego i miał wielką nadzieję, że z chłopcem jest wszystko w porządku. Musiał to natychmiast sprawdzić. Przysunął się więc do niego i ujął go za głowę, by przyrzeć jego oczom. Żrenice miały tę samą wielkość – dobry znak. Na tym polegało pierwsze rozpoznanie zaburzeń neurologicznych.

– Jak się nazywasz? – pytanie sprawdzające zdolność kojarzenia.

– Eee... Tikaani...

Teraz koncentracja:

– Wymień od tyłu miesiące w roku, zaczynając od grudnia.

– Eee... – twarz chłopca zmarszczyła się z wysiłku. – Grudzień... listopad... wrz... nie, październik...

– Wystarczy – Beck puścił głowę Tikaaniego. – Zamknij oczy i dotknij nosa. To kolejny etap badania neurologicznego.

Tikaani wykonał polecenie bezbłędnie i bez wysiłku, a potem otworzył oczy i dźgnął Becka w nos. Beck uśmiechnął się blade. Wydawało się, że wszystkie procesy myślowe Tikaaniego przebiegają właściwie.

– OK, nic ci nie jest – odetchnął z ulgą. – Musimy wyostać stąd wujka Ala. Zobaczmy, co jest na zewnątrz.

Aby się dostać do wyjścia, Beck musiał się precyzyjnie obok wuja. Drzwi ani drgnęły. Naparł mocniej, ale wkrótce stało się jasne, że blokowały je od zewnątrz zarośla. Drzwi od strony pilota również zaklinowały się na dobre. Z samolotu można się było wydostać tylko przez rozbity, przednią szybę.

Beck powoli wygramolił się przez okno i stanął na kadłubie. Gdy tylko wydostał się z ciasnej kabiny, poczuł przenikliwy, zimny wiatr. Przypomniawszy sobie, że wszyscy zabrali płaszcze – teraz będą im bardzo potrzebne. Rozejrzył się wokół, próbując zorientować się w terenie.

Samolot był do połowy zakopany w płataninie obumarłych zarośli. Znajdowali się na skraju niewielkiej polany otoczonej tundrą i karłowatymi sosnami. Wokół wyoranego w ziemi rowu leżały rozrzucone szczątki maszyny. Podwozie odpadło pod wpływem uderzenia, a ze skrzydeł pozostały poszarpane kikuty. W stygnącym silniku coś pykało.

Z dołu dobiegło gwizdanie. Tikaani wychylił głowę przez rozbite okno, obejmując spojrzeniem obraz zniszczenia, po czym wyjął niewielką, zieloną skrzynkę.

– Znalazłem apteczkę.

– Świetnie, dzięki.

Beck ponownie zanurkował do samolotu.

– Pomóż mi zająć się wujkiem Alem.

Martwa kobieta w kabine wciąż siedziała przypięta do siedzenia pilota. Beck spojrzął na nią jakby przepraszająco. Nie wypadało jej tak po prostu zostawić, przykrył więc ciało znalezionym obok kocem gaśniczym. Teraz obaj chłopcy mogli skupić całą uwagę na Alu.

Odpięcie pasów poszło sprawnie, ale potem trzeba było, możliwie jak najdelikatniej, wyciągnąć dorosłego mężczyznę z samolotu przez wąski otwór, który kiedyś wypełniała przednia szyba.

Dziób cessny był stanowczo za mały, by położyć na nim Ala. Z kolei na ziemi leżało zbyt wiele połamanych gałęzi. Musieli go jakoś wynieść na grzbiet samolotu. Najpierw razem przewrócili nieprzytomnego mężczyznę na plecy, następnie Tikaani został w kabine, by go pchać, podczas gdy Beck ciągnął wuja z zewnątrz. Po wielu próbach w końcu wywlekli go przez rozbity przednią szybę na kadłub wraku. Kiedy Tikaani podtrzymywał Ala, Beck ześlizgnął się na ziemię po tylnej części samolotu. Zarzucił sobie wuja na barki i ułożył go na kawałku twardego gruntu, który oczyścił nogami z sięgających do kolan zarośli.

Teraz wreszcie można było porządnie zbadać ranę Ala.

– Zasady pierwszej pomocy są bardzo proste do zapamiętania – mówił instruktor. – Po wdechu następuje wydech. Krew krąży w żyłach. Wszelkie odstępstwa od tych zasad oznaczają, że coś jest nie tak i trzeba podjąć odpowiednie działania.

Najpierw należało umieścić opaskę uciskową nad rozcięciem na nodze Ala. Zwyczajny opatrunek nie zdołałby powstrzymać takiego upływu krwi. Beck otworzył apteczkę i wyjął kawałek bandaża, którym owinął nogę wuja pojedynczą warstwą tuż nad raną. Następnie związał oba końce w zwykły węzeł i zaczął się rozglądać za tym, czego teraz potrzebował.

Tikaani przyglądał się temu wyraźnie zafascynowany.

– Potrzebny mi jest krótki patyk – powiedział Beck.

Tikaani natychmiast znalazł odpowiedni kawałek drewna wśród obumarłych gałęzi i podał go swemu towarzyszowi. Patyk był trochę za długi, Beck złamał go więc na kolanie, po czym umieścił około piętnastocentymetrowy kawałek na węźle bandaża, a następnie związał na nim kolejny węzeł. Wreszcie przekręcił patyk, by w ten sposób zacisnąć opaskę.

– Rany! To tak, jakby zakręcić kurek – zdumiał się Tikaani.

– Właśnie – odpowiedział Beck. – Coś w tym stylu.

Tamowanie krwotoku rzeczywiście przypominało zakręcanie kranu. Od czasu do czasu należało trochę poluzować opaskę; w przeciwnym razie Al straciłby kończynę wskutek braku dopływu krwi. Na razie jednak opatrunek zapobiegał wykrwawieniu.

– Przytrzymaj patyk.

– Jasne – zgodził się ochoczo Tikaani. Beck obwiązał kawałek drewna ostatnią warstwą bandażu, by w ten sposób usztywnić opatrunek i uśmiechnął się do kolegi.

– Chyba nie zbiera ci się na wymioty, co?

Tikaani trochę pobladł, ale w tych okolicznościach było to zrozumiałe. Spojrzał Beckowi prosto w oczy.

– Raczej nie.

– To dobrze.

Wyciął nożyczkami dziurę w spodniach wuja wokół rany, która wreszcie ukazała mu się w całości. Było to głębokie rozcięcie na dobre osiem centymetrów długości. Beck zastanawiał się, w jaki sposób powstało. Być może noga zahaczyła o jakąś ostrą część rozbitej tablicy przyrządów pokładowych. Rana biegła od kolana w górę. Sączyła się z niej ciemna, gęsta krew, która sama z siebie by zakrzepła i utworzyła strup, ale na zwykłym skaleczeniu, tutaj było jej po prostu zbyt dużo.

Beck starał się jak najdokładniej zbadać ranę, nie dotykając jej. Aż za dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że środowisko nie jest sterylne i należałoby się posługiwać rękawiczkami lekarskimi. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się teraz przydarzyć, byłoby wywołanie zakażenia.

Uwagę Becka zwrócił delikatny brzęk metalu o szkło. W apteczce znajdowała się buteleczka z płynem dezynfekującym, w której Tikaani właśnie zanurzał pincetę.

– Ranę trzeba oczyścić z wszelkich zanieczyszczeń, w tym brudu, martwego naskórka i fragmentów zakrzepłej krwi – wyrecytował. – W tym celu najlepiej zastosować pincetę wysterylizowaną w roztworze dezynfekującym.

– Skąd to wiesz? – spytał Beck.

Tikaani uśmiechnął się i skinął głową w stronę apteczki.

– Instrukcja na wieczku.

Podał pincetę Beckowi, który wziął ją ostrożnie, uważając, by nie dotknąć jej zdezynfekowanej części.

– Dzięki, będziemy też potrzebować trochę wody.

– Widziałem w środku butelkę. Poczekaj tu chwilę.

„A dokąd niby miałbym pójść?” – pomyślał Beck, gdy Tikaani wgramolił się ponownie do samolotu. Jeszcze raz przyjrzał się ranie. Była w miarę wolna od zanieczyszczeń, ale usunął jeszcze kilka skrzepów krwi i coś, co wyglądało jak skrawek materiału ze spodni Ala.

Tikaani wrócił z butelką wody.

– Znalazłem jeszcze ten koc medyczny i poduszkę na fotel. Na wiezku apteczki jest napisane, że poszkodowanemu należy zapewnić ciepło, by nie doznał szoku termicznego.

– Nigdy nie należy kwestionować instrukcji na wiezku – zgodził się Beck.

Tikaani podłożył poduszkę pod głowę Ala, podczas gdy Beck ostrożnie wylał jeszcze trochę płynu dezynfekującego na ranę. Tikaani syknął i skrzywił się ze współczuciem.

Beck doskonale to rozumiał. Wiedział, jak bardzo środek dezynfekujący może szczypać przy zwykłym skaleczeniu; gdyby Al był przytomny, pewnie krzyczałby z bólu. Rana została dokładnie oczyszczona. Beck wziął wodę od Tikaaniego i polał nią miejsce urazu, by spłukać resztki środka dezynfekującego.

– Teraz powodowałby już tylko podrażnienia – wyjaśnił, oddając butelkę.

Wreszcie odwinął kawałek gazy, poprosił Tikaaniego, by posmarował jedną stronę kremem z antybiotykiem, po czym przyłożył opatrunek do rany, owijając go kolejną warstwą bandaża. Sterylna biel natychmiast zabarwiła się na czerwono, ale ogólnie rzecz biorąc, krwotok został zatamowany, tak jak mówił instruktor.

– Nie możemy go tak po prostu zostawić na ziemi – zauważył Tikaani. – Tu jest tundra – zatoczył ręką krąg. – I wieczna zmarzlina na grubości kilkunastu centymetrów. Twój wujek zamarźnie.

– Zgadza się.

Wieczna zmarzlina oznaczała, że przez cały rok grunt ma temperaturę co najwyżej zera stopni. Dla człowieka leżącego na ziemi to zabójcze. Beck rozejrzał się; jego uwagę przyciągnęła leżąca nieopodal para skrzydeł samolotu.

– Ale jakoś temu zaradzimy...

Skrzydła okazały się dość lekkie. Wspólnymi siłami chłopcy zdołali je unieść i umieścić jedno obok drugiego, tworząc w ten sposób platformę, na której mogli ułożyć Ala. Posłanie być może nie było zbyt wygodne, ale za to suche i sztywne, zdecydowanie lepsze od lodowatej ziemi.

W końcu udało im się założyć Alowi płaszcz i przykryć go kocem, który znalazł Tikaani. Beck przykucnął, żeby przyjrzeć się wujkowi. Zrobił dla niego wszystko, co mógł. Przynajmniej na tę chwilę.

– To co teraz robimy? – spytał Tikaani.

Beck westchnął i wstał.

– Teraz spróbujemy się stąd wydostać – odpowiedział.

Wzięli płaszcze z samolotu i wyruszyli na rozpoznanie terenu. Nie trwało to długo.

Beck wiedział, że ze względu na przenikliwy wiatr i zbyt zmrożoną ziemię dalej na północ nie ma żadnych drzew ani wysokiej roślinności. Tam była już tylko tundra – bezdrzewna równina pokryta twardą trawą, mchem i porostami – aż do śniegów i lodów na biegunie północnym. Tu, gdzie się znajdowali, można było jeszcze zobaczyć kępy drzew, które połączyły swe siły w walce z mrozem. Tu drzewa zapuszczały korzenie w szczelinach w wiecznej zmarzlinie, co umożliwiało im przetrwanie.

Samolot spadł na ziemię tuż obok takiego zagajnika. Kilka metrów dalej, a uderzyłby w sosny, powodując niechybną śmierć wszystkich na pokładzie.

– Wyślą po nas ekipę ratunkową, prawda? – spytał Tikaani, kiedy badali okolicę. – Jak myślisz, ile czasu im zajmie znalezienie nas?

– Nikt nie wie, gdzie jesteśmy – odrzekł Beck. – Zmieniliśmy kurs.

– Ale słyszałem, jak pilot wzywał pomocy!

– Owszem – zgodził się Beck. – Ale zmieniliśmy kurs. Nie słyszałem, żeby o tym wspominała.

Miał też spore wątpliwości co do tego, czy ktoś w ogóle odebrał ich sygnał SOS. O tym jednak postanowił nie wspominać Tikaanemu.

– No tak... – przez krótką chwilę Tikaani wyglądał na zamyślonego. – Ale przecież mają satelity i... – wykonał nieokreślony ruch ręką – różne inne urządzenia.

– To prawda – zgodził się Beck.

Rzeczywiście Tikaani miał rację. Ktoś w Anchorage mógł zauważyć, że samolot zniknął z radaru, a wówczas grupy ratunkowe byłyby już pewnie w drodze. Choć z drugiej strony mogło być zupełnie inaczej.

– Musimy im ułatwić zadanie – powiedział Tikaanemu. – Zróbmy wielki kopiec: zbierzmy kamienie, kawałki drewna, szczątki samolotu. Patrz, samolot jest do połowy zakopany w ziemi – nie zobaczą go z powietrza. Ułóżmy w tym miejscu wielki napis SOS.

– Ale litery z powietrza będą malutkie – zauważył Tikaani.

Beck wzruszył ramionami.

– Dlatego ułożymy naprawdę WIEELKIE litery!

Ułożyli więc na ziemi olbrzymi napis SOS – długi na sześć, a może nawet siedem metrów. Zajęło im to dobre pół godziny.

– To powinni zauważyć – powiedział z zadowoleniem Tikaani.

– Aha – Beck spojrzał na niebo. Nie było widać ani śladu jakiegokolwiek ekipy ratunkowej. „Ale przecież jest jeszcze za wcześnie” – pocieszał się w myślach.

– Dobra, a teraz...

W tym momencie znów nawiedziła go myśl krążąca mu po głowie od chwili wypadku – a nawet jeszcze przed nim. Teraz wreszcie udało jej się przełamać linie obronne Becka i zaatakować ze zdwojoną siłą.

„Czy mama i tata też przez to przechodzili?”

Tikaani zauważył jedynie, że Beck odpłynął gdzieś w myślach i nieobecny wzrokiem spo-
gląda przed siebie.

– Beck? – zawołał zaniepokojony. Ciska i jeszcze jedna próba: – Beck?

Ale Beck nie reagował.

Czy przeżyli katastrofę w dżungli? Czy robili wszystko to, co on teraz? Nawet jeśli tak było,
to i tak wszystko na nic. Zginęli w głuszy i nikt ich już więcej nie widział.

– Beck!

Dopiero na ten krzyk chłopiec otrząsnął się z przykrych myśli i postanowił, że nie pozwoli
już sobie popadać w takie odrętwienie. Nie było sensu snuć rozważań nad przeszłością. Co się
stało, to się nie odstanie. Teraz liczyła się tylko przyszłość. Poza tym, chcąc przetrwać, nie wol-
no podupadać na duchu. Należy podtrzymywać w sobie wolę walki, zamiast obsesyjnie rozmy-
ślać nad tym, co ewentualnie mogło się wydarzyć.

– Teraz ustalimy nasze dokładne położenie – powiedział zdecydowanym tonem. – W jednej
z toreb jest GPS. Zawsze pilnuję, żeby wuj Al zabierał go na wszystkie wyprawy.

Po drodze do samolotu czekała ich miła niespodzianka. Al się ocknął i, wsparłszy się na łok-
ciach, rozglądał się wokół.

– Wujku! – uradowani chłopcy podbiegli do nieprzytomnego dotąd mężczyzny.

W uśmiechu Ala zalśniły białe zęby.

– Beck, Tikaani, dobra robota – mówił ostrożnie, starając się opanować pojękiwania. Beck
domyślał się, że ciało wuja przeszywa ostry ból, nawet jeśli próbował to ukryć. – Co z pilotem?

Chłopcy przykucnęli i Beck wyjaśnił całą sytuację. Choć wuj nie mówił zbyt wiele, widać było,
że zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Pewnych rzeczy nie trzeba mówić na głos.

– Mamy GPS – odezwał się w końcu.

– Wiem. Poczekaj!

Beck ponownie wsunął się do kabiny, a następnie przeczołgał się na jej tylną część. Prze-
szukawszy po kolei torby, w końcu znalazł to, czego szukał. Było to plastikowe urządzenie wiel-
kości dużej komórki albo kieszonekowej gry komputerowej. Beck włączył je – na płaskim ekranie
pojawiło się blade światło. Urządzenie prowadziło cichą rozmowę z oddalonymi o setki mil sate-
litami, by ustalić dokładne położenie na ziemi. Beck wyjął również mapę ze schowka pilota, po
czym dołączył do wuja i Tikaaniego.

– Super – ucieszył się Tikaani na widok GPS-u i szturchnął Becka, żeby mu pokazał ekran.

„Dać mu trochę techniki i od razu jest cały w skowronkach” – pomyślał Beck, uśmiechając się
w duchu.

Podał Tikaaniemu mapę, by ten rozłożył ją na ziemi. Beck odczytał współrzędne z GPS-u,
a Tikaani zaznaczył na mapie punkt przecięcia długości i szerokości geograficznej.

– Jesteśmy tutaj – rzekł zadowolony z siebie.

Pozostała dwójka pochyliła się nad miejscem wskazywanym przez palec chłopca.

– Przynajmniej wiemy, gdzie wylądowaliśmy! To dobry początek, prawda?

– Tak... jasne – zgodził się Beck.

Niestety, wiedział również – podobnie zresztą jak Al, który nic nie musiał mówić – że sytuacja wygląda o wiele poważniej, niż wydawało się Tikaaniemu.

Na mapie odległość między miejscem, w którym się obecnie znajdowali, a Anakatem wynosiła zaledwie kilka centymetrów. Miejscowość była oznaczona małym kwadratem – jedynym na całej mapie. Pozostała jej część pokrywały zakrzywione i poszarpane linie. Anakat był wytworem człowieka; resztę stanowiło dzieło dzikiej natury. Ten kwadracik oznaczał ciepło, jedzenie i bezpieczeństwo.

– Zobaczcie – nalegał Tikaani. – Jesteśmy bardzo blisko Anakatu. Myślę, że moglibyśmy tam dojść w jeden dzień.

– Na pewno – zgodził się Beck – gdyby wujek Al mógł chodzić... I gdyby tutaj – powiódł palcem po pasie gęsto ułożonych poziomic między ich obecnym położeniem a Anakatem – był płaski teren. Niestety, po drodze mamy góry.

Po tych słowach cała trójka spojrzała na zachód. Rzeczywiście, wyraźnie widoczne góry oddzielały ich olbrzymim murem od Anakatu. Szczyty lśniły w słońcu. Pasma przebiegało z północy na południe, podczas gdy Anakat leżał niemal w prostej linii na zachód. Dzięki temu bardzo łatwo było zapamiętać kierunek marszu. Jediną przeszkodą był wznoszący się po drodze milion ton skał.

– Jeśli je uwzględnic – rozmyślał głośno Beck – a nie mamy innego wyjścia, marsz zajmie nam dwa albo trzy dni. Minimum.

Przez moment Tikaani wyglądał na zniechęconego. Spojrzał ponownie na góry, co oznaczało, że zdał sobie sprawę ze skali problemu. Nawet dwa, trzy dni marszu to jeszcze nie koniec świata, jeśli jednak dorzucić do tego śnieg, lód i strome zbocza, sytuacja zaczyna wyglądać zupełnie inaczej.

– Dobra... – głos Tikaaniego zadrżał nieco, ale wkrótce powtórzył już bardziej zdecydowanym tonem: – No dobra. Tak czy siak będą nas szukać. Przecież spodziewali się naszego przylotu.

– Hmm... – odezwał się nagle Al. Głos miał cokolwiek niepewny. – Niekoniecznie.

Słyszając to, obaj chłopcy wbili w niego zaskoczone spojrzenie. Teraz Al wzruszył ramionami.

– To nie był rejsowy lot. Dziennikarze i prawnicy z Lumos Petroleum od samego początku chodzili nam po piętach. Gdyby się dowiedzieli, że lecimy do Anakatu, dotarliby tam pierwsi. Chciałem się wymknąć po cichu, żeby nakręcić film, zanim zdążą cokolwiek zwęszyć. Oczywiście napomknąłem, że przylecimy, tyle że... w przyszłym tygodniu.

– Hej! – wykrzyknął Tikaani. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek! Samoloty nie znikają ot tak! Nawet jeśli nasz lot nie był rejsowy, to przecież musieli go gdzieś odnotować. Poza tym mój ojciec wiedział, że przyjeżdżamy.

– Na pewno odnotowali nasz odlot z Anchorage i plan podróży do Anakatu – zgodził się Al. – Ale nie ma powodu, by ktokolwiek sprawdzał, czy dotarliśmy na miejsce. Oczywiście w końcu zauważą, że zaginęliśmy, ale to może potrwać kilka dni. Nawet twój ojciec nie wie do-

kładnie, kiedy mamy przylecieć. Nie mówiłem mu, kiedy wylatujemy, żeby ci z Lumosu nie zwietrzyli naszych planów.

„Kilka dni” – pomyślał Beck. Spojrzał na nogę Ala, a potem ponownie na jego twarz. Rana na nodze była jedynym widocznym obrażeniem zewnętrznym. A co z wewnętrznymi? Wuj był błądliwy i mówił słabym głosem. Nie wiadomo, czy nie jest bardziej pokiereszowany, niż to się mogło wydawać w pierwszej chwili.

Beck nie był pewien, czy Al wytrzyma tak długie oczekiwanie.

– Kilka dni... – Tikaani na głos wyraził jego myśli.

Znajdowali się czterdzieści mil poza zaplanowaną trasą lotu i trzy dni marszu od bezpiecznego miejsca. Grupy ratownicze mogą tu dotrzeć jeszcze później. Zrezygnowany Tikaani opuścił ramiona i zwiesił wzrok. Po chwili jednak podniósł głowę i zapytał z poważną miną:

– No to co robimy?



ROZDZIAŁ TRZECI

Chłopcy jeszcze raz wspięli się do samolotu i po siedzeniach wgramolili się na jego tył, gdzie leżały bagaże.

– No i co my tu mamy? – mruknął pod nosem Beck.

W jednej z toreb znajdował się prowiant. Beck wiedział o tym, bo sam go zapakował. Zdało mu się, że od śniadania upłynęły całe wieki. Podał torbę Tikaaniemu, a potem ukląkł, by się lepiej rozejrzeć. Zatrzymał wzrok na plastikowej skrzynce z narzędziami, otworzył ją i przejrzał zawartość. Pomiędzy kluczami i śrubokrętami dostrzegł myśliwski nóż w skórzanej pochwie. Wyjął go i unióśł na wysokość oczu.

Nóż miał drewnianą rękojeść i zakrzywione, ząbkowane ostrze, długie na dwadzieścia centymetrów. Był skonstruowany tak, by umożliwić przetrwanie w dziczy – równie skuteczny w ćwiartowaniu mięsa, oprawianiu zwierzyny, jak i w bardziej codziennych czynnościach.

– Świetnie! – ucieszył się Beck.

Tikaani uśmiechnął się.

– Miałem taki sam – powiedział. – Przygotowałem do szkoły prezentację na jego temat, ale nauczyciel mi go skonfiskował. Dzieciaki z miasta wystraszyły się, gdy zobaczyły nóż.

Beck uśmiechnął się pod nosem, słysząc określenie „dzieciaki z miasta”. Mimo że Tikaani sam gorąco pragnął zostać jednym z nich, wciąż nie potrafił odciąć się od swych korzeni.

Zatknął nóż za pasek i wznowił poszukiwania. Jego wzrok padł na upchnięty między pakunkami poskładany brezent. Wyszarpnął go i podał swemu towarzyszkowi.

– Chodźmy – zarządził.

Stojący za nim Tikaani odwrócił się i zaczął gramolić na zewnątrz samolotu. Beck włożył skrzynkę z narzędziami pod pachę i podążył za nim.

* * *

Przypomniał sobie pytanie Tikaaniego: „No to co robimy?” i w myślach sformułował dwuczęściową odpowiedź, dotyczącą działań doraźnych i długoterminowych. Działania doraźne: zbu-

dować schronienie, rozpalic ognisko, znaleźć wodę i pożywienie – ogólnie rzecz biorąc, w miarę możliwości zapewnić sobie bezpieczeństwo i wygodę. Działania długoterminowe... cóż, najpierw trzeba się uporać z tymi doraźnymi. Później być może przybędzie pomoc. Za schronienie mógłby im posłużyć samolot, tyle tylko, że wciąż znajdowało się w nim ciało pilotki, nie mogli też rozpalic w pobliżu ogniska, ze względu na obecność paliwa. Poza tym Al nie był w stanie samodzielnie wchodzić do awionetki ani wydostawać się z niej bez pomocy chłopców.

W niewielkiej odległości od wraku z ziemi wyrastał głaz, który przed wiekami został tu przyniesiony przez lodowiec i pozostał, kiedy lód ustąpił. Z wielkim wysiłkiem chłopcy zsunęli Ala ze skrzydeł samolotu, po czym przenieśli je i oparli o głaz tak, aby na siebie zachodziły, tworząc zaciszny, osłonięty przed wiatrem ką. Mieli już schronienie. Następnie utworzyli prowizoryczną kołyskę – Beck złapał prawą ręką lewą dłoń Tikaaniego, a wolnymi ramionami objęli jeden drugiego za barki. W ten sposób zdołali przenieść Ala.

– Całkiem niezłe – skomentował wuj, leżąc pod osłoną skrzydeł awionetki, w ziemnej przykrytej warstwą iglastych gałęzi i ubrań. – Słowo daję, lepszemu domowi nie mógłbym sobie wymarzyć.

– To oczywiście tradycyjna inuicka chata – mruknął ironicznie Tikaani, spoglądając na skrzydła. – Zawsze używamy aluminium, jeśli akurat nie mamy pod ręką skóry karibu.

Rozpalenie ogniska okazało się całkiem proste. Okolica obfitowała w suche drewno. Tikaani zajął się zbieraniem małych, łamliwych gałązek na rozpałkę, podczas gdy Beck poszedł się rozzejrzeć za wodą i innymi przydatnymi dla rozbitków darami natury.

Na szczęście nie musiał szukać daleko, wkrótce bowiem natknął się na wąski strumyk, płynący wartko przez otaczającą ich tundrę. Beck napełnił zimną, krystalicznie czystą wodą dwie butelki, które od zawsze towarzyszyły jemu i wujowi we wspólnych wyprawach.

– Co to? – zapytał w chwilę później Tikaani, kładąc na ziemi stos suchych gałęzi na rozpałkę.

Przy wejściu do szałasu Beck układał stertę czegoś, co wyglądało jak splątane, poźółkłe włosy.

– Starcza broda – wyjaśnił Beck, przykładając wiecheć do twarzy Ala. – Widzisz?

Al pacnął go w dłoń.

– Wypraszam sobie!

– To mech – wyjaśnił Beck. – Tak naprawdę nazywa się brodaczka i nie należy go mylić z powojnikiem, potocznie określanym starczą brodą. Rośnie na drzewach i skałach, bardzo dobrze się pali.

Beck ułożył warstwę gałązek na kupce mchu, a potem dołożył kilka większych polan. Tikaani przyglądał się z zaciekawieniem koledze, gdy ten ściągnął z szyi sznurówkę, na której wisiały dwa metalowe elementy – krótki pręt i prostokątna płytką.

– To jest krzesiwo magnezowe – wyjaśnił Beck, widząc zainteresowany wzrok chłopca. – Wszędzie je ze sobą noszę. Wystarczy uderzyć ten pręt iskrownikiem... – zademonstrował czynność i Tikaani uchylił się przed snopem iskier. – Szast-prast. Mogę rozpalic ogień zawsze i wszędzie.

Ponownie uderzył w krzesiwo, tym razem przykładając je do rozpalaki. Iskry spadły na kilka kłębków mchu, które w mig się rozżarzyły. Nie było na razie płomienia, ale trawione żarem pędy zaczęły się skręcać i zwijać. Minęło kilka sekund i po mchu nie było śladu, za to na gałęzkach zamigotał nieśmiało płomyczek. Ogień nabierał wigoru i wkrótce pewnie buzował na trzaskających polanach.

Tikaani uśmiechnął się i przykucnął, wyciągając ręce w stronę płomieni.

– Jak noga? – zapytał wuja Beck.

Al przysunął się do ogniska i obejrzał z uwagą opatrunek.

– Dobrze się spisałeś, Beck. Dziękuję. A teraz przygotuj gazę, spróbuję poluzować opaskę uciskową...

Beck skinął głową i przyniósł apteczkę. Opaskę trzeba było po pewnym czasie popuścić, bo niedokrwienie doprowadziłoby do martwicy kończyny. Gdyby jednak rana jeszcze się nie zasklepiała, gwałtownie napływająca krew wytrysnęłaby z niej i należałoby szybko zmienić opatrunek.

– Mógłbyś...? – poprosił Al.

Beck przytrzymał patyk zaciskający opatrunek, podczas gdy wuj popuścił mocujący go węzeł. Al poluzował opaskę, przekręcając patyk o pół obrotu i syknął, zaciskając z bólu zęby. Wszyscy trzej przyglądali się uważnie bandażowi. Po minucie było jasne, że nie wystąpiło wzmożone krwawienie. Beck odetchnął z ulgą. Al umocował poluzowaną opaskę na właściwym miejscu.

– Jeszcze dwadzieścia cztery godziny i będzie ją można zdjąć – ocenił.

Uśmiechnął się do chłopców z wysiłkiem. Miał bladą, ściągniętą bólem twarz, ale starał się za wszelką cenę zachować pogodę ducha.

– Co powiecie na obiadek?

Skromny posiłek składał się z zimnego mięsa i herbatników. Zaspokoili ich głód, ale...

– Zapasów nie starczy nawet na kilka dni – zaniepokoił się Tikaani.

– Przecież wokół jest pełno jedzenia! – odrzekł Beck.

Tikaani rozejrzał się.

– Jasne, pyszna trawa, a na deser iglaki.

Beck sięgnął po leżącą obok skrzynkę z narzędziami. Przewrócił ją do góry dnem i wysypał zawartość, po czym wstał, trzymając w ręce pusty pojemnik.

– Chodź, pokażę ci coś.

* * *

Pięć minut później byli już w lesie. Przykucnęli przy zwalonej, butwiejącej kłodzie. Beck podważał czubkiem noża warstwy spleśniałej kory – spod próchna wyłoniły się brązowe, dzwonkowate grzyby o jedwabście gładkich kapeluszach.

– To łuskowiec jeleni – poinformował kolegę. – Rośnie na butwiejącym drewnie i jest grzybem jadalnym.

– Palquatat – odezwał się niespodziewanie Tikaani. Beck spojrział na niego zaskoczony, ale młody Anak tylko wzruszył ramionami. – Pomagałem babci w zbieraniu takich grzybów. Tyle że do tej pory nigdy nie stanowiły głównej pozycji w moim jadłospisie.

– Dobra... – Beck oderwał resztę grzybów z pnia i wrzucił je do skrzynki. – Potrzebujemy ich mnóstwo, a oprócz tego... Aha!

Rozsunął liście pobliskiego krzewu i oczom Tikaaniego ukazało się grono czarnych jagód, o połowę mniejszych od śliwek.

– Niedźwiedzie grono – oznajmił Beck. – Są lekkostrawne, a zarazem pożywne.

– Kim ty właściwie jesteś? – zapytał Tikaani, gdy zabrali się do ogołacania krzewu z jagód. – Jakimś ekspertem?

– Ekspertem? – Beck zastanowił się przez chwilę. Nie chciał się przechwalać. – Wiem to i owo. Kiedyś mieszkałem przez miesiąc z Samami w Finlandii. Mama i tata prowadzili tam badania naukowe. Tamte tereny były całkiem podobne.

– Więc już to robiłeś? To znaczy, musiałeś przetrwać w tundrze?

– W tundrze? Nie... – Beck wyprostował się i rozejrzął za jagodami. – Ale w dżungli... kiedyś mi się zdarzyło.

– Poważnie? Kiedy to było?

– Poszukaj jeszcze grzybów – polecił Beck – a ja rozejrzę się za jagodami. Kiedy? Hm... kilka miesięcy temu.

I gdy tak zbierali razem zapasy jedzenia, Beck opowiedział Tikaanieniu o swej niedawnej wyprawie do Kolumbii, kiedy to wraz z przyjaciółmi, Christiną i Marco, pokonali całe kilometry niedostępnej, wilgotnej dżungli, spiesząc na ratunek wujowi Alowi, który został porwany. Oprócz zdobywania jedzenia musieli się przeprawiać przez wodospady, stawiać czoło niebezpiecznym mrówkom, jaguaram i jadowitym węzom...

– Odrąbałeś mu głowę? Tak po prostu? – pytał z niedowierzaniem Tikaani, gdy Beck opisywał spotkanie z groźnicą niemą – jadowitym węzem, którego ukąszenie jest śmiertelne dla człowieka.

Beck wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A potem go zjadłem.

Tikaani zagwizdał z uznaniem.

Udało im się znaleźć krzaczki żurawiny obsypane małymi, kwaśnymi jagodami. Po rozgryzieniu owoce były tak cierpkie, że drętwiał od nich język, niemniej jednak były jadalne.

Chłopcy zawrócili w stronę samolotu, niosąc skrzynkę na narzędzia wypełnioną grzybami i dwoma rodzajami jagód. Tikaani wyraźnie poweselał.

Nadeszło wczesne popołudnie. Spędzili w okolicy miejsca katastrofy kilkanaście godzin. Wciąż nie słyszeli żadnych odgłosów mogących świadczyć o zbliżającej się pomocy. Nie było slychać żadnego, nawet odległego warkotu samolotu ani helikoptera przeczesującego okolicę.

Beck niechętnie powrócił myślami do planu długoterminowego.

– Musimy rozładować samolot – zdecydował.

Stojąc na kadłubie, Tikaani odbierał bagaże, które Beck podawał mu z wnętrza samolotu, a następnie ciskał je na ziemię.

– Mógłbym zostać bagażowym! – zawołał.

Gdy już wszystko zostało wypakowane, Beck zajrzał do jednej z toreb. Tak jak się spodziewał, były w niej głównie ubrania. Świetnie. Każdy z nich zabrał ze sobą po kilka sztuk odzieży na zmianę – co oznaczało, że część można będzie wykorzystać w innym celu.

Wybrał jedną z koszul i wbił nóż w bawełnę. Rozległ się dźwięk rozpruwanego materiału. Po niedługim czasie z koszuli pozostały tylko strzępy.

– Co ty wyprawiasz? – domagał się wyjaśnień Tikaani.

Al przyglądał się bez słowa, wsparty na łokciach. Dobrze wiedział, do czego zmierza bratanek.

– Beck przygotowuje się – wyjaśnił – na wypadek, gdyby pomoc nie nadeszła w porę.

– Nie zjawia się – powiedział Beck. – Dobrze o tym wiesz. – Nie przestawał ciąć koszuli na kawałki.

– Beck – odezwał się Al. Chłopiec usłyszał w jego głosie jakby błagalną nutę. – Znasz zasady. W przypadku katastrofy lotniczej należy pozostać w pobliżu wraku. Nie można się oddalać. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że ekipa ratownicza zauważy samolot niż pojedynczą osobę.

– Tak, i w większości przypadków zgodziłbym się z tobą. Tylko że – Beck skinął w stronę wraku – nasz samolot jest praktycznie niewidoczny z powietrza. Już jest w połowie przysypa-
ny.

Tikaani spoglądał to na jednego, to na drugiego, zupełnie zбитy z tropu.

– Czy ja czegoś nie dosłyszałem? Niby w jaki sposób ma nam pomóc pocięcie koszuli na strzępy? – zapytał.

Beck uśmiechnął się.

– Zamierzam zrobić sznur. To coś, co zawsze się przydaje na takich odludziach.

– Sznur?

– Jasne. Splatasz i skręcasz to wszystko razem, aż powstanie porządny, mocny...

– Ale... po co nam sznur?

– Jeszcze się nie domyśliłeś? – zapytał Al. – Beck uważa, że pomoc nie nadejdzie. Co oznacza, że musimy sami jej poszukać. I niestety nie jestem pewien, czy zdołam go od tego odwieść.

– Zaczekamy jeszcze kilka godzin – powiedział Beck, na wypadek gdyby Tikaani pomyślał, że zamierza natychmiast wyruszyć. – Zobaczymy, co się wydarzy rano.

Tikaani spojrział na Becka z komicznym wyrazem zdziwienia w oczach. Potem przeniósł wzrok na góry – główną przeszkodę dla każdego planu, który zakładał pieszą wędrówkę.

– Naprawdę myślisz, że się nie zjawią?
– Zboczyliśmy o czterdzieści mil od wyznaczonego kursu – przypomniał mu Beck. – W zasadzie nikt nawet nie wie, że wyruszyliśmy. Sądzę, że ratownicy zaczną poszukiwania dopiero wtedy... gdy ktoś z nas dotrze do nich i im o tym powie.

* * *

Po pocięciu na wąskie paski kilku koszul i pokrowców na siedzenia Beck zdołał skrócić dwa mocne sznury. Wytrzymały, gdy chłopcy ciągnęli je z całych sił w przeciwnych kierunkach. Potem Beck jeszcze raz przejrzał zawartość toreb, decydując, które ubrania będą im potrzebne.

– Żaden problem – stwierdził z dumą Tikaani. Wskazał na kurtkę, którą nosił na sobie od czasu opuszczenia samolotu. Była to gruba, ocieplana parka z kapturem obszytym futrem. – Dostałem ją od ciotki. Nie zmarznę w niej nawet podczas śnieżycy.

Beckowi wystarczyło jedno spojrzenie.

– Przykro mi, nie nadaje się.

Tikaaniemu zrzęda mina.

– Nie? Ale przecież jest ciepła!

– Zbyt ciepła – odpowiedział Beck. – Musimy pokonać góry. Ta kurtka będzie ci ciężka, a ponieważ nie przepuszcza wilgoci, przy mroźnej pogodzie pot będzie pod nią zamarał i wychłodził cię. Woda odprowadza ciepło z organizmu o wiele szybciej niż powietrze. Nie, powinienes raczej założyć kilka cienkich warstw, które można zdejmować albo zakładać w zależności od potrzeby, tak by ułatwić dostęp powietrza, które osuszy twój pot w mgnieniu oka. Nie martw się, pokażę ci, jak to się robi.

Tikaani z żalem popatrzył na kurtkę i wzruszył z rezygnacją ramionami.

– Wybacz, ciotiu... – mruknął.

– W czasie wędrówki przydadzą nam się kije – powiedział Beck. – Możesz się za jakimiś rozejrzeć? Powinny być proste i wytrzymałe. No i nie za ciężkie.

– Kije? Wystarczą mi własne nogi! – zauważył Tikaani.

– Jestem pewien, że świetnie się sprawdzą. Ale kij odrobinę je odciąży, dzięki czemu będziesz w stanie pokonać dodatkowe mile.

Tikaani wyduł usta w zamyśleniu.

– Mój dziadek zawsze podpierał się kijkiem. A ja sądziłem, że to po prostu ze starości...

Tymczasem Beck pomyślał o jeszcze jednej przydatnej rzeczy. Podczas gdy Tikaani oddalił się w poszukiwaniu kijów, on po raz ostatni wdrapał się do wnętrza samolotu. Wcisnął się pomiędzy siedzenie a pedały steru, tuż obok przykrytego ciała pilota, i pomagając sobie nożem, dostał się do kabli biegnących pod deską rozdzielczą.

– Cóż, ten samolot już na pewno nigdzie nie poleci – stwierdził ze smutkiem Tikaani.

Wrócił właśnie z dwoma obiecująco wyglądającymi kijami i zobaczył Becka niosącego go zwój kabla.

– Jest mocniejszy od sznura – powiedział rzeczowo Beck. – Nigdy nic nie wiadomo. Co tam znalazłeś? Dobry wybór! – dodał z uznaniem, gdy Tikaani pokazał mu kije.

Były to dwie gałęzie, długie i cienkie, ale nie na tyle, by ugiąć się pod ciężarem ciała.

Wystarczyło tylko obciąć nożem liście i ociosać sęki. Beck zauważył, że jego słowa podniosły Tikaaniego na duchu i chłopiec nabrał nieco optymizmu.

* * *

– To jaki masz plan, Beck?

Al zadał to pytanie, gdy jego bratanek razem z Tikaanim przygotowywał skromny posiłek, korzystając z zapasów znalezionych w samolocie. Nadeszła już pora kolacji, ponieważ jednak znajdowali się na dalekiej Północy, wciąż jeszcze było całkiem jasno. Zjedli resztki prowiantu i wiedzieli, że od tej chwili sami będą musieli zatroszczyć się o zdobywanie pożywienia.

Kiedy skończyli posiłek, Beck rozwinął mapę i wyjął GPS-a. Zmarszczył czoło, widząc jak słaba już jest bateria. Najbliższe gniazdko elektryczne znajdowało się w Anakacie, właśnie tam, dokąd chcieli dotrzeć. Musiał korzystać z urządzenia oszczędnie i koniecznie trzymać baterie w cieple, żeby się nie rozładowały.

Przypomniał sobie z zażenowaniem, że gdy ostatnio posługiwał się GPS-em, nie chcący utopił go w morzu, przez co on i jego przyjaciele utknęli na tratwie gdzieś przy kolumbijskim wybrzeżu, mając raczej mgliste pojęcie, dokąd płyną. Pocieszył się, że tym razem mu to nie grozi.

Znow przyjrzał się mapie. Znalazł też długopis i zanotował współrzędne na kawałku papieru. Na wszelki wypadek postarał się je również zapamiętać. Nawet jeśli w GPS-ie wyczerpią się baterie, po dotarciu do Anakatu musiał przekazać współrzędne ratownikom. Wyłączył urządzenie i wyjął z niego baterie, zastanawiając się nad ciepłym miejscem, w którym mógłby je schować – najlepiej blisko ciała i tak, żeby ich nie zgubić... Nie miał wyjścia, wsunął je w slipy, a potem przyłączył się do swych towarzyszy, którzy także studiowali teraz mapę.

– Zobaczcie, co zauważyłem – powiedział, stukając palcem w trzy różne punkty na mapie. – My. Anakat. Góry. Ale...

Pochylił się niżej nad mapą, a wuj i Tikaani przybliżyli głowy. Dostrzegli wąską przerwę między górami – nikłą białą niteczkę na płachcie mapy.

– To jest bardzo wąska przełęcz. Jeśli uda nam się nią przejść, zaoszczędzi nam to wielokilometrowej wspinaczki. Jest wiosna, więc przełęcz nie powinna być zasypana śniegiem. Poradźmy sobie.

– Poradźmy sobie – powtórzył z namysłem Al. – Nie podoba mi się to sformułowanie. Tak samo zresztą jak „poradzę sobie”. Powinniśmy się trzymać razem. Będzie ciężko, ale w końcu nas odnajdą, a ty masz wystarczającą wiedzę, aby utrzymać nas do tej pory przy życiu...

– Nie – odparł Beck. – Wiem, co zrobić, żeby zapewnić przetrwanie Tikaaniemu i sobie, ale nie jestem lekarzem, a ty się bez niego nie obejdziesz. Jesteś okropnie błądy i masz rzęzący oddech. Nie chodzi tylko o tę rozciętą nogę – jest gorzej, niż dajesz to po sobie poznać. Potrzebujesz pomocy. Popatrz na mnie, wujku. Spójrz mi w oczy i powiedz, że się myślę.

Al spojrział mu w oczy, ale nie odpowiedział. Jeszcze nigdy nie okłamał swego bratanka i teraz też nie mógł tego zrobić. Obydwaj wiedzieli, że chłopiec ma rację.

Beck przypomniał sobie, jak podczas lotu przemknęło mu przez głowę, że odpowiednio przygotowany człowiek ma szansę przetrwać na takim pustkowiu. Nie mylił się. Tyle tylko, że dla chorych i starych dzika przyroda jest bezwzględna. Stare lub chore zwierzęta nie konają w łózkach w otoczeniu rozpaczającej rodziny, podłączone do urządzeń podtrzymujących życie. Czeka je szybka śmierć – jeśli są osłabione, nie mają żadnych szans na przetrwanie.

– Tikaani pójdzie ze mną – dodał z ociąganiem.

Dokładnie przemyślał tę sprawę. Znowu popatrzył wujowi w oczy, a ten po chwili skinął głową. Beck wiedział, że doszli do tych samych wniosków. Gdyby Beck wyruszył sam, a Tikaani został z Alem, w razie śmierci Ala... chłopiec prawdopodobnie nie przetrwałby nawet pięciu minut zdany na samego siebie.

– Super! – zawołał Tikaani. Spoglądał to na Ala, to na Becka, który wyczytał w jego twarzy niepewność. Zdawał sobie sprawę, że chłopiec nadrabia miną, bo dobrze wie, co oznacza wędrówka przez alaskie pustkowia. Mroźne wichury. Leżący w górach śnieg i lód. Być może także niedźwiedzie i wiele innych zagrożeń.

– To znaczy – dodał Tikaani, jakby chciał się upewnić – chyba się do czegoś przydam?

– Oczywiście – zapewnił go z uśmiechem Beck. Chłopiec odwzajemnił mu się męzną i dumną miną.

– Kiedy wyruszacie? – zapytał Al.

– Zaraz o świcie.

– Oczekajcie przynajmniej godzinę. Jeśli nas szukają, też wyruszą o wschodzie słońca. Dajcie im trochę czasu. Jeśli po godzinie pomoc nie nadejdzie...

Nie musiał kończyć.

– Zaczekamy godzinę – zgodził się Beck. – Potem wyruszamy.



ROZDZIAŁ CZWARTY

W rzeczywistości odczekali półtorej godziny. Pierwszy brzask na dalekiej Północy pojawiał się niezwykle wcześnie. O piątej rano było już zupełnie jasno. Jakkolwiek wytężali wzrok i słuch, pomoc nie nadchodziła – wokół rozciągała się tylko dzika przyroda.

Beck i Tikaani wykorzystali ten dodatkowy czas na zbieranie drewna dla Ala. Mężczyzna co prawda był już w stanie jako tako utrzymać się na nogach, ale im więcej czasu poświęcał na odpoczynek, tym większe miał szanse na wyzdrowienie. Ognisko płonęło jasno tuż przed schronieniem, obok leżało ułożone w stos drewno na opał. W tylnej części kryjówki Beck położył dwie butelki wypełnione wodą ze strumienia, ubrania na zmianę i cały zapas żywności, jaki do tej pory zebrali. Chłopcy zamierzali zdobyć więcej jedzenia i wody po drodze. Ostatnią rzeczą była czerwona raca znaleziona w awionetce, którą Al miał zapalić, gdy usłyszy nad głową samoloty.

Schronienie było bardzo prowizoryczne, ale do pewnego stopnia osłaniało Ala od wiatru, zimna i deszczu. Na pewno pozwoli mu przeżyć najbliższe trzy dni, bo tyle, jak przewidywał Beck, powinno chłopcom zająć dotarcie do Anakatu – o ile oczywiście Al nie dostanie wcześniej krwotoku wskutek obrażeń wewnętrznych i nie wykrwawi się na śmierć. Beck szybko otrząsnął się z tej myśli – i tak przecież nie mógłby nic poradzić.

– No dobra – odezwał się wreszcie Al. – Niech się wam przyjrzę po raz ostatni.

Chłopcy znaleźli w samolocie dwa plecaki, które opróżnili i wypełnili zapasami. Były tam sznury, płachta brezentu, plastikowe butelki, kilka drobiazgów z apteczki, jak wata, krem antyseptyczny i bandaż, oraz po komplecie suchych ubrań na zmianę. Przejrawszy odzież pasażerów i pilota, Beck wybrał dla siebie i swego towarzysza podróży spodnie, podkoszulkę, bluzę i polar. Dużo warstw, jak mówił wcześniej Tikaaniemu, które pozwolą na utrzymanie odpowiedniej ciepłoty ciała. Wierzchnią warstwę stanowiły lekkie płaszcze przeciwdeszczowe, mocne buty, czapki i rękawiczki.

– Twoi przodkowie będą z ciebie dumni, Tikaani – powiedział Al.

W odpowiedzi chłopiec uśmiechnął się kąpiąco.

– Moi przodkowie zapytaliby, dlaczego nie mam na sobie skór wyprawionych w tradycyjny sposób moczem. Niech już lepiej pozostanie tak jak jest.

Al parsknął śmiechem, ale w jego głosie pobrzmiwała słabość. Beck po raz tysięczny modlił się, by wuja nie opuściły siły. Uściskał go na pożegnanie, a Tikaani dość nieśmiało podał mu dłoń.

– Dacie sobie radę – rzekł Al z uśmiechem, by dodać im otuchy. – A teraz idźcie sprowadzić pomoc.

* * *

Godzinę później Beck znalazł dowód na to, że nie byli jedynymi żywymi istotami w okolicy.

Początkowo marsz przebiegał gładko. Nie musieli przedzierać się przez tereny gęsto porośnięte drzewami, czasami trzeba było jedynie obejść zarośla. Pod nogami mieli miękki dywan z igliwia. Beck nie mógł się zdecydować, czy to miejsce przypomina bardziej łąkę, gdzieś gdzie porośniętą drzewami, czy też rzadki las jodłowy z rozległymi trawiastymi polanami.

Szczególnie jedno drzewo zwróciło jego uwagę – jodła, z której zwisały polacie postrzępionej kory. Na pniu widoczne były głębokie zadrapania, pozostawione przez coś wysokiego na prawie trzy metry – w każdym razie znacznie większego od chłopców.

– Oho – wymamrotał. – Czuję, że prędzej czy później natkniemy się na coś takiego.

– To są ślady niedźwiedzia – odparł Tikaani po krótkiej inspekcji podrapanego pnia.

„To bez wątplenia ślady niedźwiedzia” – zgodził się w myślach Beck. Ogromne piętnastocentymetrowe pazury poszarpały drewno jak tekturę. Zwierzę szukało owadów pod korą. Spojrzał na swego towarzysza.

– Widziałeś już kiedyś niedźwiedzie?

Becka nie zdziwiło, że Tikaani bezbłędnie rozpoznał ślady zadrapań. Sam został przeszkolony, jak należy się zachowywać w miejscu, gdzie grasują niedźwiedzie, ale do tej pory żadnego nie widział na oczy. Jednak dorastający w Anakacie Tikaani na pewno spotkał już niejednego.

– Kilka razy, jakiś czas temu. Ale wtedy zawsze robię tak – Tikaani uderzył swoim kijem w pień najbliższego drzewa i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Beck pokiwał głową. Tikaani opisał najlepszy sposób na poruszanie się po terenie zamieszkanym przez niedźwiedzie. Trzeba robić dużo hałasu, wtedy bestie powinny trzymać się z daleka.

– Niedźwiedzie unikają tłumów, a miasta omijają szerokim łukiem – kontynuował Tikaani. – To tylko jeden z powodów, dla których wolę mieszkać na przykład w Anchorage, że już nie wspomnę o cieplej i zimnej wodzie w kranie, centralnym ogrzewaniu i elektryczności, która nie wysiada co chwilę z powodu kiepskiego generatora.

Beck dostrzegł jednak słaby punkt w rozważaniach Tikaaniego.

– Ale nas dwóch trudno nazwać tłumem i nie jesteśmy w mieście – zauważył. – Mogą się nas wcale nie bać.

W odpowiedzi Tikaani wyduł wargi.

– Dobra, jest jeszcze plan awaryjny, który wygląda tak: cały czas patrzysz mu w oczy i pozwoli wycofujesz się. Tata mówi, że niedźwiedź czasami staje na tylnych łapach tylko dlatego, że jest ciekawy i chce ci się lepiej przyjrzeć. Niekoniecznie musi zaraz atakować, a czasami po prostu blefuje. Kłapie paszczą i uderza łapą o ziemię, tak jakby za chwilę miał zaatakować, ale w rzeczywistości próbuje cię tylko odstraszyć... Co wresztą by zadziałało – dodał z przekonaniem w głosie. – Ja bym na pewno zwiął.

Beck ponownie przytaknął. Jak na razie nie jest źle.

– Po prostu niedźwiedź chce pokazać swoją dominację – uzupełnił. – A jeśli mimo wszystko cię zaatakuje? Powiedzmy, że znalazłeś się między niedźwiedzicą a jej młodymi?

„To chyba najgłupsze miejsce, w jakim człowiek może się znaleźć” – dodał sam do siebie w myślach. Wiedział doskonale, że żadnej matki niedźwiedzicy nie interesuje demonstrowanie siły; chce tylko zażegnać niebezpieczeństwo.

Zadowolony wyraz twarzy Tikaaniego znikł w okamgnieniu. Chłopiec z całej siły dwukrotnie uderzył kijem w najbliższe drzewo.

– No to wtedy... wtedy... trzeba... – popatrzył błagalnie na Becka, który uniósł brwi – uciekać?

Oj, czyżby na tym kończyła się edukacja Tikaaniego?

– Tylko jeśli chcesz zostać obiadem – odparł Beck. – Niedźwiedź szybciej biega, szybciej pływa...

Tikaani spojrzał na najbliższe drzewo.

– I zdecydowanie lepiej wspina się po drzewach – zakończył Beck.

– To co robimy? – wymamrotał Tikaani.

– No więc w przypadku niedźwiedzia brunatnego...

– Grizzly.

– Niech ci będzie, grizzly. Wtedy kładziesz się na ziemi.

– Co? – Tikaani spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Udajesz martwego, zwijasz się w kłębek, kładziesz na boku i osłaniasz głowę ramionami, o tak – zademonstrował. – W ten sposób ochraniasz buźkę.

– Buźkę? Tak to się fachowo nazywa?

– Poza tym pokazujesz niedźwiedziowi, że nie stanowisz zagrożenia. Musisz tylko pozostać w tej pozycji. Nawet jeśli pogryzie twój plecak albo potarmosi cię łapą. Nie próbuj reagować, bo to go tylko zdenerwuje.

– I to naprawdę jest skuteczne?

– Tego nauczyli mnie Samowie, choć rady dotyczyły niedźwiedzia brunatnego. Z amerykańskim niedźwiedziem jest trochę inaczej, bo koniecznie chce udowodnić, że różni się od swojego kuzyna, europejskiego maminsynka.

– Niby jak? – zapytał podejrzliwie Tikaani.

– Po pierwsze, niedźwiedź amerykański na ogół rzadziej atakuje, ale jeśli już to robi, to dlatego, że jest głodny. A wtedy nie pomoże udawanie martwego ani próba ucieczki.

- Tak, to już wiem. Ani wspinanie się na drzewo, ani skok do wody...
- Musisz więc walczyć.
- Walczyć – powtórzył Tikaani bez przekonania. – Nie jestem zbyt wysoki. Ja przeciwko ogromnemu niedźwiedziowi?
- Musisz się zachowywać agresywnie – odparł Beck. – Pamiętaj, liczy się dominacja. Wymachuj plecakiem albo kurtką, jeśli masz czas, żeby je zdjąć. Jeśli nie, podskakuj, krzycz, machaj rękami. – Beck uniósł obie ręce i ruszył na Tikaaniego. – Wrrrr! Musisz pokazać, że nie jesteś mięczakiem, że lepiej nie próbować cię zjeść.
- Pewnie, że nie – zgodził się Tikaani. – Założę się, że smakuję paskudnie i na pewno dałbym mu to do zrozumienia.
- Beck roześmiał się.
- Tylko nie pozwól, żeby się sam przekonał!

* * *

Dzień upływał, nie spotkali jednak żadnych niedźwiedzi. Beck pilnował, aby obaj pili wodę z zapasów i jedli co nieco w rozsądnych odstępach czasu. Oprócz tego po drodze zbierali jagody i grzyby. Nie było sensu narzucać sobie morderczego tempa.

– Nie będzie trzech posiłków dziennie – wyjaśnił Beck. – Po prostu czasami po drodze coś przekąsimy.

Tikaani znalazł już wiele jadalnych roślin dzięki naukom babci; na przykład borówki, które niełatwo znaleźć, ponieważ rosną na niewielkich krzaczkach wśród leśnego poszycia. Jagody są małe i delikatne; prawie zawsze pękają pod naciskiem palców, barwiąc je słodkim, brunatnym sokiem. Smakują wyśmienicie.

Po drodze Beck pokazywał koledze inne naturalne delikatesy; wśród nich różowawe kłącza wierzbówki kiprzycy o ostrym, wręcz ognistym smaku, czy podbiał o płaskich, sercowatych liściach.

Jednak były tam również rośliny, których żaden z chłopców nie potrafił na sto procent zidentyfikować. Zebrali kilka, które przypominały nieco znajome im gatunki, na spróbowanie później.

– No tak – powiedział Tikaani z nieco skwaszoną miną, gdy Beck podał mu podbiał. – Staliśmy się oficjalnie roślinożercami.

Beck spojrzał na niego z ukosa.

– Borówki to też rośliny, a przecież jadaleś je wcześniej – odparł łagodnym tonem.

– To prawda – Tikaani przyznał z uśmiechem. Następnie skubnął nieco liścia i uniósł brwi. – Niezłe. – Wyglądał na zadumanego. – W końcu taka dieta zapewniła przetrwanie moim przodkom. Inaczej pewnie nie byłoby mnie na świecie, więc może powinienem okazać nieco więcej szacunku.

Beck roześmiał się i ruszyli dalej.

– Trzeba by napisać o tym na opakowaniu: „Produkt roślinny. Dzięki niemu przetrwali twoi przodkowie!”.

Tikaani wyrównał z nim krok.

– Mój dziadek dodałby: „W takim razie po co kupować to w sklepie?”.

– A więc nie jest aż tak zażartym zwolennikiem postępu? – zapytał sarkastycznie Beck.

– Nie... zupełnie. – Tikaani zrobił odpowiednio długą pauzę, by podkreślić dwuznaczność tego stwierdzenia, po czym wykrzywił twarz w dziwnym grymasie. – Sklepy nie są tradycyjne. To znaczy, wiem, że jedzenie nie rośnie w supermarketach, no nie? Wszystko zapakowane w plastik lub folię kiedyś rosło w ziemi, otoczone brudem, bakteriami i tak dalej. Kupujesz paczkę mielonej wołowiny, co oznacza, że gdzieś zabito krowę i przy uboju było dużo krwi. Tak już jest, ale po prostu nie rozumiem, po co miałbym to robić sam.

Uśmiechnął się.

– Pamiętam, jak kiedyś wybrzydzałem przy jedzeniu i dziadek powiedział: „Wujek Kavik ryzykował własne życie, żeby zdobyć to pożywienie”. A ja na to, że mógł tego nie robić. Dostałem po uszach i musiałem iść spać bez kolacji, więc w sumie wujek Kavik niepotrzebnie ryzykował życie... – Tikaani westchnął i kontynuował: – Chodzi o to, że jeśli już masz własną hodowlę, to niech przynajmniej ktoś inny zajmie się ubojem i przerobem, żeby można było kupować gotowy produkt w sklepie bez narażania życia i mieć jeszcze czas na inne rzeczy.

– Na przykład jakie? – dopytywał się Beck.

Tikaani zaśmiał się, choć w jego śmiechu pobrzmiwała gorzka nuta.

– Dobra, teraz kolej na mojego tatę. Mam z nim dobre stosunki, ale z drugiej strony cały czas powtarza tylko: „Czemu tyle czasu spędzasz przed komputerem? Dlaczego nie wychodzisz więcej na świeże powietrze?”.

Beck słuchał, nie przerywając. W głosie młodego Anaka wyczuwał od dawna tłumioną frustrację, której wreszcie chłopiec mógł dać upust. Teraz Tikaani po prostu musiał to z siebie wyrzucić.

– Jesteś moim pierwszym kolegą z zagranicy, którego spotkałem twarzą w twarz, ale nie pierwszym w ogóle. Mam kilku innych, których poznałem przez Internet. Czatujemy sobie, naprawdę się polubiliśmy... i mieszkamy w różnych krajach. Świat jest ogromny, a ja lubię być jego częścią. Jak duży jest Anakat w porównaniu z resztą świata? Ma dwustu mieszkańców, a ja jestem częścią wielomilionowej kultury. Do tego potrzeba techniki, której w Anakacie po prostu nie ma.

Zacisnął pięści i Beck wyczuł zbliżający się ostateczny wybuch.

– Żyjemy w nowoczesnym świecie! Potrzebujemy techniki!

Po tej przemowie szli przez chwilę w ciszy. Beck pomyślał o GPS-ie, który miał w kieszeni. Ostatnio nie używał go, bo bateria była na wykończeniu. Zgadzał się ze wszystkim, co powiedział Tikaani, ale z jednym uzupełnieniem: prędzej czy później technika zawodzi człowieka.

Na szczęście odnalezienie drogi nie było trudne. Beck miał już doświadczenie w marszu przez równiny i pustynie, gdzie trzeba było skupić wzrok na jednym punkcie na horyzoncie i podążać w tym kierunku. Tutaj co prawda horyzont przysłaniały drzewa, ale nad nimi wznosiły się góry. Burza, przez którą samolot musiał zmienić kurs, dawno minęła. Na ostrych, skalistych szczytach lśniła surowa biel śnieżnej pokrywy kontrastującej z błękitem nieba. Góry były piękne, ale Beck cieszył się, że przecina je przełęcz.

Według mapy za kilka godzin powinni dotrzeć do rzeki u podnóża gór. Tam mogliby rozbić obóz na noc.

Poza tym oprócz jednego poharatanego drzewa nie było ani śladu niedźwiedzi, ani żadnych innych ssaków...

Nagle kątem oka Beck zauważył, że coś się poruszyło. Stanął jak wryty, gwałtownie odwracając głowę. Dopiero po kilku krokach Tikaani zorientował się, że Beck pozostał w tyle.

– Co się stało?

– Nic... – wymamrotał Beck. Przyglądał się badawczo drzewom.

Tikaani w mgnieniu oka doskoczył do niego.

– Niedźwiedź? – zapytał. Ujął mocniej kij, starając się jednocześnie, by jego głos brzmiał odważnie.

– Nie – odpowiedział stanowczo Beck. – To nie był niedźwiedź. Chodźmy.

Ruszył dalej, a Tikaani za nim.

To z pewnością nie był niedźwiedź. Jeśli tam rzeczywiście coś było, miało bardziej smukły kształt i poruszało się nisko nad ziemią, bez pośpiechu skradając się między drzewami tuż za chłopcami.

Widział już coś takiego w Laponii. Wiedział dobrze, jakie zwierzę zachowuje się w ten sposób: czai się i czeka cierpliwie na resztę watahy.

Beck zagryzł wargę, sam również mocniej ścisnął kij, ale postanowił nie martwić Tikaaniego. Był pewien, że podąża za nimi wilk.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Beck stał na brzegu rzeki i z przerażeniem patrzył na drugą stronę.

Krystalicznie czysta woda spływała z gór korytem z kamienia i żwiru. Prąd nie wydawał się zbyt wartki. Rzeka wyglądała nawet zachęcająco. Jej powierzchnia marszczyła się i lśniła w słońcu.

Miała zaledwie jakieś pięćdziesiąt metrów szerokości. Beck pomyślał, że równie dobrze mogłaby mieć pięćdziesiąt mil. Wtem na powierzchni pojawiła się gałąź, przepływając z prędkością rowerzysty.

Beck zacisnął pięści i uderzył się w skronie.

– Aaaa!

Przebyli spory kawał drogi. Nie widzieli ani śladu niedźwiedzi; nawet cień wilka więcej się nie pokazał. Beck narzucił szybkie, miarowe tempo marszu, cały czas sprawdzając, jak sobie radzi jego towarzysz. Jeśli tempo okazałoby się zbyt wyczerpujące, mógł nieco zwolnić... Byle nie za bardzo. W końcu to nie wujek Tikaaniego powoli umierał w schronieniu przy głazie, czekając na ratunek. Ale Tikaani nie zostawał w tyle i dzielnie maszerował.

Aż tu nagle taka przeszkoda. Sfrustrowany Beck zagryzł wargę i kopnął w leżący obok kamień.

– Hej! – Tikaani spojrzał na niego z ukosa. – Przecież wiedziałeś, że tu będzie rzeka.

– Tak, wiedziałem – odparł zniechęconym tonem. – Jest zaznaczona na mapie i w GPS-ie.

– Ale...?

– Ale nie zaznaczyli szerokości. Naprawdę miałem nadzieję, że będzie mniejsza. Jeśli nie strumyk, to co najwyżej...

Rzeka wezbrała wskutek roztopów w górach. W zimie byłaby zamarznięta. W lecie zamieniłaby się w leniwy strumyk. Jednak o tej porze roku woda przybiera najbardziej.

Przejsie na drugą stronę będzie o wiele trudniejsze, niż spodziewał się tego wcześniej Beck. Co prawda nie był to spieniony, wzburzony górski strumień, ale sama wielkość rzeki – z pozoru spokojnej, lecz w rzeczywistości nieublaganej, gotowej w każdej chwili porwać nieostrożnych podróżników – budziła grozę.

– To jak? – Tikaani uniósł pytająco brwi. – Pójdziemy brzegiem?

– Chciałbym – Beck spojrzął na wodę z kwaśną miną. – Gdybyśmy się zgubili, trzeba by było iść wzdłuż rzeki, która dokądś przecież płynie. Po drodze można by znaleźć miasta i ludzi...

– Ale – zauważył Tikaani – my się nie zgubiliśmy.

– Nie – zgodził się Beck. – Wiemy dokładnie, gdzie jesteśmy. – Wyjął z kieszeni GPS, po czym sięgnął nieco głębiej.

Tikaani patrzył na to skonsternowany.

– Niby w jaki sposób ma nam pomóc grzebanie w majtkach?

Beck wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokazał mu baterie, które właśnie wyjął.

– Należy je trzymać w ciepłym miejscu – wyjaśnił. – Im zimniej, tym szybciej się rozładują.

Włożył baterie na miejsce, włączył GPS i spojrzął na ekran.

– Rzeka biegnie wzdłuż gór przez wiele mil, dopiero potem zmienia kierunek i płynie prosto do morza – zauważył. – Gdybyśmy poszli wzdłuż rzeki, dotarcie gdziekolwiek zajęłoby nam tyle czasu, że równie dobrze moglibyśmy wrócić do wujka Ala i czekać.

– To co w takim razie robimy? Spróbujemy ją przejść w bród? – spytał Tikaani.

– Właśnie – odparł Beck, ponownie wyjmując baterie z GPS-u. Potem podszedł do rzeki i pozwolił przespacerować się wzdłuż brzegu z rękami na biodrach. Ze zmarszczonymi brwiami mierzył rzekę wzrokiem w poszukiwaniu właściwego miejsca. – Przechodzimy.

– Czekał no! – krzyknął Tikaani. – Ja tylko żartowałem!

– A ja niestety nie.

Gdyby rzeka była mniej rwąca, mógłby spróbować zbudować tratwę. Jednak w takich warunkach, nawet gdyby mu się to udało, tratwę porwałby prąd. Jedynym rozwiązaniem była przeprawa w bród, choć na oko było widać, że woda jest dość głęboka – na pewno nie wystarczy podciągnięcie nogawek do kolan.

Tikaani przyglądał się Beckowi, który cały czas nerwowo chodził po brzegu.

– Co ty właściwie robisz?

– Szukam odpowiedniego miejsca na przejście rzeki.

Beck wiedział, że to dość ryzykowne przedsięwzięcie, ale nie odważył się powiedzieć tego na głos. Zimna woda odbiera siły, poza tym pod powierzchnią mogą się znajdować różne przeszkody... Dlatego powinni poszukać jak najlepszego miejsca.

Bardzo szybko jednak zorientował się, że każdy punkt na brzegu ma swoje plusy i minusy, które się nawzajem równoważą. W wąskich miejscach nurt był zbyt mocny, w szerszych był łagodniejszy, ale przeprawa trwałaby dłużej. Nie chciał też odchodzić zbyt daleko w górę ani w dół rzeki, bo wtedy zbyt szybko zbczyliby z trasy.

W końcu usiadł na kamieniu i zaczął rozwiązywać sznurówki.

– Przechodzimy tutaj – oznajmił. – Pójdę pierwszy, upewnię się, że jest bezpiecznie.

– Dobra – burknął Tikaani. – A jeśli porwie cię prąd, wskoczę cię ratować, żebyś nie dopłynął do morza jako pokarm dla fok.

Beck wzruszył ramionami, potem się uśmiechnął.

– Albo po prostu przejdź na drugą stronę w innym miejscu.

Najpierw Beck zdjął wszystkie zbędne części garderoby i włożył je do plecaka, po czym kazał zrobić to samo protestującemu Tikaaniemu. Chłopcom zrobiło się o wiele chłodniej. Teraz mieli na sobie tylko koszule i spodnie. Tak skąpy ubiór nie zapewniał ochrony przed zimnem, ale mógł w jakimś stopniu złagodzić ewentualne uderzenie o kamień. Beck ściągnął skarpetki, a następnie założył na gołe stopy buty i mocno je zasznurował. Najgorszą rzeczą, jaka mogła mu się przytrafić, było rozcięcie stopy albo skręcenie kostki.

– Zaufaj mi – powiedział, zawiązując ostatni węzeł i uśmiechając się do Tikaaniego z kwaśną miną. – Kiedy po czymś takim założysz suche skarpetki, poczujesz się jak w siódmym niebie.

Owinęli plecaki kurtkami, by w ten sposób ochronić je przed wodą, i własnoręcznie wykonanymi sznurami związali rękawy i inne otwory w kurtkach. Wreszcie Beck pokazał Tikaaniemu, jak unieść plecak i przymocować go tak, aby znajdował się na wysokości karku, a nie jak normalnie – pasa. Na koniec sam zrobił to samo.

– Raz kozie śmierć – powiedział, zmuszając się do uśmiechu specjalnie na użytek Tikaaniego, po czym odwrócił się i wszedł do rzeki.

Po pierwszym kroku niemal w ogóle nie odczuwał zimna w stopach. Ale zaraz potem w butach pojawiła się strużka, a pół sekundy później powódź lodowatej wody. Wzdrygnął się, ale szedł dalej. Po chwili całe buty znalazły się pod wodą, która powoli zaczęła mu sięgać do kolan.

Ogarnął go przejmujący chłód, niczym armia mrówek wgryzających się w kości. Wydawać by się mogło, że woda z topniejącego śniegu nie powinna być aż tak lodowata, a jednak. Rzeka zaciskała pętlę wokół kostek, usiłując zwalić chłopca z nóg. Szedł bokiem do nurtu, by stawiać jak najmniejszy opór i jednocześnie mieć oko na wszelkie zbliżające się niebezpieczeństwa, na przykład kłody. Wartka rzeka opływała Becka od prawej do lewej strony; sięgała mu niemal do pasa. Miał wrażenie, że zimno paraliżuje mu płuca i ledwo jest w stanie oddychać.

– Świetnie ci idzie! – zawołał Tikaani.

– Dzięki – wychrypiął w odpowiedzi Beck, nie oglądając się za siebie. – Jest super!

Swego czasu w Kolumbii Beck przeprowadzał się przez rzekę wraz z dwójgiem przyjaciół. Wówczas użyli pnączy z dżungli jako asekuracji przed porwaniem przez nurt. Tutaj nie było pnączy, a własnoręcznie wykonane sznury, którymi obwiązali plecaki, nie były dostatecznie długie. Jeśli Becka porwałby prąd, nie miałby się jak bronić.

Dlatego też musiał bardzo starannie zaplanować każdy krok. Czuł, jak wygładzone przez wodę kamienie usuwają mu się spod stóp. Na szczęście miał jeszcze kij. Przy każdym kroku, przy choćby nieznacznym ruchu odrętwiałej z zimna lewej czy prawej stopy, musiał pamiętać, by ciężar jego ciała spoczywał na co najmniej dwóch punktach oparcia. Wiedział, że ma jakieś dziesięć minut, zanim pojawi się hipotermia, która polega na zbyt szybkim wychłodzeniu się organizmu w stosunku do jego zdolności wytwarzania ciepła. W tej chwili nie pragnął niczego więcej, jak tylko zawrócić. Wiedział jednak, że to tylko pogorszyłyby sytuację – wciąż znajdo-

walby się po niewłaściwej stronie rzeki, w dodatku zmarznięty i przemoczony. Cały wysiłek poszedłby na marne.

A więc dziesięć minut na przejście rzeki...

Lodowaty chłód przenikał coraz wyższe partie jego ciała. Stopniowo docierał do bioder, brzucha, żeber. Oddychanie stało się bolesne. Każdy wdech i wydech wymagał ogromnego wysiłku – Uff! Uff! Uff! – im głębiej wchodził w rzekę, tym większa powierzchnia jego ciała była narażona na wychłodzenie.

Woda sięgała mu już po pachy. Trzymał łokcie nad powierzchnią i odchylił głowę do tyłu, by nie zamoczyć podbródka. Czuł, jak plecak podskakuje na powierzchni, uderzając go raz po raz w tył głowy. Miał nadzieję, że kurtka, którą był owinięty, okaże się na tyle szczelna, by nie dostała się do niego woda.

W końcu, wskutek ogólnego odrętwienia ciała i przenikliwego bólu w kościach, przestał odczuwać chłód. Pozostało mu tak niewiele czucia, iż dopiero po kilku krokach zorientował się, że poziom wody zaczął opadać!

Aby sprawdzić, czy mu się nie wydaje, spojrzął w dół. Tak, z każdym krokiem poziom wody nieznacznie się obniżał. Pokonał już więc ponad połowę drogi. Całe ciało ogarnęło uczucie ulgi. Wierzył, że mimo wszystko uda mu się dojść na drugi brzeg.

I wtedy spod stóp usunął mu się zdradziecki kamień, powodując utratę równowagi. Beck upadł, woda zamknęła mu się nad głową, porwał go szaleńczy, lodowaty nurt.

Na szczęście niemal w tej samej chwili instynktownie wbił kij w dno, zyskując cenne sekundy. Pozwoliło mu to odzyskać równowagę i ponownie stanąć na nogach. Wynurzył głowę. Wreszcie ponownie ujrzał światło i mógł zaczerpnąć powietrza. Woda spływała mu z twarzy.

– Beck! Beck!

Tikaani biegł wzdłuż brzegu, by nie stracić go z oczu. Choć upadek trwał zaledwie kilka sekund, Beck spłynął spory kawał w dół rzeki.

– Nic mi nie jest – wydyszał. „Przemoczony do suchej nitki, ale nic mi nie jest” – pomyślał.

Odsunął włosy z oczu i odwrócił się od Tikaaniego, by zobaczyć, jaka odległość dzieli go od drugiego brzegu. W rzeczywistości nurt zrobił mu przysługę, przybliżając go nieco do celu. Chłopiec poczuł, że chłód znowu ogarnia całe jego ciało. Miał tylko nadzieję, że do plecaka nie dostała się woda, bo mokre ubrania mocno by skomplikowały życie.

Wypadek dał mu nowy zastrzyk adrenaliny, dzięki któremu mógł iść dalej. Dwie minuty później woda sięgała Beckowi już tylko do kolan, potem do kostek, aż wreszcie znalazł się na drugim brzegu.

Miał ochotę rzucić się na ziemię i odpocząć, ale wiedział, że gdyby postąpił w ten sposób, to po prostu by zamarznął. Musiał się ruszać. Zaczął więc wymachiwać ramionami, by przywrócić krążenie w dłoniach i jak najszybciej się rozgrzać.

– W porządku! – zawołał do Tikaaniego, podskakując na jednej nodze. – Twoja kolej. Uważaj na... – tu przerwał, bo jego uwagę przykuła fala w odległości około dwudziestu metrów w dół rzeki, gdzie nurt wybrzuszał się, jakby przepływał nad jakimś niewidocznym progiem. Nie dało

się tego zauważyć z drugiego brzegu rzeki, teraz jednak miejsce to było wyraźnie oświetlone promieniami słońca.

– Tikaani, chodź tutaj!

Śpiętrzona fala oznaczała, że nurt zahaczał o coś na dnie. Prawdopodobnie w tym miejscu dno nieco się podnosiło na całej szerokości rzeki...

– Tędy – poinstruował swego towarzysza. – Podpieraj się kijem. Ostrożnie stawiaj kroki...

* * *

W niecałe dziesięć minut później Tikaani dołączył do niego na drugim brzegu. Również musiał stoczyć walkę z prądem i zimnem, ale udało mu się przejść bez upadku. W tym czasie Beck zdołał się już przebrać w suche ubrania – na szczęście do plecaka dostało się zaledwie kilka kropel wody. Zebrał drewno i więcej mchu na ognisko, a gdy Tikaani wkładała suche skarpetki, pojawił się już pierwszy płomień.

– Tak jak mówiłeś – zauważył Tikaani, przymykając z rozkoszy oczy. – Jestem w siódmym niebie.

Beck uśmiechnął się.

Choć nie miał to być ich ostatni przystanek w tym dniu, to jednak wiedział, że obaj najbardziej potrzebują teraz ciepła ogniska. Wciąż daleko było do zachodu słońca – tu, na dalekiej Północy zmierzch zapada dopiero około jedenastej. Postanowili się wysuszyć przy ognisku przez jakieś dwie godziny, by potem rozpocząć wspinaczkę.

Spojrzał na majestatyczne góry majaczące nad ich głowami.

Tikaani podążył za jego wzrokiem.

– Dalej już tylko pod górę, prawda?

Beck przytaknął. Do tej pory szli po równym, płaskim terenie, ale teraz piętrzyły się przed nimi góry. Rzeka przepływała tuż u ich podnóża.

Nie zobaczył już więcej wilka. I tak na pewno został po tamtej stronie rzeki. Wciąż jednak czekała ich walka z siłami natury: wiatrem, lodem, śniegiem, zimnem, a nawet ciężeniem. Tam, w górze, gdzie nie ma ciepła ani pożywienia, nietrudno o śmierć.

– Cały czas w górę – potwierdził.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wspinali się już od dwóch godzin. Rozmawiali, choć z umiarem. Ważniejsze było, by oszczędzać oddech na marsz. Beck bacznie obserwował młodego Anaka. Przypomnił sobie swoją pierwszą górską wspinaczkę, gdy każdy mięsień w nogach zdawał się krzyczyć z bólu; zapewne tak samo czuł się teraz Tikaani. Beck udzielił mu kilku podstawowych wskazówek: trzeba stawiać równe kroki, utrzymywać stałe tempo i po prostu iść, zatrzymując się tylko na pięciominutowy odpoczynek po każdej godzinie – to wystarczy na regenerację sił. Nie wolno przedłużać przerw, bo wtedy sztywnieją mięśnie. Należy więc sobie narzucić pewną dyscyplinę.

– Po prostu musisz pokonać własną barierę bólu – mówił Beck, mobilizując swego towarzysza do dalszego wysiłku. – Wtedy okaże się, że możesz zrobić kolejny krok, a potem jeszcze jeden, aż w końcu twoje ciało się przyzwyczai.

I tak powoli, krok za krokiem, wspinali się coraz wyżej po górkim zboczu. Lodowaty wiatr, od którego można było nabawić się odmrożeń, wiał im w plecy – na szczęście siłę podmuchów łagodziły plecaki. Ale Beck pamiętał też o ważnym zjawisku zachodzącym w górach – każde sto metrów wspinaczki oznacza spadek temperatury powietrza o dwa stopnie Celsjusza. Na tej podstawie można było wywnioskować, że jeszcze przed szczytem temperatura spadnie do zera – właśnie dlatego górskie wierzchołki pokrywał śnieg i lód. Z drugiej strony oznaczało to również, że przy schodzeniu znów będzie wzrastać o dwa stopnie co sto metrów. To było pocieszające.

Beck zastanawiał się, czy nie warto by nieco pohłasować, żeby odstraszyć niedźwiedzie, ale ponieważ drzewa znacznie się przerzedziły, prawdopodobieństwo napotkania ich w tych partiach gór było niewielkie. Po cóż miałyby się tu wspinac, skoro na równinie panowały o wiele lepsze dla nich warunki. Zwierzęta mają dużą przewagę nad ludźmi, pomyślał ze smutkiem, wiedząc, gdzie będzie im lepiej i trzymają się tego miejsca.

Wreszcie zdecydował, że czas na odpoczynek.

– Wystarczy na dziś – powiedział.

Podejście zrobiło się nieco mniej strome i znajdowali się teraz na płaskim gruncie. W tym miejscu rosły ostatnie drzewa; wyżej były jedynie skały pokryte cieniutką warstwą gleby, a potem tylko śnieg i lód.

Beck z namaszczeniem odpiął plecak, pozwalając, by upadł na ziemię. Tikaani zrobił to samo. Tym nieco uroczystym gestem zakończyli pierwszy etap wędrówki.

– Dziękuję – powiedział spontanicznie Tikaani, po czym przeszedł kilka kroków, by złagodzić ból w nogach. – Już naprawdę miałem... O rany!

Spojrzał w dół na drogę, którą przebyli od rana. Beck stanął obok i razem podziwiali teraz krajobraz Alaski.

Beck oceniał, że odkąd minęli rzekę, przeszli dobre tysiąc metrów w górę. W dole kępy drzew i tundra tworzyły kolorową mozaikę, która ciągnęła się aż po horyzont, gdzie łączyła się z szarością nieba. Co prawda w samolocie byli jeszcze wyżej, ale tam w górze nie odczuwali bezpośredniego kontaktu z ziemią. Tutaj, stojąc na ziemi, chłopcy czuli się częścią otaczającego ich niezwykłego krajobrazu.

– Przebyliśmy taki kawał drogi? – spytał zdumiony Tikaani. – I to wszystko w jeden dzień?

– Tak – potwierdził Beck. – Wszystko w jeden dzień.

W jego głosie nie było szczególnego entuzjazmu. W innych okolicznościach zachwyciłby się przepiękną panoramą, ale bardziej teraz pochłaniała go myśl, że gdzieś tam, w prowizorycznym szałasie, leży wujek Al, który z pewnością nie czuje się lepiej. Kiedy więc Tikaani przyglądał się tundrze daleko w dole i podziwiał oszałamiającą przyrodę, Beck pomyślał, że przebyli dopiero jedną trzecią drogi, dwie trzecie były wciąż przed nimi.

Poklepał Tikaaniego po ramieniu.

– Chodź, musimy zbudować schronienie, zanim zapadnie zmierzch.

Rozejrzał się badawczo po okolicy. Idealny byłby szałas z dwuspadowym zadaszeniem w kształcie litery „A”, jak ten, w którym kiedyś nocował w Kolumbii z Marco i Christiną. Taka konstrukcja jest mocna i zapewnia najlepszą ochronę przed żywiołami; ale do tego potrzebowalby solidnych gałęzi, odciętych od drzewa. Niestety, nie miał piły, a jedynie nóż myśliwski.

– Zbudujemy szałas oparty o gałąź – postanowił. – Właśnie tutaj.

Stanął między sosną a sięgającym mu do ramion głazem. Mniej więcej na tej samej wysokości na drzewie znajdował się rozwidlony konar.

– Potrzebna nam będzie mocna, prosta gałąź – postukał w rozwidlenie, a potem w gałąź. – Zrobimy z niej poprzeczkę, w którą oprzemy inne gałęzie i co tam jeszcze znajdziemy. To nas osłoni od wiatru i będziemy mogli spać.

– Pozostaje jeszcze jedna otwarta strona – zauważył Tikaani.

– Zgadza się, z tej strony ogrzeje nas ognisko. Zaufaj mi, będzie nam tu jak u Pana Boga za piecem.

– Byleby tylko za bardzo nie kopciło – wymamrotał Tikaani.

Wkrótce znaleźli odpowiednią gałąź, tyle że rosnącą na drzewie. Ponieważ była zbyt gruba, by ją odciąć, obaj uwiesili się na niej i w ten sposób mocno ją naderwali. Resztę można już było dokończyć nożem. Następnie wsunęli jeden koniec gałęzi w rozwidlenie, drugi zaś ułożyli na głazie i zaczęli się rozglądać za innymi gałęziami, które mogliby oprzeć o tę belkę nośną.

– Co robimy jutro? – spytał Tikaani, pokazując palcem wierzchołek góry. – Tam już nie ma drzew.

– Nie martw się, nie spędzimy nocy w śniegu – obiecał Beck. – Nie pozwolę na to. Jutro o tej porze będziemy już po drugiej stronie góry, pośród drzew, więc prawdopodobnie zbudujemy podobny szałas. No dobra, potrzebujemy dużo liści dla osłony przed wiatrem, przynajmniej na dziesięciocentymetrową warstwę.

– OK – odparł Tikaani. – Chyba widziałem tu kilka gałęzi na ziemi...

Schylił się pod drzewami i na chwilę zniknął z pola widzenia. Beck postanowił tymczasem nazbierać drewna na opał. Wokół leżało mnóstwo suchych gałązek, które można było wykorzystać jako rozpalkę. Kucnął, by po nie sięgnąć.

– Beck! Beck!

Beck skoczył na równe nogi w tej samej chwili, gdy zza drzew wypadł Tikaani. Chłopcy omal się nie zderzyli.

– Beck! – Tikaani złapał go za ramiona i ścisnął kurczowo. – Tam jest niedźwiedź! Tak mi się wydaje. Był brązowy i... na pewno niedźwiedź.

Serce Becka zamarło. Niedźwiedź? Był przekonany, że znajdują się poza terytorium niedźwiedzi. Licha kryjówka z pewnością nie ochroni ich przed ciekawskim misiem. Gdyby mieli spać w takich warunkach, musieliby na zmianę trzymać wartę – a przecież obaj potrzebowali porządnego snu.

– Brązowy? – spytał, powoli wyswobadzając się z uścisku Tikaaniego. – A nie czarny?

– Mmm... – Tikaani przełknął ślinę. Miał pobladłą twarz i czoło zroszone potem. – Tak, tak sądzę...

„Dobrze” – pomyślał Beck. Przynajmniej jest szansa, że uda się go spłoszyć. W przypadku czarnego niedźwiedzia, który z natury atakuje, nie mieliby wyboru. Musieliby go odstraszyć i iść dalej, zanim zebrałby dość odwagi, by ponowić atak. Czekalaby ich noc w znacznie gorszych warunkach, wśród śniegu i lodu.

– Dobra – powiedział. – Przynies swój plecak i przygotuj się. Będziesz nim wymachiwał.

– Co? – Tikaani spojrzała na Becka jak na szaleńca. – Mamy go szukać?

– Może uda nam się go przegonić. Nie możemy pozwolić, żeby się tu płątał. Niedźwiedź ma dla siebie całe góry, my musimy nocować tutaj – Beck ujął mocno nóż w jedną dłoń, a drugą złapał za kij. – I zacznij krzyczeć.

– A-ale, c-co mam krzyczeć? – wyjąkał Tikaani.

– Cokolwiek! Nie wiem, zaśpiewaj piosenkę.

Ruszyli więc przez zarośla, hałasując jak tylko mogli. Beck uderzał nożem o kij i wykrzykiwał wszystkie rymowanki, jakie mu przyszły do głowy. Tikaani śpiewał amerykański hymn, fałszując co niemiara.

– To było tutaj – po dwóch minutach odezwał się Tikaani. – Zaraz za tymi skałami.

Beck pomału ruszył naprzód, ostrożnie spojrzał na ziemię... i parsknął śmiechem. Brzmiało to jak kichnięcie, którego nijak nie mógł powstrzymać. Nie chciał, żeby Tikaani pomyślał, że się

z niego śmieje, starał się więc pohamować wybuch wesołości. Stał, wpatrując się w ziemię i tylko ramiona mu drżały z rozbawienia.

– I co? – Tikaani zapytał z przejęciem, ale po chwili jakby stracił pewność siebie. – No co?

Śmiech okazał się zaraźliwy, zupełnie wbrew woli chłopca, który najwyraźniej rozumiał, że gdyby rzeczywiście groziło im jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, Beck nie stałby tak spokojnie i nie chichotał.

– Spójrz! – Beck, wciąż trzęsąc się z tłumionego śmiechu, przykleknął i zaczął grzebać kijem w ziemi.

Była tam mała kupka odchodów i tropy wielkości kocich łap, składające się z dwóch symetrycznych części z przerwą w środku.

Beck podążył wzrokiem za oddalającymi się śladami, po czym wskazał na zarośla oddalone o jakieś dziesięć metrów, skąd spoglądała na nich para niedużych oczu. W tym momencie ich właścicielka, nie większa od psa, pokryta brązowym futerkiem w białe kropki, odwróciła się i uciekła w okamgnieniu.

– To była sarenka – powiedział Beck, wciąż dusząc śmiech. – Mała, niegroźna sarenka.

– Sarna! – wykrzyknął Tikaani. – Przestraszyłem się sarny?

– Cóż – Beck dotknął kijem odchodów. – Ona chyba bardziej przeraziła się ciebie.

Tikaani spojrział na kupkę bobków, potem na Becka, a z jego twarzy powoli zaczął znikać wyraz napięcia. Po chwili obaj chłopcy śmiali się już razem, nieomal turlając się po ziemi.

W końcu, wciąż od czasu do czasu chichocząc, wrócili, by dokończyć budowę szałas. Cienkie gałęzie pokryte igielkami, które opierały się z jednej strony o ziemię, a z drugiej o grubą poprzeczną gałąź, tworzyły tylną ścianę, zapewniającą osłonę od wiatru.

– Czas na kolację! – zawołał Beck. – Na zakąskę jagody, jako danie główne jagody z grzybami, a do tego jeszcze jagodowy deser. Zobaczmy, co mamy...

Po drodze chłopcy zbierali zapasy, dzieląc je na dwie części. Te bezpieczne do jedzenia wędrowały do lewych kieszeni, a te nieco wątpliwe – do prawych. Teraz wysypali wszystko na dwie kupki.

– Dobrze – powiedział Beck, gdy przyglądali się drugiej kupce, po czym palcem oddzielił jagody od liści. – Zdecydujemy, co się nadaje do jedzenia, a co nie.

– A co będzie, jeśli uznamy, że coś się nadaje do jedzenia, choć w rzeczywistości się nie nadaje? – zainteresował się Tikaani.

– Objawy zatrucia pokarmowego są bardzo różne, od bólu żołądka przez wymioty i biegunkę, aż po śmierć – odparł swobodnym tonem Beck, jak gdyby demonstrował w samolocie zakładanie kamizelek ratunkowych.

– Dobra, zamieniam się w słuch – Tikaani zadeklarował skwapliwie.

– Taak. Na pewno nie ufalbym tym żółtym ani białym jagodom. Odrzucamy! – przesunął palcem kilka owoców na jedną stronę. – Ani roślinom o błyszczących liściach...

Kupka zrobiła się nieco mniejsza.

– Resztę trzeba powąchać. Jeśli zapach jest gorzki albo jakby migdałowy...

– Odrzucamy! – rzekł zadowolony z siebie Tikaani. Przyłożył liść do nosa i w skupieniu wciągnął powietrze.

Teraz kupka zrobiła się jeszcze mniejsza. Beck spojrzął na to, co zostało. W idealnych warunkach sprawdzenie, czy coś jest jadalne, zajmuje około dwudziestu czterech godzin. Na to jednak nie mogli sobie pozwolić. Trzeba było ograniczyć się do tych jagód i roślin, które bez cienia wątpliwości nadawały się do jedzenia. Beck wybrał kilka różnych odmian.

– Weź te, wyciśnij z nich sok – pokazał – i wetrzaj go po wewnętrznej stronie nadgarstka, tam gdzie skóra jest bardziej delikatna. Ja zrobię to samo z tymi. Wetrzaj go jeszcze w różne miejsca na ciele... Jeśli wystąpi podrażnienie skóry albo wysypka, nie będziemy ich jeść. Odczekaj pięć minut.

– A co mamy robić przez te pięć minut?

W odpowiedzi Beck uśmiechnął się i podał mu garść „bezpiecznych” jagód.

– Zjemy te.

Choć trudno to było nazwać ucztą, udało im się w miarę oszukać głód. Żadne z jagód sprawdzanych na skórze nie wywołały niepożądanych objawów.

– Z reguły jagody koloru czarnego i granatowego są jadalne – wyjaśniał Beck. – Do czerwonych trzeba podchodzić ostrożnie. A jeśli już zjesz coś, po czym poczujesz się niedobrze, połknij kawałek zwęglonego drewna z ogniska. Od razu wszystko zwymiotujesz.

– Jak ja uwielbiam życie na łonie natury – mruknął Tikaani.

Gdy już mniej więcej wiedzieli, co się nadaje do jedzenia, a co nie, wykorzystali ostatnie pół godziny światła dziennego na poszukiwanie dodatkowych zapasów, które wystarczyłyby im do jutra, zanim dotrą w zadrzewione okolice po drugiej stronie gór.

Wreszcie mogli udać się na spoczynek. Ułożyli się plecami do siebie, co zapewniło im więcej ciepła, z głowami na plecach i czapkami nasuniętymi aż po oczy. Schronienie rzeczywiście okazało się przytulne, tak jak obiecał Beck. Sądząc po oddechu, Tikaani zasnął niemal od razu. Wiatr uderzał o ścianę szalasu, ale nie dostawał się do środka, gdzie powietrze było spokojne i ciepłe, ogrzewane ogniskiem. Beck położył się na boku i słuchał, jak delikatnie trzaska palące się drewno.

Myślam i znów powrócił do wuja, który czekał samotnie w niewiele większej kryjówce. Czy nie zgasło mu ognisko? Czy zostało mu jeszcze dość sił? Jak się czuje?

Nagle aż usiadł z wrażenia. W ciemności błysnęła para oczu. Serce Becka zabiło jak szalone.

Oczy zniknęły, ale mógłby przysiąc, że...

Były osadzone blisko siebie i w świetle ogniska świeciły zielenią, tak jak oczy psa... Albo wilka.

Czy tu były wilki? A może coś mu się przywidziało w półśnie...

Powoli położył się na wznak i oddał rozmyślaniom. Nie było mowy o ruszeniu w dalszą drogę w tej chwili – jeśli były tu wilki, na pewno poszłyby za nimi. Poza tym to była tylko jedna para oczu, a wilki przecież zawsze polują w stadach.

A może to był jakiś inny drapieżnik? Rosomak? Jakiego koloru są jego oczy? Nie wiedział.

Ale wilki rzadko atakują ludzi...

A ogień odstrasza wszelkie zwierzęta...

I...

Rozmyślał tak i rozmyślał, aż w końcu zasnął.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Czego szukasz? – spytał Tikaani.

Beck poderwał się. Nie sądził, że Tikaani już nie śpi.

Właśnie rozpoczął się drugi dzień ich wyprawy. Beck obudził się wraz z pierwszymi promieniami słońca – jak zwykle, gdy spał pod gołym niebem. Wstał i wyszedł, by zbadać sąsiedztwo ich niewielkiego obozowiska, szukając śladów, jakie mogli nocą pozostawić potencjalni intruzi. Ponieważ nie znalazł ani żadnych tropów, ani zadrapań na drzewach, doszedł do wniosku, że oczy, które zobaczył zeszłej nocy, były jedynie wytworem wyobraźni. Widział je przecież zaledwie przez krótką chwilę.

– Tak tylko się rozglądam – odparł.

Tikaani siedział w szałasie, przecierając oczy z niewyspania.

– Więc jak będzie ze śniadaniem? Przyniesie je pokojówka czy sami zrobimy? – zagadnął.

Wyglądało na to, że już zapomniał o swoim pierwszym pytaniu, dlatego i Beck nie ciągnął tematu.

– Pokojówka wzięła sobie dziś urlop, więc chyba sami musimy się tym zająć – odpowiedział z uśmiechem.

Spojrzał na majaczące nad ich głowami szczyty i zastanowił się, co jeszcze ich czeka tego dnia. Trzeba będzie przejść przez góry, pokonać rozległe połacie głębokiego śniegu i zejść po drugiej stronie.

– A jak zjemy – dodał – będę cię musiał poprosić o pomoc.

* * *

– Wiesz – powiedział Tikaani nieco później – za taki komplet w sklepie w Anakacie zapłaciłbyś jakieś sto dolarów.

Trzymał w dłoni cienką i giętką gałąź, którą Beck odłamał od drzewa, a następnie wygiął w łuk, aż oba jej końce się zetknęły i powstało coś przypominającego kształtem ramę rakiety tenisowej. Zajęty pracą, podniósł wzrok na Tikaaniego i uśmiechnął się.

- Nie sądzę, żeby te w sklepie robili na indywidualne zamówienie – zauważył.
- Jasne, że nie – zgodził się Tikaani z poważną miną. – Tak kunsztownie wykonanych nie da się kupić.

Beck przygotowywał dwie pary raket śnieżnych, ponieważ już wkrótce czekała ich przeprawa przez śnieg. Nie ma nic bardziej męczącego, a zarazem sprzyjającego odmrożeniom. O tych ostatnich Tikaani wiedział wszystko, był to bowiem stały element życia w społeczności Anaków. Najbardziej narażone na odmrożenie są uszy, nos oraz palce, a więc te części ciała, do których przy bardzo niskiej temperaturze nie dociera krew. W ten sposób organizm próbuje zaoszczędzić własne ciepło. Skutek jest taki, że w miejscach tych zaczynają się tworzyć kryształki lodu, powodując obumieranie komórek bądź zakażenie. W końcu, by ocalić życie poszkodowanego, trzeba mu amputować martwe części ciała.

Do tego absolutnie nie można dopuścić.

Tikaani ujął w dłonie oba końce gałęzi, które Beck związał kawałkiem drutu zabranego z samolotu. Do tak wykonanej ramy przymocował prostokątny kawałek płótna wycięty z jednej z koszul, a następnie wzmocnił całą konstrukcję, przytwierdzając w poprzek ramy cienkie, ale mocne patyki, które równocześnie miały służyć jako oparcie dla stopy.

Wszystko to powtórzył trzykrotnie i w rezultacie powstały dwie pary raket śnieżnych. Po tem chłopcy pobierali rzeczy do plecaków, zasypali ognisko ziemią i ruszyli w dalszą drogę. Rakiety na razie nieśli przewieszzone na plecach.

Wkrótce zobaczyli śnieg. Drzewa pozostały w tyle, a grunt pod ich stopami wyraźnie stwardniał. Nie było już miękkiego igliwia – jedynie ciemna, zmarznięta ziemia porośnięta kępkami szorstkiej, szczeciniastej trawy.

Pierwszy płat śniegu, jaki zobaczyli, miał zaledwie metr szerokości. Przypominał białą narzutę okrywającą skalny pagórek. Niebawem jednak zaczęło się ich pojawiać coraz więcej i coraz bliżej siebie, aż w końcu zlały się w jednolitą połąć suchego, białego puchu przykrytego cienką warstwą lodu, która przy każdym kroku stawiała lekki opór, by zaraz potem pęknąć z trzaskiem pod naciskiem butów.

- Dobra, zakładamy rakiety – zarządził Beck, zgarniając śnieg ze skały, żeby na niej usiąść.

Najpierw założył karple Tikaaniemu, mocując je do butów drutem, a potem sobie.

- Z początku pewnie ci się będzie szło trochę dziwnie, bo rakiety mogą o siebie uderzać, ale szybko się przyzwyczaisz. Trzeba tylko uważnie stawiać kroki. I pamiętaj, żeby cały czas ruszać palcami u rąk i stóp – dopóki nie zejdziemy ze śniegu. To ci zapewni prawidłowe krążenie krwi. Nie przestawaj ani na chwilę.

- Wiem, wiem – Tikaani zrobił na próbę parę kroków. – Odmrożyny.

- Właśnie. Wystarczy zaledwie sześćdziesiąt sekund.

Odmrożina jest pierwszym objawem odmrożenia. Dotyka jedynie zewnętrznej warstwy skóry, ale skutkuje bólem i trwałą uszkodzeniem komórek.

- Będę cały czas ruszał palcami – obiecał Tikaani i niezgrabnym krokiem ruszył przed siebie.

- Czuję się jak kaczką!

Beck wyszczerzył w uśmiechu zęby. Rzeczywiście było w tym coś z kaczego chodu.

– Kwa, kwa! – powiedział rozbawiony i zaraz musiał schylić głowę, bo Tikaani rzucił w niego śnieżką.

Powietrze było tu jednak zbyt rozrzedzone na tego typu zabawy; chłopcy musieli oszczędzać siły na marsz. Im dalej posuwali się w kierunku szczytów, tym grubsza stawała się śnieżno-lodowa powłoka. Beck wytężał wzrok, wypatrując pośród nieskazitelnej bieli czegoś, co by wyglądało na przełęcz, do której zmierzali, ale nie był w stanie jej dojrzeć. „No nic” – westchnął w duchu. – „Jeszcze nam zostało trochę drogi”.

Teren to podnosił się, to nieznacznie obniżał, ale ogólnie rzecz biorąc, szli cały czas pod górę. W miejscach bardzo stromych posuwali się zakosami, co znacznie ułatwiało wspinaczkę i pozwalało unikać głębokich zasp. Słońce wciąż wisiało nisko nad horyzontem – znajdowało się właściwie na wysokości obu chłopców, których mocno wydłużone cienie tańczyły na lodzie.

Po jakimś czasie teren znów się wyrównał. Znajdowali się teraz na czymś w rodzaju płaskowyżu w połowie wysokości góry. Przed sobą mieli urwisko z wąskim przesmykiem pośrodku, którym można było się dalej wspiąć. Po lewej stronie urwisko przechodziło w pionową ścianę, po prawej zaś łączyło się pod kątem prostym z następnym urwiskiem.

Po płaskim terenie chłopcom szło się znacznie łatwiej.

– Miej oczy otwarte i uważaj na miejsca, w których śnieg wydaje się trochę ciemniejszy niż gdzie indziej – radził Beck. – I na płytkie zagłębienia w śniegu. Mogą oznaczać, że pod spodem jest dziura.

– Dobrze – Tikaani rozejrzał się wokół, ale nic takiego nie zobaczył. – Sądząc po twoim tonie, chyba nie chodzi o byle dziury.

– Dobrze główkujesz – przyznał Beck. – Będą ogromne! W tej chwili wciąż idziemy po twardym gruncie, ale wyżej, pod śniegiem, znajduje się lód, a w lodzie często pojawiają się olbrzymie szczeliny. Jeśli do takiej wpadniesz, zginiesz jak... STÓJ!

Tikaani zastygł w miejscu. Prerażony Beck przyglądał się śniegowi, na którym stali, a potem obejrzał się za siebie, na przecinające gładką płaszczyznę śniegu ślady ich stóp.

Zbyt gładką! Powiódł wzrokiem dookoła i serce zamarło mu w piersiach. Rozglądał się za szczelinami, a tymczasem nie zauważył równie poważnego niebezpieczeństwa, z którym w dodatku musieli się zmierzyć natychmiast.

Aby się upewnić, zaczął delikatnie wbijać koniec kija w śnieg pod stopami, jednocześnie odgarniając jego wierzchnią warstwę. Natrafił na coś twardego, coś, co wydało głuchy odgłos. To nie była skała.

– Stoimy na lodzie – powiedział ściszym głosem. – Mamy pod sobą zamrożone jezioro.

Tikaani spojrział na stopy, jak gdyby przestraszył się, że zaraz zaleje je woda. Beck ponownie spojrział za siebie i ocenił, że nie odeszli zbyt daleko od brzegu – dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów, nie więcej. W takiej właśnie odległości gładka powierzchnia śniegu podnosiła się lekko i, co więcej, wystawał tam czarny kawałek skały. Oznaczało to twardy grunt.

– Odwróć się – powiedział. – I wracaj po własnych śladach...

Lód, po którym przeszli, był na tyle mocny, by utrzymać ich ciężar. Chłopcy zawrócili i w pół minuty później stali już na brzegu jeziora.

Beck przyglądał się teraz uważnie gładkiej powierzchni przed nimi. „Tylko głupiec szedłby po zamrożniętym lodzie zamiast bezpieczną drogą naokoło” – pomyślał. Jezioro rozciągało się na szerokość około siedemdziesięciu metrów. Dalej teren zaczynał się znów podnosić.

Beck spojrział wokół. Otaczały ich skały, z lewej strony przechodzące w pionową ścianę. Jeziora nie dało się ominąć, ale wystarczy jeden fałszywy krok, a obaj wpadną do lodowatej wody. Wówczas, zwłaszcza przy zimnym wietrze, który jeszcze bardziej obniża temperaturę ciała, hipotermię mają jak w banku.

– Nie mamy wyboru – powiedział z wahaniem. – Musimy iść tędy.

Ruszył ostrożnie przodem na skraj jeziora i odgarnął śnieg kijem. Lód pod spodem był szary i chropowaty.

– Problem w tym – powiedział Beck – że pod śniegiem lód zawsze jest cieńszy. Śnieg zapewnia izolację i zapobiega dalszemu zamarzaniu wody.

– W takim razie chodźmy przez środek – odparł Tikaani. – Krótsza droga, szybciej ją pokonamy.

– Nie – sprzeciwił się Beck. – Tam lód jest najcieńszy.

Kilkakrotnie uderzył kijem w szarą skorupę. Lód wydawał się solidny, ale żeby utrzymać ich ciężar, musiałby mieć co najmniej pięć centymetrów grubości. Tego niestety w żaden sposób nie dało się stwierdzić.

– Jezioro zawsze zamarza od brzegów do środka, co znaczy, że lód przy brzegu jest najstarszy i najgrubszy. Musimy więc iść samym skrajem.

– Ty wiesz, jak się sprawdza jedzenie – odparł Tikaani zdecydowanym tonem. – Pozwól, że ja ci coś powiem o lodzie. Patrz – wskazał na skraj jeziora, którądy chciał pójść Beck. Leżało tam mnóstwo kamieni i głazów, które wpadły do wody. – Lód przy tych skałach jest znacznie cieńszy.

Beck zagryzł wargę. To prawda, pomyślał. Niestety, wiedział również, że na środku jeziora lód może być cienki jak papier.

– Musimy zastosować kompromisowe rozwiązanie – powiedział.

Ruszyli więc, posuwając się tak blisko brzegu, jak tylko wydawało się to bezpieczne, pamiętając jednocześnie, by trzymać się w pewnej odległości od siebie. W przeciwnym razie ich łączny ciężar wywarłby zbyt duży nacisk na powierzchnię lodu. Tikaani miał rację – lód wokół skalnych odłamków był cienki. Beck czuł, jak ugina się w tych miejscach pod stopami, mimo że szli w rakietach śnieżnych.

W połowie drogi przy brzegu sterczał olbrzymi głaz i aby go ominąć, musieli wyjść niemal na środek jeziora. Z każdym kolejnym krokiem Beck słyszał coraz wyraźniej, jak trzeszczy pod nim lód. Spodziewał się, że zaraz pęknie z hukiem, jakby ktoś strzelił z karabinu, a wtedy... lepiej nie myśleć. Jezioro nie było ich sprzymierzeńcem, zakłócał jego spokój, byli intruzami, którzy wtargnęli w te góry.

Drugi brzeg – a za nim twardy grunt, skały i wznoszące się zbocze – był coraz bliżej, ale Beck wiedział, że nie należy się spieszyć. Nawet w odległości dwóch metrów od brzegu ostrożnie odgarniał śnieg przed każdym kolejnym krokiem. Zdawał sobie sprawę z tego, że nawet jeśli zamoczy tylko stopę, może się to skończyć odmrożeniem palców.

W końcu jednak stanął na twardej ziemi. Odwrócił się i z promienną twarzą zawołał do Tikaaniego:

– Udało się!

Tikaani uśmiechnął się w odpowiedzi i postąpił o kilka kroków w jego kierunku.

Nagle rozległ się trzask, który odbił się echem od skalnych ścian, i zaraz potem plusk. Tikaani osunął się, jakby otworzyła się pod nim jakaś zapadnia.

– Tikaani!!! – ryknął Beck.

Zrobił krok naprzód, usiłując pomóc swemu towarzyszowi i spojrzał pod stopy. Od razu zorientował się co się stało. Stał na niewielkim skalnym cyplu, a wokół rozciągała się lodowa tafla, która przed momentem załamała się pod Tikaanim.

Kiedy lód pękł, chłopiec wyciągnął ramiona, dzięki czemu zdołał utrzymać głowę i barki na powierzchni, ale resztę ciała miał pod wodą, która chlupotała i wylewała się przez ciemny otwór w zamrożonej tafli.

– Ziiiiimno! – zawył.

– Tikaani! Zdejmij plecak! Szybko! I odwróć się...

Beck zrzucił rakiety i przyczołgał się w kierunku Tikaaniego tak blisko, jak tylko się odważył. Nie mógł ulec instynktownym odruchom i zbliżyć się jeszcze bardziej, by podać rękę tonącemu, bo gdyby obaj znaleźli się w wodzie, to byłby koniec.

Tikaani nie ruszał się. Usta miał wciąż szeroko otwarte, jakby krzyczał, ale Beck nie słyszał go. Woda już się uspokoiła i widać było, że chłopiec nie tonie, lecz stoi na dnie jeziora. Woda sięgała mu do ramion. Był to maleńki promyczek nadziei w tej fatalnej sytuacji.

– Tikaani! – zawołał ponownie Beck.

Tikaani spojrzał na niego z otwartymi ustami, z trudem łapiąc powietrze.

– Wyzuć plecak i odwróć się! Tam dalej lód jest gruby, pomogę ci wyjść...

Oddech Tikaaniego stawał się coraz szybszy. Beck wyobrażał sobie cierpienie chłopca. Gwałtowny wdech wywołany szokiem termicznym niejednokrotnie powoduje, że do płuc dostaje się woda. Przynajmniej tego

na razie udało się uniknąć. Nadal realne było jednak zagrożenie hipotermią, która mogła się pojawić w ciągu kilku minut, obezwładniając ciało i umysł. Organizm traci wówczas wszelkie czucie; zanika zdolność koordynacji i siła fizyczna, a jeśli szybko nie nadejdzie pomoc, może dojść do zatrzymania pracy serca.

– Odwróć się! – ponownie zawołał Beck.

Tikaani prawdopodobnie tracił już zdolność koncentracji i koordynacji ruchów. Trzeba było postępować stanowczo.

– Odwróć się!

Tikaani zaczął się odwracać. Zesztywniałymi palcami zdołał jakoś odpiąć sprzączkę plecaka, który zsunął się do wody i podskakiwał na jej powierzchni jak korek. Beck zręcznie wyłowił go kijem.

– Dobrze. A teraz podaj mi rakiety!

Tikaani z trudem zdjął rakiety i rzucił je Beckowi.

– Świetnie! A teraz wylaż. No dalej, wylaż! – popędział go Beck.

Chłopiec wsparł się łokciami o lód i zaczął się powoli podciągać. Wkrótce nad wodą znalazł się jego tułów, potem biodra i uda, aż wreszcie z wielkim trudem cały wygramolił się z jeziora. Przemoczone spodnie już sztywniały mu na mrozie.

– Tutaj! – krzyknął Beck. – Tutaj! Szybko!

Tikaani doczołgał się do cypla, gdzie Beck chwycił go za rękę i wyciągnął na suchy ląd. Twarz Tikaaniego była wykrzywiona z bólu, obejmował się rękoma, a jego ciałem wstrząsały spazmatyczne drgawki.

– Zz-i-mm-n-o! – jęczał.

– Będzie dobrze... Już jesteś bezpieczny... Chodź. – Beck pomógł mu wstać i odejść od jeziora.

– Zimno!

– Wiem. Chodź, ogrzejemy cię.

Beck przygryzł wargę i rozejrzał się po zasypanym śniegiem pustkowiu. Ogrzać go? Ale jak? Jednak musiał to jakoś zrobić, w przeciwnym razie za kilka minut Tikaani będzie martwy.



ROZDZIAŁ ÓSMY

– Rozbieraj się! – krzyknął Beck.

Tikaani cały dygotał, a twarz miał wykrzywioną w bólu, ale mimo to spojrzął na niego zaskoczony.

– No już! – popędzał go Beck.

– O Boże – wyjąkał Tikaani, usiłując rozpiąć guziki zgrabiałymi, trzęsącymi się palcami. – Nnnnie wwie-dzzia-łłem, żżżze ttto o ttttaakiiie wvakacjee chooodzi.

– Ściągaj wszystko – rzucił Beck, gdy Tikaani został w samych spodenkach.

Tikaani niechętnie usłuchał. Całe jego ciało pokrywała szorstka jak papier ścierny gęsia skórka.

– A tttterraz ccccoo?

Ale zanim dokończył, Beck już go nacierał koszulką ze swojego plecaka, którą po chwili wepchnął mu w dłoń.

– Masz, zrób to sam – poinstruował. – Musisz się ruszać i wysuszyć na tyle, na ile to możliwe. Potem cię ogrzejemy.

„Ogrzać!” – pomyślał ponownie. Zawisło nad nimi widmo hipotermii, gotowej w każdej chwili ich dopaść, zamienić ciało i krew w lód, połączyć ich w jedno z tym śnieżnym pustkowiem. Ciało dotknięte hipotermią powoli obumiera, wyłączając kolejne narządy, by utrzymać przy życiu te najważniejsze. Jedynym sposobem na uratowanie się jest znalezienie zewnętrznego źródła ciepła.

Beck chwycił swój plecak, wiedząc, że w bagażu Tikaaniego wszystko jest mokre, i zaczął gorączkowo przerzucać zawartość. Poczul strużkę potu na czole, która ostrzegła go, że trzeba natychmiast zwolnić, uspokoić się. To było najważniejsze zadanie w jego życiu – nigdy dotąd nie musiał ratować kogoś, kto był tak bliski śmierci. Dlatego musiał zwolnić. Gdyby teraz się spocił, kropelki potu w końcu by zamrzły, a wówczas i jego czekałaby hipotermia i zgon.

Na szczęście znalazł suche ubranie dla Tikaaniego. Buty chłopca wciąż ociekały wodą i nie było sposobu, by temu zaradzić, ale przynajmniej mógł włożyć suchą odzież, która zapewni mu niezbędną warstwę ciepłego powietrza bezpośrednio przy skórze, zapobiegając dalszemu wyziębianiu organizmu.

Przynajmniej na jakiś czas. Wciąż jednak chłopiec był przemarznięty do szpiku kości.

– Dobra – powiedział Beck. Odgarnął ręką śnieg ze skały i ułożył na niej stosik ubrań. – Załóż to wszystko na siebie.

Teraz czekało go jeszcze większe wyzwanie. Stanął wyprostowany, z rękoma na biodrach. Musiał rozpalić ognisko! Same ubrania nie ogrzeją kogoś, kto właśnie wpadł po uszy do lodowatej wody. Tikaani potrzebował dodatkowego źródła ciepła.

Ognisko? Tutaj?

Beck rozglądał się po śniegu i lodzie. Najbliższe drzewa znajdowały się o parę godzin marszu w dół. Co by tu można zapalić? Skały?

Przyszło mu do głowy, by spalić zawartość plecaka, ale ta myśl niezbyt go zachwycała. Mógłby spalić resztę ubrań i prowizoryczne sznury, które wykonali przy wraku samolotu, ale zdawał sobie sprawę, że taki ogień długo się nie utrzyma. Tak czy owak to byłaby naprawdę ostateczność...

– Tikaani, czy na tej wysokości góry są przez cały rok pokryte śniegiem?

Tikaani, który właśnie zakładał spodnie, spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Tak. Nie... To znaczy szczyty są zawsze ośnieżone, ale niższe partie w lecie są zielone. Czemu pytasz?

Beck ucieszył się, widząc, że młody Anak nie dygoce już tak gwałtownie jak wcześniej. Nadal jednak cały się trząsał.

– Bo jeśli tu nie ma śniegu w lecie, to może...

Rozejrzał się ponownie. Gdyby rosły tu jakiegokolwiek rośliny, to tylko w osłoniętych miejscach. Przykucnął przy głazie i zaczął kopać rękami w śniegu.

Jest! Palce Becka zacisnęły się wokół czegoś twardego i okrągłego. Odgarnął śnieg, a jego oczom ukazała się ciemna, powyginana gałązka – należała do jakiegoś krzewu, który czekał na odwilż, by wypuścić nowe pędy. Jednym, mocnym szarpnięciem Beck wyrwał ją z ziemi, po czym zaczął przeszukiwać teren wokół w nadziei, że znajdzie więcej opału. Przelamał jedną z gałązek, która wydała obiecujący trzask. Połyskujące na niej płatki śniegu topniały w dłoni. Gałązka spędziła zimę pod śniegiem, ale w środku była sucha.

Beck lekko oskrobał nożem korę, odsłaniając suche drewno, aby gałązki łatwiej mogły się zająć ogniem. Za rozpałkę posłużyły mu kawałki waty, które zabrał z apteczki w samolocie. Nogą odgarnął śnieg z ziemi za głazem, stanowiącym naturalną zaporę przed wiatrem, i skrzesał pierwsze iskry za pomocą krzesiwa. Tikaani, już ubrany, przykucnął obok.

– O nie – sprzeciwił się Beck. – Dopóki nie rozpalę ogniska, cały czas musisz chodzić.

Tikaani spojrzał na niego.

– Że co? Niby gdzie?

– Masz chodzić, choćby w kółko. Ciało musi wygenerować własne ciepło. Twój organizm jest wyziębiony. Trzeba mu pomóc. No dalej! Ruszaj się! I przy każdym kroku podnoś wysoko kolana.

Tikaani popatrzył na niego gniewnie, prawie z nienawiścią, ale zaraz zaczął krążyć wokół ogniska, pocierając dłońmi ramiona, podczas gdy Beck rozniecał ogień za pomocą waty i kilku szmatek, które wyciął nożem myśliwskim z prowizorycznego sznura.

– I nie pocieraj tak ramion – powiedział Beck, jakby mimochodem, skoncentrowany przede wszystkim na ognisku. – Powoduje to odpływ krwi z wnętrza organizmu, który w ten sposób jeszcze bardziej się oziębia. Lepiej wymachuj szybko rękoma. Dzięki temu krew napłynie do nich i cię ogrzeje. To naprawdę działa. Słowo.

Tikaani zatrzymał się, lypnął na niego wściekle i pomaszerował dalej. Tym razem wymachiwał rękoma zgodnie z sugestią.

– Był kiedyś taki facet, nazywał się Ernest Shackleton – odezwał się Beck, podczas gdy Tikaani dreptał noga za nogą. – Przed pierwszą wojną światową zorganizował wyprawę na biegun południowy.

Ukląkł i delikatnie podmuchał w ogień. Na szmacianym sznurze pojawił się mały płomyk, który powoli zaczął rosnąć. Beck opowiadał dalej:

– Jeden z uczestników wyprawy wpadł do wody. Wszyscy dryfowali wtedy na krze lodowej i nie było tam nic, co by się nadawało do spalania. Musiał więc chodzić w kółko po tej krze przez dwanaście godzin. Po prostu chodzić, chodzić, chodzić, aż wreszcie wysechł. Dwanaście godzin! Ale dzięki temu przeżył. Nikt nie zginął i w końcu wszyscy szczęśliwie wrócili do domu.

Ogień zaczynał się rozpałać. Płomień nieśmiało ocierał się o drewno, jakby zapraszając je do wspólnej zabawy. Gałązka zaś nie wiedziała, co począć. Miała przecież spędzić jeszcze kilka tygodni pod śniegiem, zanim ponownie wychynie na świat, gdy nadejdzie lato. W końcu jednak dała się przekonać. Najpierw zajęła się zwinięta kora. W górskie powietrze wzbila się smużka dymu.

Beck nie przestawał dmuchać, dopóki nie był absolutnie pewien, że ogień rzeczywiście się pali i nie zgaśnie po kilku minutach. Dopiero wtedy odsunął się nieco, przykucnął i odetchnął z ulgą.

– Dobra, chodź usiąść przy ognisku – powiedział, a sam podniósł się, by poszukać więcej drewna na opał.

Tikaani w mgnieniu oka znalazł się po drugiej stronie ogniska, przykucnął i wyciągnął ręce, żeby się ogrzać. Ogień może i nie był zbyt wielki, ale wystarczający, by ocalić życie chłopca.

Beck uśmiechnął się z ulgą. Tikaani odpowiedział mu uśmiechem.

– Wystaw też stopy w stronę ognia – poradził Beck. – W ten sposób szybciej się ogrzejesz.

Pod zaspami wokół skał znajdowało się więcej opału. Beck zebrał tyle, ile tylko zdołał znaleźć. Potem, kiedy ciało Tikaaniego zaczęło powoli tajać, napchał do jego butów kawałków sznura. Czekał ich marsz przez śnieg i lód; wilgotne buty wchłonęłyby całe ciepło ze stóp Tikaaniego, a wtedy odmrożenie murowane. Beck suszył je nad ogniskiem, trzymając podeszwę do góry, by przyspieszyć proces schnięcia.

– Myślę, że sam dam radę – rzekł Tikaani, zabierając buty z rąk Becka. Znowu mówił normalnym głosem, nie szczękał już zębami ani nie miał napadów drżenia. – Potrafię więcej, niż

tylko wpadać do wody.

– Jasne, że tak – zgodził się Beck z uśmiechem. – Trzymasz buty po mistrzowsku.

Tikaani wyglądała na zakłopotanego.

– Przeze mnie mamy opóźnienie. Chciałeś, żebyśmy przeszli na drugą stronę gór przed zachodem słońca, a teraz co?

– Wciąż jeszcze mamy szansę – Beck spojrzął na szczyt. – Prawda, straciliśmy dwie godziny, ale przecież zmrok zapada tu późno. Po prostu pójdziemy trochę dłużej, i tyle.

– Tak czy siak, przepraszam.

– Nie ma za co – Beck przygryzł wargę. – Równie dobrze to się mogło przydarzyć mnie – dodał, ni to do Tikaaniego, ni to do samego siebie. – Powinienem zauważyć, że jezioro się tutaj jeszcze nie kończy. Muszę uważać.

Wstał, bardziej by zakończyć rozmowę niż w jakimś konkretnym celu. Choć wolałby się dłużej nie zdręzczać, to jednak musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Popełnił tylko jeden drobny błąd, ale znajdowali się w terenie, gdzie nie było miejsca na błędy. Przyrzekł sobie solennie, że więcej błędów nie będzie.

Wysypał zawartość przemoczonego plecaka Tikaaniego, licząc, że znajdzie w nim coś suchego. Były to płonne nadzieje. Mokry sznur raczej nie stanowił wielkiej straty; gorzej z mokrą odzieżą.

Ubranie, które miał na sobie Tikaani, kiedy wpadł do jeziora, było przemoczone do suchej nitki. Jedynie nieprzemakalnej kurtce nic się nie stało, ale przydałby się również suchy polar. Niestety, nie mieli zapasowego.

Beck wykręcił polar z całych sił. Potem rozłożył go na skale, obok pozostałych części mokrej garderoby i wrócił do ogniska.

– Nie wiem, czy wyschną, czy po prostu zamarzną – rzekł Tikaani.

Beck uśmiechnął się szeroko:

– O to właśnie chodzi!

Poczekał godzinę, by upewnić się, że Tikaani ogrzał się na tyle, na ile to było możliwe, po czym wstał i zdjął ze skały polar, który tymczasem zamienił się w sztywny płat lodu.

Zaczął go wyginać, łamać, a potem tłuc nim mocno o skalę. Musiał zamknąć oczy, ponieważ kawałki lodu sypały się na wszystkie strony. Powtórzył całą operację jeszcze dwa razy. Na koniec potrząsnął polarem i pokazał go Tikaaniemu.

– Jest prawie zupełnie suchy! – zawołał Tikaani. Przesunął po nim palcami, by sprawdzić. – Niesamowite!

Beck rozpromienił się. Jego przyjaciel przypominał mu teraz gospodynię domową z reklamy jakiegoś środka czyszczącego.

– Nowy, ulepszony środek suszący – powiedział gładkim, nieszczerym głosem faceta odczytującego w telewizji tego rodzaju teksty.

– Twoje ubranie jeszcze nigdy nie było tak suche! – dopowiedział Tikaani. – Więc po prostu je zamroziłeś?

– No – potwierdził Beck. – A kiedy cała woda zamieni się w lód, wystarczy je wytrzepać.

Pozbierał resztę ubrań, które zostawił do suszenia. Były pokryte lodem, ale jeszcze nie całkiem suche.

– No nic, jak już znajdziemy schronienie na noc, zostawimy je na zewnątrz, a wtedy do rana wyschną na pewno. Jak się czujesz?

Tikaani wyszczerzył zęby z radości, wstał i przeciągnął się.

– W życiu się jeszcze tak dobrze nie czułem!

– W takim razie załóż buty i ruszamy dalej. I daj mi swoją butelkę na wodę. Przynajmniej możemy ją tu napełnić.

Teren powoli się wznosił. Jeszcze przy jeziorze był zróżnicowany – na przemian dolinki, wzniesienia i miejsca zupełnie płaskie. Teraz nie było już wątpliwości, że idą pod górę i tylko pod górę. Każdy krok oznaczał walkę z ciężeniem i coraz większe zmęczenie w stopach i udach. Trzeba było oszczędzać siły na tę jedną, monotonicznie powtarzaną czynność, żaden z chłopców nie miał więc ochoty marnować energii na rozmowę. Oddychali głęboko, na ile pozwalało rozrzedzone powietrze, i szli w milczeniu.

Nie było już nagich skał ani tym bardziej roślin, których można by użyć na rozpałkę, nic żywego ani martwego do zjedzenia. Tylko zbocze góry pokryte grubą warstwą gładkiego, jednolitego śniegu. Beck prowadził, podchodząc długimi zakosami. Gdyby nie rakiety śnieżne, przy każdym kroku zapadałoby się w śnieg aż po uda i wspinaczka byłaby zwyczajnie niemożliwa.

Ale wkrótce przekonali się, że może być jeszcze gorzej. Przed sobą ujrzeli bowiem dolinę biegnącą do góry pomiędzy dwoma grzbietami. Jedyna droga wiodła środkiem, po nierównej, poszarpanej pochyłości, która mieniła się wszystkimi odcieniami bieli i szarości. Beck zdał sobie sprawę, że czeka ich przeprawa przez zamrożoną rzekę lodu, płynącą tędy bardzo powoli z wyższych partii gór.

– Teraz będzie trudno – powiedział. – Przed nami lodowiec.

Widział go wcześniej na mapie, nie był więc zaskoczony. W każdym razie oznaczało to, że nie pobleździł i w dalszym ciągu zmierzają ku przełęczy. Co nie zmienia faktu, że łatwo nie będzie. Chcąc nie chcąc, musieli iść dalej doliną, wspinając się po zamrożonej rzece. Potem znów wyjdą na suchy grunt – albo przynajmniej na śnieg.

Tikaani wyciągnął szyję, by przyjrzeć się jęzorowi lodowca.

– Idziemy tędy? – spytał.

– Wolalbym nie, ale...

Beck wyjął GPS i włożył baterie. Zmrużył oczy, wpatrując się w ekran. Według mapy góra nagle wznosiła się tu prawie pionowym urwiskiem – skalną ścianą o wysokości stu metrów. Beck podniósł wzrok i zobaczył, że tak jest w istocie. Wyglądało to jak gigantyczna pomarszczona kurtyna układająca się w zamrożone fałdy i fałdki. W jednej z nich według mapy kryła się przełęcz, którą GPS pokazywał jako wyraźną przerwę w gęstej płataninie poszarpanych linii.

– ...ale nie mamy wyjścia – Beck westchnął.

Odchylił głowę, by przyjrzeć się nagim szczytom, które wciąż wznosiły się ponad tysiąc metrów nad nimi. Potężne siły przyrody wypiętrzyły te góry w ciągu milionów lat. Teraz te same siły sprawiały, że masyw powoli się rozsuwał pod własnym ciężarem. W pionowej skalnej ścianie powstawały pęknięcia – i właśnie dzięki temu możliwe będzie przejście na drugą stronę góry. Jedno z tych pęknięć było przełęczą, której szukali.

– Nie widzę jej – powiedział Tikaani, który patrzył w tym samym kierunku i o tym samym myślał.

– To będzie tam – Beck machnął przed siebie, tnąc dłonią powietrze. – Tam, zobacz – wskazał na ekran. – Widzisz, jak blisko siebie są te linie?

Tikaani spojrział na podświetloną mapę.

– No i...?

– Im ciaśniej biegną obok siebie, tym bardziej stromy jest teren.

– To znaczy...

– To znaczy, że nasza przełęcz jest wąziutką ścieżką między dwiema bardzo stromymi skalami. Nie martw się, znajdziemy ją, choć pewnie trzeba będzie podejść bardzo blisko.

Wskaźnik naładowania baterii pokazywał już niemal zero, dlatego Beck szybko wyłączył urządzenie. Na razie można się będzie kierować tylko wzrokiem.

Zrzucił plecak i otworzył go.

– Poza tym od teraz będziemy iść przywiązani do siebie.

Obaj mieli po kawałek własnoręcznie uplecionego sznura. Beck związał je razem i mocno zaciągnął. Węzeł trzymał.

– Żeby nie uciekł? – spytał Tikaani.

– Dobra wiadomość jest taka – wyjaśnił Beck – że ten lód nie załamie się pod tobą tak jak na jeziorze. Zła wiadomość – że jest popękany. Lodowiec waży tysiące ton i ulega różnym naprężeniom, przez co powstają szczeliny. Mogą być przykryte śniegiem, dlatego trzeba się rozglądać za zagłębieniami o nieco ciemniejszej barwie. Jeśli wpadniesz do takiej dziury i okaże się głęboka, w życiu się z niej nie wydostaniesz o własnych siłach.

– Więc gdybyś wpadł – zastanawiał się Tikaani, przesuwając sznur w palcach – to ja będę cię musiał złapać i wyciągnąć?

– Tak, byłbym wdzięczny – odparł Beck, jakby prosił o drobną przysługę. – Ja pewnie zrobię to samo dla ciebie.

Przeszli jeszcze kawałek po twardym gruncie, po czym wkroczyli na lód. W tym miejscu lodowiec wyginał się i Beck wiedział, że po zewnętrznej stronie jęzora będzie najwięcej szczelin, ponieważ to tam występują największe naprężenia.

– Trzymaj się kilka metrów za mną – poinstruował Tikaaniego. – Pilnuj, żeby sznur nie wślókł się po ziemi. Idź po moich śladach i przed każdym krokiem – tu Beck mocno uderzył kijem w podłoże – najpierw sprawdź, na czym stajesz.

– Nawet jeśli dopiero co ty przeszedłeś w tym samym miejscu? – zdziwił się Tikaani.

– Nawet wtedy. Bo jeśli ja tylko osłabiłem lód, to pod tobą na pewno pęknie!

– Jasne – Tikaani wzruszył ramionami. – W końcu od czego są przyjaciele?

Szli po lodowcu zrazu nieśmiało, ale stopniowo nabrali pewności siebie. Na szczęście wciąż pokrywała go cienka warstwa puszystego śniegu, która skrzypiała i ugiwała się pod stopami. Gdyby się tu znaleźli w cieplejszej porze, musieliby cały czas ślizgać się po gładkim lodzie. Beck pomaszerował ku środkowej części lodowego jezora, po czym znów skręcił w górę. Szczeliny często pojawiają się przy krawędzi lodowca, tam gdzie szoruje po twardej powierzchni skał. Pośrodku lód splywa swobodniej i z reguły ma bardziej jednorodną strukturę.

Pierwszą szczelinę znaleźli mniej więcej po dwudziestu minutach, gdy przeszli kilkaset metrów. Nie była ukryta i nie pochłonęła żadnego z nich bez ostrzeżenia, niemniej jednak okazała się naprawdę niebezpieczną przeszkodą. Przecinała dolinę na całej szerokości, od jednego skalnego grzbietu do drugiego. Tu i ówdzie krawędzie były połączone cienkimi lodowymi kładkami. Beck przypuszczał, że w tym miejscu pod spodem znajduje się niewielkie wybrzuszenie dna doliny, które spowodowało naprężenie i pęknięcie lodowca.

– Wiesz co – odezwał się Tikaani. – Założę się, że dałbym radę przeskoczyć. Najpierw przetrzucimy plecaki, potem ściągniemy rakiety i weźmiemy rozbieg...

Beck potrząsnął głową.

– Nie wiesz, jak wytrzymałe są krawędzie szczeliny. Lód po drugiej stronie może się po prostu oberwać pod tobą. Potrzebny nam będzie lodowy most.

– A ty na pewno znasz stary, anakański sposób na jego zbudowanie?

Beck uśmiechnął się i ponownie potrząsnął głową.

– Natura sama robi takie mosty. My z nich tylko korzystamy. Tędy.

Ruszyli powoli wzdłuż krawędzi rozpadliny do najbliższej lodowej kładki. Miała około trzech metrów długości i mniej więcej metr szerokości. W środkowej części wyginała się lekko w dół, co nie napawało Becka optymizmem. I rzeczywiście: ledwo dotknął lodowej tafli kijem, ta pękła i runęła w głąb szczeliny.

– Ten odpada – stwierdził, kiedy lód uderzył o dno i rozpadł się na milion kawałków.

Wypróbowali jeszcze kilka innych mostków. Nie wszystkie się zawaliły, ale... Jedne wydawały się za wąskie, inne już na pierwszy rzut oka nie podobały się Beckowi. Lód musiał być solidny, o grubości co najmniej kilku centymetrów, i nie mógł być ugięty pośrodku. Najlepiej, żeby tworzył naturalny łuk o grubych końcach wyrastających z obu krawędzi rozpadliny, co dodatkowo by go wzmacniało.

Żaden z mostków nie był idealny, ale czas uciekał. Trzeba przecież było uratować wujka Ala, a w tym celu wcześniej przejść przez góry.

– Ty pierwszy – uprzejmie zaproponował Tikaani, nie odrywając oczu od cienkiej tafli lodu, która wydawała się najlepszym kandydatem. Była grubsza niż inne mostki i nawet nie drgnęła, gdy Beck uderzył ją kijem.

– Jasne – zgodził się Beck.

Tikaani spojrział w głąb rozpadliny.

– Jeśli spadniesz, nie jestem pewien, czy zdołam cię utrzymać...

– Ani ja – Beck znów przytaknął, ku zrozumiałemu zdziwieniu młodego Anaka. – Lepiej więc zdejmij plecak...

Lodowiec pokrywała kilkudziesięciocentymetrowa warstwa śniegu. Chłopcy wygrzebali w nim dziurę i zakopali w niej plecak Tikaaniego, do którego przywiązali sznur. Drugim końcem Beck obwiązał się w pasie.

– Nie ma szans, nie wytrzyma – Tikaani stwierdził sceptycznie kilka minut później. – W życiu!

– Tak myślisz? – odparł Beck z uśmiechem. Sam miał podobne wątpliwości, kiedy pierwszy raz zobaczył tę sztuczkę. Podał Tikaanemu sznur. – No to odejdź kilka metrów i pociągnij z całej siły.

Chłopiec ujął w dłonie sznur i szarpnął, raz i drugi. Zakopany plecak ani drgnął. Tikaani spojrzał na Becka z zaskoczoną miną.

– Taki jest śnieg – wyjaśnił Beck. – Sypki, miękki, łatwo się kruszy, ale jeśli go porządnie ubić, robi się bardzo wytrzymały. Mógłbyś wyciągnąć plecak szarpnięciem w górę, ale nigdy w bok, bo śnieg go nie puści.

Tikaani spojrzał na zakopany plecak, potem na sznur i wreszcie na rozpadlinę.

– Wciąż do końca nie mogę w to uwierzyć – przyznał.

– I właśnie dlatego ja pójdę pierwszy!

Beck zdjął rakiety i na czworakach, obwiązany w pasie sznurem, podpełznął do mostu, podczas gdy stojący z tyłu Tikaani powoli poluzowywał sznur palcami. Gdyby Beck stał, cały jego ciężar wspierałby się na stopach. Na czworakach rozkładał się na większej powierzchni.

Chłopiec położył rękę na mostku i na moment się zatrzymał. Coś ugięło się pod naciskiem i dłoń zapadła się na kilka centymetrów w śniegu. Beck zamarł w bezruchu, przekonany, że lód za chwilę runie. Zaraz jednak przypomniał sobie, że to samo działo się, gdy szedł po śniegu. Wierzchnia warstwa była zamrożona i stawiała minimalny opór, załamując się pod stopami. Beck uśmiechnął się do siebie i ruszył dalej na czworakach, próbując nie myśleć o wątlym mostku i głębokiej rozpadlinie pod nim.

Przejsie na drugą stronę nie zajęło mu wiele czasu – ostatecznie to było zaledwie kilka metrów. Tyle zamieszania o taki kawałek... Ale niepowodzenie oznaczałoby połamane kości i niechybną śmierć na dnie lodowej szczeliny. Wstał, otrzepał się ze śniegu i odwrócił się do Tikaaniego z szerokim uśmiechem.

– Twoja kolej!

Tikaani zdjął rakiety i odkopał plecak. W tym czasie Beck po drugiej stronie obwiązał sznurem swój plecak, który następnie zakopał w śniegu. Tikaani zawiązał sobie koniec sznura wokół pasa, otrzepał plecak ze śniegu, założył go na plecy i ruszył na czworakach przez mostek z dużo większą pewnością siebie niż wcześniej Beck.

Ledwo wyszedł poza krawędź szczeliny, zatrzymał się nagle z okrzykiem przestrochu.

– Chyba się coś oderwało!

– Idź dalej, powoli i spokojnie – zawołał Beck.

Tikaani spojrział na niego z niepokojem.

– To może być...

Nagle lód pękł z hukiem i Tikaani zniknął w rozpadlinie.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Tikaani! – zawołał Beck.

Usłyszał krótki, jakby zdziwiony okrzyk przyjaciela, a potem złowieszcze, głuche uderzenie. Plecak i sznur wytrzymały szarpnięcie, choć ten ostatni naprężył się mocno i wbił w śnieg na krawędzi rozpadliny. Na końcu, niewidoczny dla Becka, wisiał Tikaani.

– Tikaani! – zawołał ponownie Beck. – Jesteś cały?

Po chwili ciszy z głębi szczeliny odpowiedział mu głos młodego Anaka.

– Tak.

Jakby brakowało mu tchu. Możliwe, że potłukł się o ściany rozpadliny. Beck wyobraził go sobie wiszącego na końcu sznura. Żaden z nich nie miał specjalnej uprząży, zawiązany ciasno wokół pasa sznur musiał więc coraz mocniej ścisnąć chłopca, utrudniając mu oddychanie.

Beck chciał podejść bliżej i zerknąć w dół, ale obawiał się krawędzi szczeliny, a poza tym nie był do niczego przywiązany.

– Dasz radę się wspiąć?

– Auuu... – sznur zadrżał.

Beck usłyszał, jak buty Tikaaniego szorują lód. Obciążony sznur znów szarpnął.

– Nie. Buty mi się strasznie ślizgają.

Do wspinaczki po lodowej ścianie potrzebny jest odpowiedni sprzęt: raki, czekan, specjalne śruby do asekuracji. Beck rozejrzał się za czymś, co mogłoby się przydać. Ale mieli tylko sznur...

„No jasne” – pomyślał. – „Sznur wystarczy!”. Na jednym końcu wisiał Tikaani. W połowie był przywiązany zagrzebany plecak. Drugi koniec sznura leżał obok, luźno zwinięty na śniegu.

– Tikaani? Uważaj, spuszczam ci sznur!

Beck rzucił przyjacielowi luźny odcinek, który błyskawicznie się rozwinął i zniknął w szczelinie. Po chwili Beck usłyszał:

– Dobra, mam go. Co teraz?

– Złap obiema rękami. Ciągnij mocno.

Sznur napiął się pod ciężarem Tikaaniego.

– Teraz mocno się zaprzyj nogami i...

– Dobra, dzięki. Chyba załapałem.

Oba końce sznura znikające za krawędzią rozpadliny były teraz maksymalnie naprężone i wbiły się w śnieg – na jednym Tikaani wisiał, za drugi zaś ciągnął.

Nagle odcinek sznura, którym był opasany, poluzował się – chłopiec najwyraźniej zaczął się wspinać i nie obciążał go już całym ciężarem. Beck pozwolił sobie na słaby uśmiech i usiadł na śniegu, zapierając się piętami. Chwycił luźną część sznura i przewiązał się nią w pasie, a potem delikatnie pociągnął. Sznur znów się naprężył. Beck pełnił teraz rolę wspornika – gdyby Tikaani znów spadł, nie poleciałby już tak głęboko jak za pierwszym razem.

Powolnej wspinaczce chłopca towarzyszyło szuranie i skrobanie. Nagle trzymany przez Becka sznur znowu zadrżał. Tikaani całym ciężarem pociągnął go w dół. Beck przesunął się kilka centymetrów po śniegu, ale zaparł się nogami i wytrzymał.

Tikaani mocno grzmotnął o ścianę rozpadliny i aż jęknął z bólu.

– Wiem, że się poślizgnąłeś – zawołał Beck – ale jesteś coraz wyżej. – I rzeczywiście, dzięki pomocy Becka chłopiec piął się powoli do góry. – Nie przestawaj!

Tikaani był coraz wyżej. Trzymając mocno za wolny koniec sznura, kawałek po kawałku wdrapywał się do góry. Beck, gdy tylko czuł, że rozluźnia się opasający go sznur, ścigał go do siebie. I nawet kiedy buty Tikaaniego ślizgały się po lodzie i chłopiec znów zjeżdżał w głąb szczeliny, za każdym razem był trochę wyżej niż poprzednio.

Po dziesięciu minutach Beck wreszcie ujrzał głowę Tikaaniego wyłaniającą się zza krawędzi szczeliny. Choć jego twarz była wykrzywiona z wysiłku, zdołał posłać Beckowi triumfalny uśmiech. Kiedy powoli przeczolgiwał się przez krawędź, Beck wciąż trzymał sznur mocno naciągnięty. Puścił dopiero wtedy, gdy miał pewność, że przyjaciel jest bezpieczny.

Tikaani padł na kolana.

– Proszę – zachrypiął – wydostań nas z tego cholernego lodu!

Beck zaśmiał się z ulgą.

– Oczywiście! Pan pozwoli tędy...

Nie było już daleko. Sto metrów dalej lodowiec skręcał na północ. Ciągle szli naprzód, cały czas związani sznurem.

– Nawet kiedy zostanie nam już tylko metr, musimy uważać – powiedział Beck, gdy zbliżali się do krawędzi. – Na takim lodowcu ostrożności nigdy za wiele.

Ale lodowiec wreszcie się skończył i znów pod ich stopami były skały. Mogli odwiązać sznur i spakować go do plecaka. Spojrzeli na siebie i odetchnęli z ulgą.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – oznajmił Beck.

Popatrzył przed siebie. Skalna ściana wciąż była kilkaset metrów wyżej niż oni, ale mieli do niej teraz nie więcej jak kilometr. Beck znów wyciągnął GPS i...

Ekran nagle zgasł, jakby wydał ostatnie tchnienie.

– O nie! – jęknął Beck. – Tylko nie to!

Ścisnął GPS w dłoń i ekran po chwili znów zamigotał. Ale nie ulegało wątpliwości, że za chwilę urządzenie padnie na dobre. Beck próbował zapamiętać obraz, zanim przestało działać,

po czym przez dłuższą chwilę wpatrywał się w bezużyteczny kawałek plastiku. Cud współczesnej techniki był teraz wart tyle, ile martwa ryba.

Albo nawet mniej – martwą rybę mogliby przynajmniej zjeść.

– Nie ma problemu – powiedział Tikaani z kamienną twarzą. – Jestem pewien, że gdzieś tu widziałem gniazdko. Chyba w szczelinie lodowca.

Beck uśmiechnął się smutno.

– Dobra, w sumie daleko nas zaprowadził. A poza tym mamy mapę – wsunął GPS do kieszeni i odwrócił się tyłem do Tikaaniego. – Wyjmiesz?

Tikaani wyciągnął mapę z plecaka Becka i rozłożyli ją wspólnie. Cała pokryta była symbolami – nie tylko poziomicami, ale i tajemniczymi rysunkami oznaczającymi skały, drzewa i lód. Beck potrzebował dłuższej chwili, by to wszystko rozszyfrować i zorientować się, gdzie są. Pomyślał, że może za bardzo uzależnili się od GPS-u.

Z łatwością znalazł rzekę, którą przekroczyli w bród – pofalowaną, niebieską, lądząco cienką linię. Rozpoznał też przełęcz – zakręconą nitkę przecinającą węzeł poziomic. Byli gdzieś między rzeką a przełęczą, dość daleko na zachód od rzeki. Beck przejechał palcem po mapie i gdy napotkał płataninę ciemnych linii oznaczających lodowiec, wiedział już dokładnie, gdzie się znajdują.

– Więc jesteśmy tu... – spojrzał na szczyty gór. – A przełęcz jest tu. – Wiedział, że ją znajdują. Wyciągnął ramiona. – Gotowy na ostatnią prosta?

– I wtedy będzie już z górki?

Beck zerknął na mapę. Droga wspinała się w górę.

– Od połowy na pewno tak!

– O rany... – westchnął Tikaani. – Prowadź!

Przed nimi znajdowały się dwa skalne grzbiety, wyrastające z urwiska. Oba schodziły w dół zbocza – jeden na północ, drugi na południe. Chłopcy podchodzili zakosami, kierując się na urwisko, tak by cały czas widzieć cel wędrowki. Góra rozłożyła przed nimi skaliste ramiona, jakby w geście powitania. Wreszcie zobaczyli skalną ścianę. Beck zlustrował ją wzrokiem, szukając ciemnej rozpadliny otwierającej przełęcz.

– Nie widzę... – szepnął Tikaani, jakby czytając w myślach Becka. – Czego dokładnie szukamy?

Beck dobrze pamiętał, jak przełęcz wyglądała na mapie. Po tej stronie góry była wąskim wąwozem o ścianach tak stromych, że poziomicie zlewały się w grubą linię. Dalej jednak przechodziła w całkiem rozległą dolinę.

– Z tej strony wylot nie będzie szeroki. Może wyglądać jak pęknięcie w skale...

Trochę na lewo od nich skalna ściana nieco się wybrzuszała. Beck doszedł do wniosku, że po drugiej stronie może zaczynać się przełęcz.

– Tędy – powiedział i nieco zmienili kierunek marszu.

Minęli wybrzuszenie i... zobaczyli za nim tylko litą skałę.

Przez chwilę wpatrywali się w nią, jakby licząc na cudowne otwarcie.

– Zapukamy? – spytał po chwili Tikaani.

Beck mruknął coś pod nosem.

– Przepraszam. Naprawdę myślałem, że to będzie tutaj.

– Spokojnie, to musi być gdzieś niedaleko – stwierdził Tikaani. Beck pomyślał, że choć w głosie jego towarzysza słychać zawód, optymizm jest uzasadniony. – Możemy się rozejść w różnych kierunkach i poszukać.

– Taaak... – Beck wolałby się nie rozdzielać, ale dzięki temu oszczędziliby sporo czasu. – Tylko nie idź za daleko, najwyżej sto metrów. I musimy cały czas się widzieć, dobra?

– Dobra.

Tikaani ruszył więc na południe, a Beck na północ. Obaj uważnie badali podstawę skały. Nagle Beck zauważył kilka metrów wyżej szczelinę. Serce zabiło mu szybciej. No przecież! Oczywiście! Kto powiedział, że przełęcz musi się zaczynać na poziomie podłoża?

Zrzucił szybko rakiety śnieżne i zaczął się wdrapywać na gołą skałę. Skalna rozpadlina, do której zmierzał, miała najwyżej trzy metry szerokości i widział ją pod ostrym kątem. Nic dziwnego, że nie mogli jej dostrzec z daleka. Upewniając się, że jest w zasięgu wzroku Tikaaniego – sam przecież na to nalegał – Beck zbliżył się do wejścia. Triumfalnie zrobił ostatni krok i zobaczył... tylko skałę. Kilka metrów dalej szczelina zanikała. Przełęcz nie było.

Beck odwrócił się powoli i ostrożnie zszedł na dół. Usiadł i założył rakiety. Po chwili przywlokł się Tikaani.

– Tam nic nie ma – zameldował. – Przynajmniej nie na odcinku stu metrów.

– No dobra – westchnął Beck. – Czyli musimy iść dalej. Poszukamy razem.

– W którą stronę? – spytał Tikaani.

Beck w myślach rzucił monetą.

– Na południe – zdecydował i poszli tam, skąd właśnie wrócił Tikaani.

Przeszli około pół kilometra wzdłuż skalnej ściany, sprawdzając każdy zaułek i szczelinę. Czasami próbowali się wspinać na skały, by sprawdzić miejsca takie jak to, na które wcześniej trafił Beck. Bez rezultatu. W końcu natknęli się na kolejną szczelinę w lodowcu, wyrzeźbioną przez sączący się kilka metrów niżej strumyk. Pęknięcie było tak szerokie, że nie mieli jak przejść.

– Jeśli przełęcz jest po drugiej stronie... – zasmucił się Tikaani.

– Nie – uciął Beck.

Pomyślał, że tego typu szczelin nie oznacza się na mapach – szybko powstają i równie szybko znikają. Ale był przekonany, że już dawno minęli przełęcz i że właśnie ta rozpadlina mówi im teraz „Zawróćcie”. Tak właśnie zrobili i ruszyli z powrotem, sprawdzając ponownie skalną ścianę – Beck uznał, że to na pewno nie zaszkodzi. Gdy dotarli do punktu wyjścia, spojrzeli na siebie, wzruszyli ramionami i poszli dalej.

– Hej! – wykrzyknął w pewnym momencie Tikaani i serce Becka zabiło szybciej. Po chwili uświadomił sobie jednak, że jego przyjaciel spogląda w miejsce, na które on sam wcześniej zwrócił uwagę. Pokręcił głową.

– Niestety, to już sprawdziłem.

Tikaani bezradnie rozłożył ręce i powlekli się dalej. Skalna ściana przed nimi wybrzuszała się i znowu skręcała ku górze.

Dopiero po dłuższej chwili zorientowali się, że skręca dalej. Wkrótce ściana po lewej stronie stała się krawędzią skalnej szczeliny. Zatrzymali się i spojrzeli uważnie. Nie ekscytowali się zbyt, nauczeni poprzednimi doświadczeniami. Nie chcieli tracić energii na sprawdzanie kolejnego ślepego zaułka.

– Czy to...?

– Możliwe...

– Chyba ktoś jeszcze tak uważa – powiedział Beck, wskazując na ślady prowadzące do rozpadliny.

Jakby łapy psa. Każda z nich miała cztery niewielkie palce ustawione w półkolu i większe wgłębienie poniżej. Ale obaj wiedzieli, że to nie był pies.

Spojrzeli na siebie.

– Co zrobimy, jeśli wilk wciąż tu jest? – spytał Tikaani.

Beck wzruszył ramionami.

– Powiedz: „dobry piesek”.

Zerknął w głąb rozpadliny i krzyknął:

– Hop-hop!

Ta rozpadlina była dużo szersza niż ślepy zaułek, na który trafili wcześniej. Wiła się tak bardzo, że nie mogli dojrzeć, co jest dalej, ale ewidentnie przejście prowadziło w dobrym kierunku. To mogła być przełęcz, której szukali... Ale czy nie spotkają na niej niebezpiecznego mieszkańca? Nie znaleźli powrotnych śladów, wilk zatem wciąż tam był. Głodny, zapewne zdesperowany drapieżnik. Beck nie chciał dzielić z nim tej niewielkiej przestrzeni.

„Oczywiście mógł też wyjść z drugiej strony” – pomyślał Beck.

W sumie ich było dwóch, a wilk jeden, w dodatku mieli kije, którymi mogli go przegonić. Jedno było pewne – nie mogli tu wiecznie czekać.

– Chodźmy – powiedział Beck i ruszyli w głąb.

– To może być to – odezwał się Tikaani po minucie. Szli gęśmiego między skalnymi ścianami, mocno dzierżąc kije na wypadek ewentualnego ataku.

– No... – przytaknął Beck, gdy odległość między skalnymi ścianami zaczęła się zwiększać, tak że chłopcy mogli znów iść obok siebie. Przed nimi był ostry zakręt. Wcześniej czy później przełęcz musi przejść w szerszą dolinę. Beck pomyślał, że może już w tym miejscu. – „Jeszcze tylko ten załom...”.

Minęli go i... nadziali się na litą skałę. Kolejny ślepy zaułek.

– Neeeeee! – wrzasnął z wściekłością Tikaani.

– Nie krzycz – odruchowo upomniał go Beck. – Tu w każdej chwili może zejść lawina. – Choć w tym momencie nie miałby nic przeciwko temu, by spadły na nich tony śniegu. – Przepraszam, stary. Po prostu musimy iść dalej.

– A na dodatek jestem głodny – mruknął Tikaani, gdy zawrócili.

Nie jedli od bardzo dawna. Beck uświadomił sobie, że to było jeszcze zanim doszli do lodowca. Wcześniej nie mieli czasu myśleć o jedzeniu, ale teraz...

Zapasy już się skończyły. Beck liczył na to, że znajdą coś po drugiej stronie góry, jeszcze zanim dopadnie ich głód.

Tymczasem być może czekał ich nocleg bez kolacji.

Tikaani zatrzymał się i wskazał na ścianę.

– A to? – spytał. Z pęknięć w skale wyrastały zielone porosty. Tikaani dotknął palcem jednej z kępek – skurczyła się i rozkurczyła jak gąbka. – Bo, jak rozumiem, ty jadasz niemal wszystko?

– To jest do niczego – Beck pokręcił głową. – Zbyt kwaśne dla ludzi. Nasz układ pokarmowy nie jest w stanie tego zneutralizować.

Tikaani skrzywił się.

– W sumie te skały też zaczynają wyglądać smakowicie... Więc gdzie poszedł nasz wilk?

– Może po prostu padł z głodu – mruknął Beck.

– Akurat... – Tikaani dostrzegł właśnie następne ślady łap i teraz bacznie się im przyglądał. Przykucnął, a po chwili pochylił się jeszcze bardziej, tak że niemal dotknął twarzą ziemi. – Beck...

Beck w jednej chwili był przy nim i teraz obaj przyglądali się skale. Kiedyś w tym miejscu była szczelina, ale potem – może tysiąc lat temu, a może zaledwie wczoraj – spadł tu ogromny głaz i ją przykrył. Jedyne przejście, ciasne i zasypane śniegiem, prowadziło pod głazem. To właśnie odkrył Tikaani.

„Chyba że da się przejść górą” – pomyślał Beck.

– Poczekaj tutaj – powiedział.

Zdjął rakiety i zaczął się wspinać po skale. Była stroma i musiał bardzo uważać. Zanim ruszył ręką lub nogą, upewniał się, że pozostałe trzy kończyny są mocno oparte. Głaz nie był wysoki, wystarczyło więc kilka chwil, by stanąć na szczycie i spojrzeć na zachód. Zawołał do Tikaaniego:

– Chodź na górę, widok jest przepiękny!

Po minucie Tikaani był przy nim i razem patrzyli na przełęcz.

Beck słusznie przypuszczał – wąska szczelina przechodziła w szerszą ścieżkę, a potem w regularną dolinę wznoszącą się w głąb gór.

– Hop-hop! – zahuczał radośnie Tikaani, ale natychmiast ugryzł się w język. – Przepraszam – dodał ciszej, zakłopotany. – Wiem, lawiny. Ale tak czy siak – hop-hop!

– Hop-hop! – zawtórował mu uśmiechnięty Beck. – Zakładaj rakiety i ruszamy!



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

„My, Anakowie, nie słyniemy z umiejętności radzenia sobie w górach” – rozmyślał Tikaani, w miarę jak posuwali się naprzód. – „I chyba już wiem, dlaczego...”.

Za wąskim żlebem przełęcz rozszerzała się. Nie śladu wilka. Beck pomyślał, że zwierzę musiało tędy przechodzić dawno temu – na tyle dawno, że śnieg zdążył przykryć ślady. Odciski wilczych łap było natomiast wciąż widać po drugiej stronie głazu, który je osłaniał. Dno doliny przykrywała w tym miejscu gruba warstwa śniegu, podobnie jak zbocze za nimi. Dolina miała kształt głęboko wciętej litery „U” o gładkich ścianach, ostro zadartych ku niebu, tak że śnieg zsuwał się z nich, odsłaniając czerń skał pod spodem. „Przejdziemy bez problemu” – pomyślał Beck.

– Właśnie dlatego nie jesteśmy ludźmi gór. Nie ma tu absolutnie nic do jedzenia – zauważył Tikaani. – Dlatego wolimy żyć tam na dole, na równinach, albo nad morzem.

Widać było, że w dolinie regularnie wieją przeraźliwie zimne, silne wiatry. Tikaani miał rację – trudno byłoby tu znaleźć cokolwiek do jedzenia.

– To zrozumiałe – odparł Beck – jeśli chce się przeżyć.

– Jasna sprawa – westchnął Tikaani. – Gdy żyjesz za kołem podbiegunowym, nie masz czasu na luksusy, zabawy czy poznawanie okolicy. Liczy się tylko przetrwanie. Ale wiesz – spojrzal na Becka, unosząc brew – nikt nikogo nie zmusza, żeby mieszkał za kołem podbiegunowym.

Przełęcz wciąż się wznosiła. Nie doszli jeszcze do najwyższego punktu, ale – jak wcześniej zauważył Beck – podejście było teraz dużo łagodniejsze. Wkrótce znaleźli się znacznie wyżej niż szczelina w skale, którą się tu przedostali. Kiedy obejrzeni się za siebie, nie zobaczyli nic poza niebem, z obu stron ograniczonym ścianami doliny. Być może gdzieś w oddali przebłyskiwał horyzont, ale trudno to było stwierdzić na pewno, bo zebrała się tam gruba warstwa chmur.

Dużych i grubych chmur...

– Musimy się pospieszyć – zmarszczył brwi Beck. – Nie ma żartów, straciliśmy mnóstwo czasu, a nie chcę tu być, kiedy te chmury nadciągną.

Tikaani spojrzal przed siebie.

– To nie wygląda na skalę...

Coś tam leżało, w połowie przykryte śniegiem. Wystające spod białej warstwy puchu skały nie były tu niczym niezwykłym, ale to coś wyglądało inaczej, było gładziej i bardziej zaokrąglone. Kiedy podeszli bliżej, na twarzy Becka pojawił się uśmiech.

– To renifer – powiedział.

Przyklęknął obok zdechłego zwierzęcia i energicznymi ruchami zaczął strzepywać śnieg z jego brzucha.

– Emerytura ewidentnie zaszkodziła Rudolfowi – zauważył Tikaani.

Renifer był wielkości małej krowy. Miał krótką brązową sierść i zamglone, puste oczy. Jego poroże było połamane, a szyja nienaturalnie wykręcona. Beck dokładnie przyjrzał się zboczowi doliny, aż po półki skalne na samej górze. Zwierzę najprawdopodobniej spadło z jednej z nich i stoczyło się na dno.

Beck wyjął nóż myśliwski, czym wprawił Tikaaniego w zdumienie.

– Chyba żartujesz! Chcesz to jeść?

– Pyszna pieczeń? – zaśmiał się Beck. – Chciałbym, ale nie ma szans na rozpalenie ognia i ugotowanie czegokolwiek. Więc niestety nie będziemy tego jeść. W każdym razie niezupełnie...

W myślach szybko złożył dziękczynienie za czas spędzony kiedyś wśród Samów. Najbardziej obrzydliwa rzecz, jakiej go nauczyli, może im teraz uratować życie.

Beck zdjął rękawiczki i wymacał mostek renifera między jego przednimi nogami. Następnie ostrzem noża przebił skórę zwierzęcia i wykonał ruch ku jego zadowi. Nie było to łatwe zadanie, bo mięso zamarzło na kość. Ale stopniowo udało mu się rozplatać brzuch renifera i ujrzeć jego wnętrze. Serce nie biło, dlatego krwi było niewiele. Beck odsunął warstwę tłuszczu i tkanek. Jelita przypominały gumowate, napompowane balony. Beck pomyślał, że zwierzę nie mogło zdechnąć dawno temu, bo wnętrze nie zamarzło jeszcze do końca i nadal było czułe krew. Metaliczny zapach, jednocześnie słodki i cierpki, przyjemny i przywodzący na myśl zjeźdźca masło.

Tikaani przyglądał się zafascynowany i przerażony zarazem.

– Dobra. Zjemy coś. Tylko co? Nerki, serce? Znaczą... – zaczął coś mamrotać, chcąc chyba ukryć obrzydzenie. – Zgoda, nie wygląda to dokładnie tak jak mięso kupione w sklepie, ale jestem pewien, że nie ma w nim żadnych zarazków. I to, że nie umyłeś rąk, chyba też mu nie zaszkodzi.

– Ciepło, ciepło...

– O Boże! Serio?

Beck dotarł do żołądka. Był szarozielony, pokryty ciemnoczerwonymi plamami i przypominał balon wypełniony grudkowatą cieczą. Beck dotknął go delikatnie, po czym pokiwał głową, zadowolony z tego, co poczuł. Włożył palce do otworów po obu stronach i szarpnął. Żołądek wyskoczył na ziemię, niczym ślimak bez skorupy, który rozwijał się w ciele renifera.

Beck nakłutł go i na śnieg wylała się bulgocząca, półpłynna masa. Śmierdziała wymiocinami i Tikaani wykrzywił się w grymasie obrzydzenia. Zanurzwszy w niej palce, Beck uśmiechnął

się i podniósł kilka grudek wielkości dużych jagód.

– To właśnie zjemy – oświadczył.

– Chyba żartujesz!

Zamiast odpowiedzieć, Beck wrzucił sobie jedną grudkę do ust.

– Mmm! Chrobotek reniferowy.

– Rośnie reniferom w żołądkach? – Tikaani niechętnie wziął do ręki kawałek, by przyjrzeć mu się z bliska.

– Nie, tylko tak się nazywa – odpowiedział Beck i przełknął. – Pamiętasz, jak ci mówiłem, że porosty pokrywające skały wymagają przetworzenia? Tak to się właśnie odbywa. W żołądkach reniferów, które częściowo je przetrawiają. A my możemy jeść to, co zostaje.

Tikaani nadal przyglądał się grudce, którą trzymał w ręce. Dotknął jej palcem. A gdy mocniej ścisnął – wylał się z niej płyn.

– Ej! – powiedział Beck, teraz już bardziej serio. – Naprawdę musimy to zrobić. Nie wiadomo, kiedy znów coś zjemy, a wątpię, żeby udało nam się zejść z przełęczy przed zachodem słońca. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak często takie rzeczy ratowały życie twoim przodkom.

– Oni nie mieli cheeseburgerów – odparł ponuro Tikaani.

– My też teraz nie mamy.

– Nooo... teraz nie – przyznał Tikaani. Zbliżył do ust kępkę porostów. – O Boże, zaraz włożę do ust kawałek kupy renifera...

– To jeszcze nie jest kupa. Staje się nią później.

– Dzięki za wyjaśnienia. Od razu mi lepiej – Tikaani zamknął oczy, włożył porosty do ust i powoli zaczął je żuć.

– Mmm – wymamrotał niewyraźnie. – Smakuje jak... – przełknął. – Prawdę mówiąc, staram się za wszelką cenę nie myśleć, jak to smakuje.

– Jak świeża, zielona sałata – podsunął Beck.

Oczy Tikaaniego otwarły się szerzej, widać w nich było zaskoczenie i zamyślenie.

– No w sumie... – przełknął raz jeszcze. – Przydałoby się trochę majonezu, ale... faktycznie. Jak sałata. Masz więcej?

Beck uśmiechnął się i podał mu następną grudkę.

Skończyli posiłek i popili resztką wody. Wtedy Beck pokazał Tikaanemu, jak napełnić butelki świeżym, sytkim śniegiem.

– A teraz – powiedział – włoż butelkę między ubrania, ale nie przy samym ciele. W ten sposób się ogrzeje i za pół godziny będziesz miał nową porcję smacznej, czystej wody.

– A czy nie możemy po prostu jeść śniegu? – zapytał Tikaani. Wzięli plecaki i ruszyli dalej przełęczą.

– Co ty! – Beck potrząsnął głową. – Chodzi o to, że jego temperatura jest dużo niższa niż temperatura zamarzania. To tak, jakbyś na własne życzenie odmrażał sobie usta. Jeśli robisz to zbyt często, możesz się nabawić ran i owrzodzeń... więc nie polecam. Poza tym śnieg obniża temperaturę ciała i tracisz dużo energii, żeby się znowu zagrząć. A przecież nie tego chcemy.

– Hmm – zamyślił się Tikaani, po czym zamilkł, co było dla niego nietypowe.

Beck rozkoszował się ciszą. Mijali ostre, strzeliste skały po obu stronach – skały liczące miliony lat. Połacie nieskazitelnie białego śniegu. Świeże, ostre powietrze i ani żywej duszy. O tym, że gdzieś tam jest dwudziesty pierwszy wiek, hałaśliwy, zdominowany przez technikę, przypominało tylko dwóch chłopców, maleńkie kropki pośród bezkresnych, dzikich krajobrazów. Bezgłośna rozmowa z przyrodą w zupełności teraz Beckowi wystarczała.

– Niewiele wiem, co? – ni stąd, ni zowąd zapytał Tikaani.

Beck spojrział na niego zaskoczony.

– E tam! Wiesz wystarczająco dużo.

– No dobra, wiem, jak przejść na drugą stronę ulicy, jeśli tylko nie zapomnę o przycisku. Ale tu nie potrafię o siebie dobrze zadbać. Zjadłbym przecież ten śnieg i już dawno temu umarłbym z głodu, bo nie wiedziałbym, które jagody wybrać. Co do jedzenia wnętrzości renifera – w życiu! A przecież jestem Anakiem... Kiedyś moi przodkowie wiedzieli to wszystko, to była ich druga natura. Tylko że mnie nikt nigdy tego nie nauczył.

Tikaani znów zamilkł, ale Beck miał wrażenie, że chciał jeszcze coś powiedzieć. I rzeczywiście po chwili dodał:

– A może próbowali, tylko ja nie słuchałem.

– Słuchałeś – Beck wzruszył ramionami. – Wiesz sporo o niedźwiedziach, raketach śnieżnych i odmrożeniach... Po prostu brakuje ci praktyki.

– Chyba masz rację – zaśmiał się Tikaani, powoli odzyskując dobry humor. – Ciekawe, kto jako pierwszy jadł chrobotka reniferowego. Kto jako pierwszy spojrział na martwego renifera i pomyślał: „Mniejsza o mięso. Założę się, że naprawdę smaczna jest zawartość jego żołądka?”.

Obaj wybuchnęli śmiechem.

– A może to był ten sam gość, który utknął gdzieś w sercu Afryki i pomyślał: „Nie mam drewna. Czym by tu podtrzymać ogień? Już wiem! Może kupą słonia”.

– Kupą słonia?! – zdumiał się Tikaani.

– Tak jest. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak potwornie to śmierdzi.

– Nie, no co ty – odparł z powagą Tikaani.

W plecy wiał im mroźny wiatr. W przeciwnym kierunku wędrowka byłaby nieprzyjemna, a tak – wydawało im się nawet, że silne podmuchy ułatwiają im marsz. Beckowi przypomniawszy się stare, celtyckie błogosławieństwo: „Niech droga podnosi się, by cię przywitać i niech wiatr zawsze dmucha ci w plecy”. Ich droga też się podnosiła, jakby w geście powitania. Cały czas szli lekko pod górę i Beck pomyślał, że wiatr w plecy to najlepsza rzecz, jakiej mogli sobie życzyć w takiej sytuacji.

– Mógłbyś wyjąć mapę? – zapytał.

Poczuł, jak Tikaani grzebie mu w plecaku, i po chwili miał ją już w rękach. Rozłożył mapę i przysunął ją do oczu, żeby dokładnie przyjrzeć się okolicy. Jeśli się nie mylił, do wieczora powinni przynajmniej zejść z przełęczy. Jeszcze przez jakiś czas powinno być widno.

Powinno. Spojrzał na zegarek. Zgadza się, do zachodu słońca zostało kilka godzin. Mimo to tak się ściemniło, że ledwo widział cokolwiek na mapie. Tak jakby coś zasłaniało słońce...

Z niepokojem spojrzął na chmury. W twarz uderzył go silny wiatr i poczuł nagły ścisk w sercu. Już wiedział, że tego dnia nie uda im się zejść z przełęczy. A właściwie, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, nigdy z niej nie zejdą.

Burza nadeszła dużo szybciej, niż się spodziewali. Czarne, śniegowe chmury zbierały się nad nimi cały czas, gdy rozmawiali i śmiali się. Śnieg dookoła nie był już biały, ale ciemnoszary. Stojąc na szczycie, Beck był na tej samej wysokości co burza. Nie spoglądał do góry, tylko przed siebie.

Jakby patrzył w oczy dzikiego zwierzęcia, przystępującego do ataku, gotowego pożreć wszystko, co stanie na jego drodze.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tikaani spojrział w tę samą stronę co Beck.

– O rany. I co teraz? Zasypie nas?

– Jeśli nie będziemy uważać, zginiemy – odparł Beck, jak gdyby stwierdzał najoczywistszą rzecz pod słońcem. – Masz ochotę trochę pokopać?

Zanim jednak Tikaani zdążył odpowiedzieć, Beck już brnął przez śnieg, wspinając się po zboczu tak szybko, jak tylko pozwalały mu rakiety. Nie zaszedł daleko. Zatrzymał się w miejscu, gdzie teren był nachylony mniej więcej pod kątem trzydziestu stopni. Wbił kij w śnieg i przeniósł na niego cały ciężar ciała. Po chwili kij zagłębił się w całości, a mimo to Beck nie wy czuł twardego podłoża.

– Doskonale – stwierdził. – Od skały dzieli nas pewnie kilka metrów śniegu. To wystarczy.

Dogonił go Tikaani.

– Pokopać? – zapytał.

Beck uklęknął i wbił pięści w śnieg. Pod cieniutką warstwą na samej górze, zwaną szreń, która po roztopieniu się ponownie zamarza, znajdował się już tylko świeży i syпки puch. Idealny.

– Zrobimy schronienie w śniegu – powiedział. – Bierz się za kopanie.

Tikaani przykucnął obok i wziął się do pracy. Wyglądał jak terier odgarniający śnieg na boki. Dłonie w jednopalczastych rękawiczkach były równie skuteczne jak łopaty.

– Po prostu kopujemy jak najgłębiej?

– Tak jest – potwierdził Beck. – Bo śnieg zatrzymuje ciepło i odizoluje nas od zimna – dodał z lekkim grymasem na twarzy.

– Wybacz – wtrącił Tikaani, wciąż kopiąc – ale chyba zapomniałeś, z budowania czego słyną Eskimosi.

– Hę? – Beck zmarszczył na moment brwi. – No tak, racja.

Przecież igloo buduje się z tego samego powodu. Zbity śnieg to dobry budulec i znakomity izolator. W tym wypadku Beck nie mógł nauczyć Tikaaniego niczego nowego.

– Chowaleś się kiedyś w takim śniegowym schronie? – zapytał.

– Nie – Tikaani potrząsnął głową – bo zazwyczaj korzystają z nich myśliwi. Albo ci, których zaskoczyła śnieżycza – uśmiechnął się. – I prawda jest taka, że dziś robię to po raz pierwszy w życiu. Mój tata zawsze był bardzo ostrożny i nigdy nie dopuszczał do tego, żeby nas złapała burza śniegowa.

– No tak – w przeciwieństwie do Tikaaniego Beck miał okazję, na własne życzenie, przekonać się, czym jest burza śnieżna.

Obowiązawszy go dla bezpieczeństwa liną w pasie, Samowie puścili go pewnego razu w sam środek takiej zadymki, żeby zaspokoił ciekawość. Nie widział zupełnie nic, nawet tego, gdzie jest góra i dół. Po upływie jakichś trzydziestu sekund kompletnie zatracił wycucie kierunku, ponieważ z każdej strony widział tylko wirujące kłęby śniegu. W razie śnieżycy jedyne, co można zrobić, to zatrzymać się i wykopać w śniegu schronienie. Inaczej bardzo szybko traci się orientację, nie wiadomo, gdzie znajduje się ziemia, a gdzie tylko tumany śniegu unoszące się w powietrzu, człowiek kręci się jak ślepiec i w końcu wpada w jakąś dziurę, z czego zdaje sobie sprawę dopiero wtedy, gdy uderzy o jej dno.

Obok leżała już spora kupka świeżo wykopanego śniegu. Beck zebrał go trochę i ścisnął, formując zbitą kulę.

– Zostało nam trochę czasu i porzucamy się śnieżkami? – zapytał, uśmiechając się z niedowierzaniem Tikaani.

– Niezupełnie – Beck rzucił bryłę w śnieg tuż obok krawędzi wygrzebanej jamy. – To będzie wejście, dlatego trzeba zbudować ściankę, która je osłoni przed wiatrem.

Tikaani spojrzął na dziurę i nagle coś sobie wymyślił.

– Przecież wiatr wieje właśnie w tę stronę, a to znaczy, że wejście zostanie szybko zasypane. Nie powinniśmy raczej kopać na innym zboczach, gdzieś, gdzie nie wieje?

Beck pokręcił głową.

– Nie, bo wtedy mogłyby nas przywalić zasy. Jeśli wiatr wieje prosto na nas, to zdmuchuje śnieg i wejście będzie bezpieczne. Trzeba je tylko osłonić ścianką, żeby nie wpadał do środka. Kop dalej. Zaraz ci pomogę.

Po kilku minutach ścianka była gotowa. Nie musiała być ani wysoka, ani idealnie zbudowana. Tworzące ją cegiełki miały ostre krawędzie i nieregularne kształty, ale trzymały się razem i całkiem skutecznie osłaniały wejście. Różnicę wyraźnie się czuło. Chłopcom zrobiło się znacznie cieplej, energia wręcz ich rozpięła.

Mniej więcej po piętnastu minutach jama była na tyle głęboka, że obaj mogli się w niej zmieścić jeden przy drugim. Byli już teraz poniżej poziomu śniegu i mogli kopać dalej, zupełnie osłonięci od szalejącego nad nimi wiatru. Wiało znacznie mocniej niż wtedy, gdy śnieg dopiero zaczął padać. Jego tumany, pędzone wiatrem, unosiły się w górę i gdy tylko któryś z chłopców wychylił się z jamy, uderzały go z ogromną siłą w twarz. W środku już było o kilka stopni cieplej niż na zewnątrz.

– I co, spędzimy tu całą noc? – zrezygnowanym głosem zapytał Tikaani.

– Przecież dopiero co weszliśmy – uśmiechnął się Beck.

Po raz ostatni wysunął głowę z jamy, ale natychmiast się schował, dostrzegł bowiem niewyraźny, biały kształt sunący w jego stronę. Stężyła mu wszystkie mięśnie. Znów ostrożnie zerknął w tamtym kierunku. Próbował określić, jak daleko znajduje się to coś. To mogły być po prostu wirujące płatki śniegu, zwykle złudzenie optyczne. Ale może się nie mylił, może to rzeczywiście był wilk – zagrożenie, o którym już zdążył zapomnieć.

Dużo bardziej niebezpieczna była jednak nadciągająca burza. Beck dobrze wiedział, że wilk rzadko atakuje w pojedynkę. Nie miałby też po co wchodzić do ich kryjówki, ponieważ przed zimnem chroni go futro.

– Wystarczy? – usłyszał z dołu głos Tikaaniego, który wybił go z tych rozmyślań. Na razie nie ma się co przejmować wilkami. Ani wspominać o nich Tikaanemu i być może niepotrzebnie go niepokoić.

Beck zsunął się z powrotem w głąb jamy. Była głęboka na metr, ciepła i przyjemnie zaciszna. Śnieg skutecznie tłumil odgłosy potężnej burzy. Pokusa, by zwinąć się w kłębek i zasnąć była ogromna. Ale nie... jeszcze nie teraz.

– Tak, na głębokość już wystarczy – odpowiedział. – Teraz trzeba znów kopać w górę.

Tak też zrobili, uważając, by nie przebić wierzchniej warstwy śniegu. Potrzebowali jeszcze co najmniej godziny na to, by kryjówka przybrała odpowiedni kształt. Teraz jednak byli już bezpieczni i nie musieli się spieszyć. Kiedy skończyli, byli cali w śniegu, ale mogli go z łatwością strzepać. Z dumą spojrzeli na efekt swojej pracy.

Jama miała prawie trzy metry szerokości i półtora metra wysokości. Jej płaskie dno było na tyle szerokie, że mogli obaj się tam położyć, jeden obok drugiego. Ponieważ podkopali się też w górę, górna część schronienia znajdowała się wyżej niż wejście, od wiatru zaś osłaniała ich ścianka zbudowana przez Becka oraz plecaki, które stanowiły dodatkową zaporę („Również dla ewentualnych wilków” – pomyślał Beck). Powietrze w środku było ciepłe i nieruchome. Tylko gdy wytężali słuch, gdzieś z oddali dochodziły ich odgłosy burzy. Tak jakby szalała po drugiej stronie porządnego okna z podwójną szybą.

– Zimne powietrze opada – powiedział Beck, wskazując na wejście. Nawet własny głos wydał mu się przytłumiony. Śnieg tłumil drgania. – Tu, gdzie jest wyżej, będzie nam przyjemnie ciepło, pomóż mi tylko wygładzić ściany, żeby nie kapiała na nas woda.

Przez chwilę pracowali razem w ciszy. Tikaani kilka razy wydmuchał parę z ust.

– Nadal widzę swój oddech – stwierdził.

– I dobrze – odparł Beck. Wyrównał ostatni fragment sklepienia i rozejrzał się dookoła. – Jeśli zrobi się za ciepło, wszystko się zawali. Ta temperatura w zupełności nam wystarczy, poniżej zera na pewno nie spadnie. A tak przy okazji, zdejmij lepiej z siebie te mokre ubrania, bo inaczej do rana zupełnie zamarzną.

– No pewnie, w porównaniu z tym, co jest zewnątrz, mamy tu tropiki – przyznał Tikaani, wskazując głową wyjście z jamy. Otworzył plecak, żeby włożyć do niego mokre rzeczy. – To gdzie wstawimy jacuzzi?

Beck, rozkładający właśnie plandekę, na której mieli spać, zachichotał. Podłogę stanowił ubity śnieg. Potrzebują więc jakiejś dodatkowej izolacji, bo inaczej ich ciała szybko stracą ciepło.

– Tym zajmiemy się jutro, jak tylko tu sobie zainstalujemy telewizor i kablówkę.

– Super! Wreszcie obejrzę coś dobrego.

Beck opróżnił plecaki i rozłożył całą zawartość na plandece. Zapasowe ubrania, a nawet lina – wszystko to odizoluje ich od śniegu. Sięgnął do kurtki i wyjął z niej butelkę na wodę. Potrząsnął, aż zachlupotała. Zgodnie z przewidywaniami śnieg stopniał.

– Mówisz i masz. Świeża woda, czystsza i tańsza niż w jakimkolwiek sklepie.

– Co prawda, to prawda – Tikaani pociągnął porządny łyk z własnej butelki. – A może należało też wykopać ubikację? Prędzej czy później będziemy jej potrzebować.

– Mamy ubikację – Beck wskazał na wyjście.

– No tak... – Tikaani spojrzał bez entuzjazmu. – Ale liczyłem, że nie będziemy musieli znów wychodzić na zewnątrz.

– Nie mówię, że na zewnątrz. Szkoda tracić ciepła. Zrób to koło wyjścia, i tak wszystko wsiąknie. Tylko uważaj na to – dodał Beck, patrząc na porozkładane ubrania przyjaciela.

Na zewnątrz zapadała już noc, a w ich kryjówec – jako że nie mieli ani latarki, ani ognia – było jeszcze ciemniej. Oba ogarnęło zmęczenie i Beck usłyszał, jak Tikaani wyciąga się wygodnie na plandece.

– I co z tego, że siedzimy w jamie wydrążonej w śniegu na szczycie jakiejś góry. Tu jest lepiej niż w jakimkolwiek hotelu.

Beck uśmiechnął się sam do siebie w ciemności. Nie tak wyobrażał sobie koniec drugiego dnia ich podróży, ale przecież mogło być gorzej.

– Nauczyli cię tego w Finlandii? – zapytał Tikaani.

– Nie, podczas weekendu w górach Cairngorm.

– Gdzie to jest?

– W Szkocji. Bliżej domu.

– No tak – Tikkani zamilkł na chwilę, a potem wrócił do wcześniejszego tematu rozmowy. – Moi przodkowie naprawdę znali się na rzeczy, prawda?

– Ty też się znasz – odparł Beck. – Tylko potrzebujesz trochę czasu, żeby się nauczyć to wykorzystywać w praktyce.

– No tak... krok po kroku – wymamrotał Tikaani, ziewając.

Po chwili Beck zorientował się, że jego towarzysz zapadł w głęboki, spokojny sen. On sam leżał jeszcze chwilę, słuchając odgłosów śnieżycy. Nie starał się usnąć na siłę – wiedział, że to przyjdzie samo.

Tak jak poprzedniej nocy, przypomniał mu się wuj Al. W ciągu dnia miał tyle rzeczy na głowie, że nie myślał o nim zbyt wiele. Jak on sobie radzi? Czy jego też złapała śnieżycy? Jeśli tak, jego schronienie powinno wytrzymać. Ale gdyby zgasł ogień, miałby ogromne problemy... Beck mógł tylko mieć nadzieję, że Al wie, co robić.

Zасыпаіаюс жуэ, моdllі сіс в мыслас о то, бу бурза сніеэна шыбко сіс скоңчыла. Не мееі досц едееня ані пеея на дуэшы побыт в крйювце.

Зналеэлі вправдзе шроненне в теплым і сухым меејссу, але вееяэ глудовалн. Ісх прытулны каяік моэу шыбко стац сіс лодовым гробовцем.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

Becka obudził silny głód. Skrzywił się z bólu i przewrócił na bok. Był prawie pewien, że spał – czas minął mu niepostrzeżenie.

Coś się zmieniło i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co. Na pewno było więcej światła: biała poświata wpadała do ich kryjówki, nadając leżącym przy wyjściu plecacom srebrne kontury. I było cicho. Nawet uwzględniając to, że śnieg tłumi dźwięki – było naprawdę cicho. Nie wiało.

Światło plus cisza równa się brak burzy. A brak burzy oznacza, że nie ma sensu spędzić tu ani minuty dłużej. Beck szturchnął mocno Tikaaniego.

– Pobudka! Musimy opuścić pokój przed końcem doby hotelowej!

Gdy młody Anak zbierał się, żałośnie pojękując, Beck przesunął plecaki i zszedł w dół śnieżnym tunelem. Wysunął głowę na zewnątrz, jak zwierzątko, które zbudziło się z zimowego snu.

Gorąco pragnął, by rozpoczynający się właśnie trzeci dzień ich wędrówki był zarazem ostatnim. Chciał przed zachodem słońca zejść z gór i dotrzeć do Anakatu. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały, że się uda – niebo było błękitne, zbocza doliny nieskazitelnie białe, a ich śniegowy domek nie dał się wicherze. Pozostawioną wieczorem hałdę rozkopanego śniegu przykryła w nocy kolejna warstwa, a wiatr wygładził ją i zaokrąglił.

Tikaani wystawił głowę z kryjówki i sennie zamrugał.

– Jestem strasznie głodny! Mamy coś do jedzenia?

– Jasne! – odparł Beck, jednocześnie rzucając plecak na śnieg. – Ile tylko chcesz.

Wyciągnął butelkę i zaczął napełniać ją śniegiem. Tikaani spojrzał na nagie turnie i gładkie połacie śniegu wokół.

– Gdzie? – spytał podejrzliwie.

– Kilka godzin marszu w tę stronę – Beck wskazał na zachód, w dół doliny.

Tikaani jęknął.

Zajął to więcej niż kilka godzin, ale wcale tego nie odczuli. Zdawało im się, że upłynęła le-
dwo chwila, a dolina już zaczęła się obniżać. Schodzili z gór i to mocno ich podbudowało psy-
chicznie. Pełni energii niemal mknęli w dół przez śnieg.

Po niedługim czasie przełęcz się skończyła i teraz wędrowali górskim zboczem – dwie plam-
ki na nieskazitelnej bieli. Rozciągał się przed nimi olśniewający widok. Mieli wrażenie, że wi-
dzą całą Alaskę, przykrytą płaszczem świeżego śniegu. Daleko w dole majaczyły łąki i wierz-
chołki drzew. Na horyzoncie iskrzyło się morze, gładzone promieniami słońca, rozdzielając wą-
skim pasem niebo i ziemię.

– Anakat jest tam – wskazał Beck.

Tikaani uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Zgadza się!

Droga w dół była coraz bardziej stroma. Beck przypomniał sobie magiczną zależność – dwa
stopnie na każde sto metrów. Tym razem jednak temperatura rosła, a nie spadała, jako że szli
w dół. Początkowo schodzili zakosami, ale Beck doszedł do wniosku, że łatwiej i szybciej będzie
maszerować po linii prostej.

– Dobra – powiedział. Zdjął rakiety i przymocował je do plecaka. – Jest na to sposób: trzeba
robić długie kroki...

Z impetem ruszył w dół. Kiedy dotykał stopą podłoża, cały ciężar ciała kierował na piętę, nie
uginając nogi. Za każdym razem wpadał po kolana w biały puch, ale śnieg ubijał się pod stopa-
mi, zapewniając im oparcie.

– Twoja kolej! – zawołał. – Zrób na początek kilka próbnych kroków.

Tikaani ruszył, ale natychmiast zatrzymał się w komicznej pozycji: z jedną nogą w śniegu
niemal po pas, a drugą z tyłu pod dziwnym kątem.

– Chyba załapałem! – zrobił kolejny krok. – Tak, na pewno!

Następny krok i następny. Minął Becka.

– Łatwizna!

Beck popędził za nim.

To naprawdę było łatwe i po chwili poczuł się bardzo pewnie. Wystarczyło tylko poddać się
rytmowi kroków i pędowi. Przedzierał się przez śnieg jak pługi, rozbryzgując na boki biały puch.
Beck próbował dogonić swego towarzysza, ale ten pędził w dół, machając rękami, co sugerowa-
ło, że może tracić równowagę. I rzeczywiście – po chwili przewrócił się w bardzo widowiskowy
sposób i potoczył w dół.

– Tikaani!

Chłopiec turlał się, aż wreszcie z impetem wpadł w zaspę. Beck szybko podbiegł i zobaczył,
że leżące w śniegu ciało lekko drży. To mógł być objaw szoku. Po chwili jednak zorientował się,
że Tikaani najzwyczajniej w świecie trzęsie się ze śmiechu.

– Ale jazda! Zróbmy to jeszcze raz!

W dół szło się nieporównywalnie szybciej niż pod górę. Po niedługim czasie śniegu było już
tak niewiele, że musieli zmienić technikę marszu. W pewnym momencie Beck potknął się

na jakiejś przeszkodzie. Odgarnął śnieg i zobaczył skalę – widomy dowód na to, że już wkrótce opuszczają śnieżną krainę.

Tu i ówdzie pod stopami zaczęła się pojawiać sucha ziemia. Po pewnym czasie trudno już było stwierdzić, czy wciąż idą po śniegu, spod którego wyzierają połacie ziemi, czy może po ziemi gdzieśgdzie pokrytej śniegiem. Miejscami rośla twarda, szczeciniasta trawa.

Napotkali strumyk z czystą wodą z topniejącego śniegu. Kiedy szli pod górę, strumienie były tylko irytującą przeszkodą, ten natomiast stał się mile widzianym towarzyszem podróży, zmierzał przecież tam, gdzie oni: w stronę cieplejszych nizin. Mogli też pić do woli, nie czekając, aż stopnieje im śnieg w butelkach.

Posuwając się z biegiem strumyka, dotarli do pierwszych drzew. Po tej stronie gór wydawały się gęstsze. Tundrę stopniowo zastępował las, ciągnący się aż po odległy morski brzeg.

– Dobra – powiedział Beck. – Obiecałem ci śniadanie.

Znalezienie powalonego pnia nie zajęło wiele czasu. Chłopiec podważył myśliwskim nożem fragment kory i zobaczyli wijące się pod nim pędraki, które usiłowały się ukryć przed światłem dziennym.

Tikaani patrzył na nie bez entuzjazmu.

– Owszem, wczoraj jadłem zawartość żołądka martwego renifera, ale...

Beck złapał pędraka grubości palca i przyjrzał mu się z bliska. Robak wił się i kręcił jak ożywiony kawałek sznurka. Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Zawsze, kiedy je jem, w ramach zemsty robią mi kupę na język.

– Zawsze? Chcesz mi powiedzieć, że jadłeś to więcej niż raz i jeszcze ci nie zbrzydło?

Beck uśmiechnął się, odgryzł pędrakowi główkę, szybko ją wypluł i połknął resztę robaka.

– Wiesz, że ten robał ma osiemdziesiąt procent białka? A wołowina tylko dwadzieścia.

– Mniam! – Tikaani podniósł kilka larw, przyjrzał się im z filozoficzną miną i włożył je sobie do ust. Skrzywił się. – Mamy do tego frytki?

– Smakują lepiej, jeśli się im najpierw odgryzie głowę.

– Teraz mi to mówisz?!

Nagle Beck podniósł rękę, by uciszyć Tikaaniego.

– Słyszysz?

Chłopiec wy tężył słuch.

– To tylko woda – stwierdził.

Dźwięk dochodził zza drzew – był to szum i bulgotanie płynącej po skałach wartkiej rzeki.

Beck rozpromienił się.

– No właśnie! Woda! Jesteś jeszcze głodny?

– Po takiej uczcie? Też pytanie!

– No to spróbujmy upolować coś lepszego!

Rzeka spływała z gór w radosnych susach i podskokach, z hukiem pokonując kolejne półki i zagłębienia wśród skał. W miejscu, do którego doszli chłopcy, płynęła przez szeroką łacę żwirową. Pod falującą powierzchnią wody widać było kamienie różnej wielkości. Połyskująca w słońcu

rzeka była wyraźnie płytsza niż ta, którą musieli przekroczyć dwa dni wcześniej i – na szczęście – spokojniejsza. Śpieszyła się tylko na dół, a nie pędziła w szaleńczym tempie jak tamta.

– Będziemy łowić ryby – oświadczył Beck.

– A wędka i haczyk? – Tikaani był sceptyczny.

Beck uśmiechnął się.

– A po co? Spójrz! – wskazał na brzeg rzeki usiany niewielkimi głazami. Między nimi tworzyły się naturalne jeziora. – Zobaczymy, czy jakaś ryba sama się tu nie złapała.

Ale w zalanych wodą zagłębieniach nie było ryb, co zresztą niespecjalnie go zdziwiło. Ryby łatwo wpadają w takie pułapki, kiedy poziom wody się obniża – a więc głównie latem – tymczasem o tej porze roku rzeka systematycznie wzbierała, zasilana topniejącym śniegiem.

– No dobra. Proszę państwa, do mojej kolejnej sztuczki będę potrzebował kilku butelek – Beck pogrzebał w plecaku i wyjął dwie.

Kiedys, jeszcze w samolocie, całe wieki temu, znajdowała się w nich lemoniada. Butelki były walcowate, plastikowe i przezroczyste, słowem – idealne dla jego potrzeb. Spojrzał na Tikaaniego.

– Mógłbyś zdobyć jakieś gąsienice czy robaki? – poprosił. – Przynies je tutaj.

Trzy dni wcześniej chłopiec w odpowiedzi spojrziałby na niego zaskoczony albo skrzywiłby się z niesmakiem. Teraz tylko skinął głową.

– Jasne.

Beck poprzecinał nożem butelki w połowie wysokości i odciął końcówki z nakrętkami. Powstały wyloty wystarczająco duże, by mogła do nich wpłynąć ryba. Tikaani w tym czasie zaostrzonym kamieniem grzebał w ziemi przy brzegu i po chwili wrócił z kilkoma robakami.

– Świetnie!

Beck włożył przynętę do dolnych połówek butelek i wcisnął w nie na siłę górne połówki, węższą częścią do środka. W ten sposób powstały jakby dwa kubki z podwójnym dnem, w którego pustym wnętrzu wily się robaki.

– Robaczki to coś, co rybki lubią najbardziej – powiedział. – Teraz tylko ustalmy, gdzie to umieścić... Myślę, że tutaj.

Wrócili do kamieni, które oglądali wcześniej. Leżały po zewnętrznej stronie szerokiego zakrętu rzeki.

– Właśnie w takim miejscu najłatwiej się łapie ryby – wyjaśnił Beck.

Wskoczył na najbliższy głaz i uważnie się przyjrzał, którędy płynie woda. Tak, tu będzie dobrze. Ukląkł i umieścił pułapkę w rzece, tak żeby woda wpływała do otworu w butelce. Upewnił się, że pułapka dobrze się trzyma na swoim miejscu. Potem zainstalował drugą, po przeciwnej stronie głazu. Woda była tak zimna, że ręka całkiem mu skostniała. Cieszył się, że nie musi bardziej się zanurzać.

– A teraz czekamy... – powiedział. – Zostań tu i siedź spokojnie. Wprawdzie nie mogą nas zobaczyć, ale wyczują, że coś się rusza...

Pod wodą śmigaly jakieś zgrabne kształty, migocząc nad żwirowym dnem. Beck ani drgnął.

– Śliczny robaczek... – próbował telepatycznie zachęcić rybę, by zainteresowała się przynętą. – Mniam, mniam...

– Jak długo to potrwa? – spytał Tikaani.

– To zależy, jak głodne są ryby.

– Na pewno nie tak jak ja.

Beck uśmiechnął się.

– Jeśli nie złapią przynęty, możemy spróbować wpędzić je w pułapkę. Pójdziemy w górę rzeki, a potem zaczniemy schodzić w dół, w tę stronę. Usłyszą nas i będą chciały uciec.

– Chcesz mi powiedzieć, że znów mamy wejść do wody?

– No właśnie, wolałbym tego uniknąć. Ale możemy je polaskotać.

– Że co? – Tikaani zdziwił się.

Beck wyszczerzył zęby. Ze względu na ryby wciąż się nie ruszał.

– Leżysz na brzegu z ręką w wodzie. Bardzo powoli – tak, żeby ryba nie zauważyła, że nie jesteś gałęzią ani rośliną – wsuwasz pod nią dłoń i...

– To nie laskotanie, tylko napastowanie!

Beck roześmiał się, wciąż uważnie obserwując wodę.

– ...i wyrzucasz ją na brzeg. Trzeba tylko uważać, żeby na pewno tam trafiła. Kiedy pierwszy raz próbowałem tej sztuczki, ryba zamiast na brzegu wylądowała kawałek dalej w rzece.

– I zapewne ostrzegła pozostałe, żeby nie zapuszczały się w pobliże wariata, który lubi obmacywać ryby.

– Właśnie...

Beck powoli wyciągnął szyję, by sprawdzić sytuację. Koło jednej z pułapek kręciła się jakaś ryba. Dużą wadą tego sposobu łowienia jest to, że nigdy nie wiadomo, co wpadnie w pułapkę, ale chłopcy mieli szczęście – ich potencjalna zdobycz wyglądała jak pstrąg. Brązowa i nakrapiana, miała około piętnastu centymetrów długości i dużą płetwę na grzbiecie oraz kilka mniejszych na brzuchu.

Ryba była ostrożna, ale w końcu uległa pokusie i wpłynęła do butelki, prosto w stronę uwięzionego robaka. Prześlizgnęła się gładko przez otwór w górnej części i pochwyliła zdobycz, pochłaniając ją w paru kęsach. Znajdowała się teraz między dwiema połówkami butelki i swoim małym, rybim mózdzkiem próbowała ogarnąć sytuację. Przez przezroczyste ścianki widziała światło, ale utknęła i nie miała pojęcia, jak się wydostać.

Po chwili było już za późno, gdyż Beck błyskawicznie wyciągnął pułapkę z wody, zakrywając dłonią otwór. Podniósł butelkę w triumfalnym geście.

– Mamy ją! – wręczył zdobycz Tikaaniemu, który wziął ją ostrożnie. Pstrąg wil się, wychlapując wodę z butelki. – Zabierz go na brzeg, trzymaj pionowo i nie pozwól mu uciec.

Tikaani zachował rozsądną odległość od rzeki. Nawet gdyby upuścił butelkę, ryba nie trafiła by z powrotem do wody.

Teraz Beck musiał poczekać na drugą zdobycz. Trwało to trochę dłużej, ale i w tym wypadku znalazł się amator na robaka. Chłopiec nie potrafił rozpoznać gatunku, nie miało to jednak

znaczenia. Ważne, że zdobyli jedzenie.

Przeszedł z drugą pułapką do miejsca, gdzie czekał Tikaani, który wprost drżał z niecierpliwości.

– Co to za ryba? Co złapałeś?

Beck wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Tikaani rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

– A jeśli mięso jest trujące? – marzył o tym, by już wyjąć i zjeść swój posiłek, ale wrodzona ostrożność wzięła górę nad głodem.

– Bez obaw, ryby słodkowodne są jadalne.

– Chyba zjem ją całą! – zawołał Tikaani. Już nie mógł wytrzymać. – Kiedy będziemy jeść? Rozpalisz ognisko, prawda? I...

– Ognisko? – Beck udał zdziwienie. – A co to takiego?

Wsadził rękę do pułapki i złapał rybę za skrzel. Wciąż wierzgającą wyciągnął na zewnątrz i upuszczając butelkę, chwycił ją obiema rękami. Wgryzł się w nią mocno, mniej więcej w połowie grzbietu, łamiąc kręgosłup i rozbryzgując soki. Poczul smak świeżego, mokrego, śliskiego mięsa. Łuski drapały go po twarzy; nie zważał na to i dalej odgryzał delikatne kawałki ryby od kruchych ości. W końcu spojrzał triumfalnie na Tikaaniego.

Ten wpatrywał się w niego z przerażeniem. A może zafascynowany? Beck nie był pewien. Tikaani z niemal widocznym na twarzy wysiłkiem podjął decyzję: złapał swoją rybę i poszedł w ślady swego przyjaciela.

– Jedz tylko wzdłuż grzbietu i boków – poradził mu Beck – ale uważaj, żeby nie przeżyć wnętrzości. Naprawdę nie będą ci smakować.

Tikaani chrząknął niewyraźnie z ustami pełnymi surowej ryby. Przez następnych kilka minut nic nie mówili, kończąc posiłek.

– Mmm! – wykrzyknął Tikaani, wymachując resztkami ryby. – Sushi w wersji dla odważnych! Nie miałem pojęcia, że mogę być aż tak głodny.

– Problem z ogniem – Beck odrywał ostatnie kawałki mięsa od kręgosłupa, co wymagało precyzji i koncentracji – polega na tym, że wysusza rybę, pozbawiając ją soków. A my otrzymaliśmy ten dar natury w pełnej formie. Dał nam siłę, zwilżył nam gardła...

– I utrzymał nas przy życiu – dodał Tikaani, spoglądając z nadzieją na pułapki. – Złapiemy więcej?

Beck zaśmiał się.

– Jasne, spokojnie. Jest tylko jedna rzecz, którą rybki lubią bardziej od smakowitych robaków: wnętrzości swoich kolegów.

– Wobec tego tym bardziej nie chciałbym być ich wrogiem.

Chłopcy umieścili w pułapkach przynętę w postaci rybich wnętrzności i złapali kolejne dwie sztuki. Zjedli je na surowo z taką samą radością i energią jak poprzednie. Dopiero wtedy, ugasiwszy głód i pragnienie, ruszyli dalej wzdłuż rzeki.

Beck uznał, że nie będą jej przekraczać, ponieważ w przeciwieństwie do poprzedniej nie blokowała im drogi. Z mapy wynikało, że to rzeka Kynak. Przez kolejnych kilka kilometrów spływała z gór, a potem, szerokimi zakolami, przecinała płaskie tereny, by w końcu wpaść do morza niedaleko Anakatu. Biegła więc mniej więcej w kierunku, w którym zdążali, i mogła im służyć jako niezawodny kompas.

Przez następnych kilka godzin maszerowali zatem w dół Kynaku. Schodzili ze skalnych półek i wędrowali brzegiem pokrytym żwirem. Momentami Beck miał wrażenie, że rzeka jest trzecim członkiem ich ekipy – woda zdawała się wesoło skakać z progów i bawić w zagłębieniach wśród skał zupełnie jak małe dziecko.

– Beck! – Tikaani zatrzymał się nagle i przykucnął. Pod krzakiem dostrzegł tulącą się do ziemi roślinkę o owalnych liściach i czerwonych jagodach. Te idealne kulki wyglądały jak małe pomidory. – To chyba...

Beck uśmiechnął się. Jego przyjaciel stawał się prawdziwym odkrywcą.

– Tak, to jest brusznica i możemy je zjeść. Dobra robota!

Tikaani już miał pełne usta. Nastroj chłopców jeszcze bardziej się poprawił. Znowu znaleźli się w krainie, która mogła ich wykarmić.

Kiedy młody Anak poszedł szukać jeszcze czegoś do jedzenia, Beck przyjrzał się uważnie rzecze. Przez ostatnie ćwierć mili nie minęli ani jednego proggu. Teren był teraz płaski, a nurt spokojny.

Wyciągnął mapę. Wcześniej nitka rzeki przecinała pęk poziomic, co oznaczało szybką zmianę wysokości. Trudno było przejść więcej jak sto metrów, by nie natknąć się na jakiś próg lub wodospad. Ale teraz Kynak powinien już płynąć w miarę spokojnie. Teren wprawdzie się wznosił i opadał, rzeka jednak wyrzeźbiła w nim dolinę. Na brzegach leżały kłody drzew przyniesione przez nurt.

– Tikaani, jak twoje stopy?

Chłopiec spojrział na niego z ukosa. Poruszył jedną, a potem drugą stopą.

– Trochę bolą, ale wydaje mi się, że wciąż każda ma pięć palców. Dlaczego pytasz?

– Bo pomyślałem sobie – rzucił niewinnie Beck – że mogę im trochę pomóc.

Tikaani tylko na niego spojrział.

– Zrobimy tratwę – oznajmił Beck. – Zmierzamy w tym samym kierunku co rzeka, więc to ona może się za nas pomęczyć.

– Dobra – Tikaani chyba zaczął się już przyzwyczajać do pomysłów Becka. Bywały zaskakujące, ale się sprawdzały. – To co robimy?

Dobre pytanie. Beckowi przemknęło przez głowę tęskne wspomnienie tratwy zbudowanej w ubiegłym roku wraz z dwojgiem przyjaciół w Kolumbii. To była porządna, wytrzymała tratwa, którą nazwali „Bella Señora”. Zrobili ją z balsy i bambusa, wykorzystując to, co zabrali

z domu i co rośnie w dżungli. Była tak solidna, że spędzili na niej kilka dni na morzu i przeżyli nawet atak rekina.

Ta nie będzie tak wspaniała, bo liczy się tylko to, by unosiła się na wodzie. Do niczego więcej jej nie potrzebowali.

– No dobrze. Potrzebujemy dwóch prostych drzew, co najmniej tak grubych – rozłożył ręce na szerokość około pół metra.

– Ścięcie ich twoim nożem zajmie nam sporo czasu – odparł ostrożnie Tikaani.

– To nie będzie konieczne.

Beck patrzył na kłody wyrzucone na brzeg. Poziom rzeki już był dość wysoki z powodu topniejącego śniegu, a przecież jeszcze się podniesie. Poprzedniej zimy, gdy woda opadła, całe to drewno osiadło na mieliźnie.

– Zbierzmy, ile tylko damy radę!

* * *

Łatwiej było powiedzieć niż znaleźć drewno, które by odpowiadało ich potrzebom. Pnie były albo niewystarczająco grube, albo niewystarczająco długie, a często i zbyt cienkie, i zbyt krótkie. Musieli rozszerzyć poszukiwania i oddalić się od rzeki. Beck zdawał sobie sprawę, że czas ucieka, ale przecież nie robili tego dla zabawy. Chodziło o to, by jak najszybciej dotrzeć do Anakatu i uratować wujka Ala. Zbudowanie tratwy zajmie im kilka godzin, ale nadrobią je później. Gdyby jednak okazało się to zbyt czasochłonne, trzeba będzie zarzucić pomysł i po prostu ruszyć dalej na piechotę.

W końcu jednak znaleźli dwa odpowiednie pnie, o tej samej grubości, ale różnej długości. Jeden miał ponad dwa metry, drugi zaś tylko około półtora. Były ciężkie i musieli je przenosić nad rzekę razem.

– To będą główne pływaki tratwy – wyjaśnił Beck.

Ułożyli oba pnie na ziemi, równoległe do siebie, w odległości mniej więcej metra. Potem zaczęli układać na górze, poprzecznie, mniejsze gałęzie.

– Te mają tylko wzmocnić konstrukcję i podtrzymywać pokład.

Potem Beck zanurkował na dno swego plecaka i triumfalnie wyjął z niego jeszcze jeden kłębek drutu uratowanego z samolotu.

– Wiedziałem, że się przyda!

Za pomocą drutu powiązał kawałki drewna w rodzaj ramy o długości około półtora metra i szerokości metra.

– A pokład? – spytał Tikaani.

– Masz go w plecaku. Wyjmij brezent.

Rozciągnęli płachtę materiału na ramie i przywiązali ją do gałęzi kawałkami sznura. Skończywszy pracę, stanęli i spojrzeli na swe dzieło, Beck krytycznie, a Tikaani z dumą, jak gdyby

właśnie zbudował co najmniej wielki żaglowiec.

Może być. Nie jest to „Bella Señora”, ale wystarczy.

– Trzeba ją ochrzcić – oznajmił Tikaani.

– No to wybierz jakieś imię.

– Dobra – chłopiec zamyslił się. – To może... coś... z Alaski? „Mors”? Albo...

– Myśl dalej – powiedział Beck i odwrócił się w kierunku drzew.

Potrzebowali jeszcze czegoś, co zauważył już wcześniej. Długa gałąź, cienka, ale mocna, która posłuży im do kierowania tratwą. Nie mieli żagla ani steru i będzie ich niósł prąd, niemniej jednak nie mogli się zadować wyłącznie na łaskę rzeki. Czasem na pewno trzeba się będzie odepchnąć od dna.

– Może „Orka” – zaproponował Tikaani, kiedy Beck wrócił z tyczką – albo „Niedźwiedz Polarny”?

– Igloo?

– Cha, cha – Tikaani się nie poddawał. – Możemy połączyć nasze imiona. „Bekaani”.

– Albo „Tick” – wyszczerzył zęby Beck.

– Słuchaj, to jest pierwsza tratwa, jaką kiedykolwiek zbudowałem. Musi mieć jakieś imię!

– Wiem, ale na razie mi pomóż.

Tratwa była zbyt ciężka, by ją podnieść, musieli więc mozolnie zepchnąć ją na wodę. Beck ustawił pływaki pod kątem prostym do kierunku rzeki, tak by pełniły rolę płóz. Sam pchał jedną, a Tikaani drugą i w końcu tratwa znalazła się na płyciźnie. Chłopcy wdrapali się na pokład i cała konstrukcja momentalnie zanurzyła się głębiej. Tratwa kołysała się, ale brezent pozostawał niemal zupełnie suchy. Tikaani ukląkł i chwycił się gałęzi. Obracając się wolno na rzece, tratwa sprawiała wrażenie bardzo kruchej. Chwiała się, kiedy tylko któryś z chłopców się poruszył.

Beck spodziewał się tego i nie był tak spięty jak jego przyjaciel.

– Wygodnie ci? – zapytał.

– Ujdzie.

– W takim razie przywiąż plecaki do ramy. Trochę tu ciasno i moglibyśmy je przypadkiem zrzucić do wody.

– Racja – przytaknęła Tikaani, być może myśląc o tym, ile wysiłku włożyli w niesienie plecaków przez tych kilka dni. – Szkoda by było je stracić.

Beck wbil tyczkę w dno rzeki i odepchnął się. Tratwa na moment znieruchomiła, po czym ruszyła z prądem.

Tikaani przywiązał drugi plecak i odprężył się.

– A może nazwiemy ją od jakiegoś ptaka? Czy na Alasce są albatrosy? – spytał. – To by nieźle brzmiało.

– Ale albatrosy nigdy nie lądują na brzegu.

– No to odpada.

– A może „Szlammnik Rdzawy”? – zażartował Beck. Czytał kiedyś o tym ptaku w jakiejś książce i nazwa utkwiała mu w pamięci.

Tikaani skrzywił się z udawanym niesmakiem.

– Jaja sobie robisz?

Nagle twarz mu się rozjaśniła.

– Wiem! „Pardwa”. To symbol Alaski!

Beck uśmiechnął się.

– Dobra, złożymy hołd Alasce.

Ukląkł na skraju tratwy i odepchnął się jeszcze raz tyczką, by przeciwdziałać obracaniu się tratwy. Ponieważ pływaki były różnej długości, przechylała się lekko na jedną stronę i samoistnie skręcała. Wyważenie jej nie będzie łatwe.

– No to załatwione – Tikaani poklepał najbliższą gałąź. – Nadaję ci imię „Pardwa”.

Beck znów odepchnął się od dna. Przypominało to pływanie płaskodenną łodzią. Trzeba się było co jakiś czas odpychać tyczką i sterować nią, ale większość pracy wykonywała sama rzeka. Tratwą nie należało zbytnio manipulować, a jedynie trzymać ją pośrodku koryta. Nieostrożne próby skręcania mogły się skończyć tym, że zacznie się obracać wokół własnej osi i nie przestanie, póki nie przybiją do brzegu.

Obaj chłopcy płynęli więc Kynakiem na pokładzie „Pardwy” w stronę Anakatu.

* * *

Beck uznał, że to był dobry pomysł. Obserwując brzeg, oceniał, że poruszają się o wiele szybciej niż na piechotę. Choć na zbudowanie „Pardwy” zeszło im trochę czasu, wkrótce nadrobią straty.

Niesiona prądem tratwa nie płynęła zupełnie gładko. Była zdecydowanie bardziej chybota niż jakakolwiek łódź. Od czasu do czasu jakaś pojedyncza fala spryskiwała pokład, a pod brezentem słychać było bezustanny plusk wody. Ale słońce świeciło i przyjemnie ogrzewało obu pasażerów. Miarowe chlupotanie uspokajało ich i usypiało. Tikaani uniósł się z klęczek i ostrożnie wyciągnął na brezencie. Beck nie zdziwił się zbytnio, gdy zobaczył, jak jego towarzyszowi opadają powieki. Chłopiec zapadał w drzemkę. Obaj byli mocno zmęczeni trzydniową wędrówką. Mobilizowała ich tylko świadomość, że muszą dotrzeć do celu, ale gdy tylko się zatrzymywali, dawało o sobie znać wyczerpanie.

Beck również czuł, że kleją mu się powieki. Odpychanie się co jakiś czas tyczką nie wymagało dużego nakładu energii. Zmuszał się, by otwierać oczy.

– Nie mogę zasnąć – mruknął sam do siebie. Zanurzył dłoń w rzece i ochlapał sobie twarz zimną wodą. – Muszę patrzeć, co się dzieje.

Miał wrażenie, że przytomność umysłu powróciła. Nie czuł się już taki senny. Tylko to pieczenie w oczach... Zamrugał, żeby się go pozbyć. Dalej piekły. Ścisnął mocno powieki...

Tratwa nagle się przechyliła i Beck poczuł lekki wstrząs, jakby skurcz mięśni, który czasami towarzyszy zasypianiu. Momentalnie otrzeźwiał.

To znaczyło, że jednak zasnął!

Rozejrzał się w popłochu. „Pardwa” znów się obracała na wodzie. Prosto przed sobą miał teraz brzeg, nadal przesuwały się w odległości kilku metrów. Nadal też znajdowali się pośrodku rzeki. Nie widział na łądzie żadnych charakterystycznych obiektów, trudno więc było ocenić, jak długo mogła trwać drzemka. Chyba jednak niedługo, ponieważ w dalszym ciągu kłęzczał, a w rękach trzymał tyczkę.

– Wstawaj, Beck. Pobudka! – sam sobie wydał rozkaz.

Najpierw trzeba było z powrotem ustawić „Pardwę” w odpowiedniej pozycji. Wbił tyczkę w dno i odepchnął się. Tratwa znów się zakołysała, ale tym razem był już czujny. Zimna woda chlusnęła za to na Tikaaniego, który obudził się z krzykiem.

– Hej! To nie było śmieszne!

– Nie było – zgodził się Beck z ponurą miną i wskazał głową w dół rzeki.

Nurt nie był już leniwy. Na powierzchni wody pojawiły się zmarszczki i regularne fale. „Pardwa” podskakiwała na nich coraz bardziej. Dalej zaś widać było sterczące z rzeki skały i kłębiącą się między nimi białą pianę.

Tratwa płynęła prosto na skalne progi.



ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Beck zanurzył tyczkę w wodzie i z całych sił odepchnął tratwę. Mieli niecałą minutę na to, żeby dopłynąć do brzegu. Tikaani klęczał, nie odrywając wzroku od znajdującego się przed nimi progu. Przypominał Beckowi przerażonego zająca oślepionego światłami nadjeżdżającego z naprzeciwka samochodu.

Tratwa zbliżyła się do brzegu, ale jednocześnie coraz szybciej mknęła z prądem. Beck w morderczym pośpiechu raz po raz odpychał się od dna. Odległość od brzegu systematycznie malała...

Nagle tyczka uderzyła w coś tak twardego na dnie, że siła uderzenia niemal wytrąciła ją chłopcu z rąk. „Pardwa” przesunęła się nie więcej niż trzydzieści centymetrów w lewo, a jednocześnie kilka metrów w dół rzeki. Nagle wszystko stało się jasne i Beck poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła – mógł sterować tratwą, ale prąd był zbyt silny, aby zdołał skierować ją do brzegu. A to oznaczało, że mogą płynąć tylko w jednym kierunku.

– Nie damy rady dobić do brzegu. Musimy przepłynąć przez progi.

Tikaani spojrział na niego z nieukrywaniem przerażeniem w oczach. Tratwa gwałtownie zanurzyła się i strumień wody kolejny raz zmoczył obu pasażerów.

– Dobra – powiedział, siłąc się na odwagę. – Co mam zrobić?

– Trzymaj się mocno! – krzyknął Beck.

Tikaani skinął głową, kurczowo złapał się tratwy i znowu popatrzył przed siebie. Progi zbliżały się nieubłaganie. Tratwa podskakiwała na falach niesiona nurtem i zmierzała prosto w kierunku skał. Beck miał zamiar przemknąć między nimi w miejscu, gdzie widać było jezor swobodnie przepływającej wody, unikając uskoków, przy których tworzyły się niebezpieczne wiry. Wziął głęboki oddech, obrał kierunek i energicznie odepchnął tratwę kijem od dna. „Pardwa” prześlizgnęła się pomiędzy dwiema skałami i znalazła się w głównym nurcie, podążając prosto w białą kipieli.

Woda chlusnęła na pokład i gdyby nie to, że plecaki były przywiązane, z pewnością by je zmiotła. Tratwa podjechała do góry, niczym łódź podwodna wynurzająca się z oceanu. Obaj chłopcy z trudem łapali powietrze, a po ich twarzach spływały strużki lodowatej wody.

Beck przetaił ręką oczy i rozejrzał się wokół. Ze wszystkich stron otaczały ich skały i wydawało się, że z tego kamiennego kręgu nie ma wyjścia.

Ale nurt rzeki dobrze wiedział, dokąd zmierza, i niósł ze sobą „Pardwę”.

– Tam! – wykrzyknął Tikaani, wskazując przesmyk pomiędzy głazami tylko nieznacznie szerszy niż tratwa.

Beck zobaczył, że z lewej strony nurt gwałtownie się obniża. Szybko skierował tratwę w prawo. Wykonała gwałtowny obrót i jeden z pływaków uderzył w skałę, wydając przy tym ostry zgrzyt. Beck odetchnął z ulgą, że żaden z nich nie odczuł na własnym ciele siły uderzenia, ale jednocześnie przestraszył się, że tratwa może tego nie wytrzymać. Budując ją, starał się, by była jak najmocniejsza, ale takiego obrotu sprawy nie mógł przecież przewidzieć.

„Pardwa” zatańczyła na falach wokół własnej osi i wpadła tyłem w kolejny wir. Uskok był dość duży i część tratwy, na której znajdował się Beck, zanurzyła się pod wodę. W tej samej chwili chłopiec zobaczył, jak przeciwległa krawędź unosi się do góry. Tikaani, uczipiony kurczowo pływaka, desperacko walczył o utrzymanie równowagi pod naporem silnej fali, która lada moment mogła ich wyrzucić.

– Trzymaj się! – krzyknął Beck.

Cisnął tyczkę i podczołgał się w kierunku przyjaciela. Ciężar jego ciała przeważył tratwę, która z powrotem opadła płasko na wodę. Na pokład znów chlusnął strumień wody, ale nie zdołał już jej przewrócić.

Beck złapał tyczkę dryfującą nieopodal w spienionym nurcie rzeki i wciągnął ją na tratwę. Ta ponownie zaczęła wirować, tak że zupełnie nie dało się stwierdzić, w którym kierunku płynie. Jedyne, co Beck mógł zrobić, to trzymać ją z daleka od wyrastających przed nimi raz po raz skał.

– Chyba nam się udało – odetchnął Tikaani.

Beck spojrział przed siebie. Rzeczywiście, jego towarzysz niedoli miał rację. Nurt był wciąż rwący, wyglądało jednak na to, że najgorsze mają już za sobą. Tu i ówdzie w dalszym ciągu pojawiały się skały i kamienie, ale rzeka płynęła w miarę równo. Tratwa gwałtownie przyspieszyła, jakby chciała nadrobić stracony czas. Beck znów był w stanie nią sterować, trzymając się miejsc, gdzie rzeka wydawała się najgłębsza i omijając ostatnie wiry. Szum wody spływającej po progach stopniowo cichł. Chłopcy najedli się strachu i byli przemoczeni do suchej nitki, ale nareszcie bezpieczni.

Tikaani wydał okrzyk radości. Beck odpowiedział mu tym samym, ale jakby z mniejszym przekonaniem. Miał świadomość, że uderzenie w skały musiało osłabić konstrukcję tratwy. Uniósł brzeg brezentu i obejrzał najbliższe połączenie pływaków. Było o wiele luźniejsze niż wcześniej.

– Musimy wyjść na brzeg – powiedział. – Trzeba się wysuszyć.

Odpychając się kijem, ponownie spróbował dobić do brzegu, ale nurt znów przyspieszył, tak samo jak przed progami. Jakkolwiek próbował skrócić, prąd bezustannie znosił „Pardwę” na śro-

dek rzeki. W zasadzie nie stanowiło to poważnego problemu – wystarczyło bowiem zaczekać, aż nurt zwolni.

– Patrz!

Beckowi nie spodobał się ton głosu Tikaaniego. Szum, którego prawie nie było już słycać, znów zaczął narastać. A skoro nie zawrócili w stronę niedawno pokonanych progów, mogło to oznaczać tylko jedno.

Tknięty złym przecuciem odwrócił głowę, żeby sprawdzić, co zobaczył Tikaani.

W pierwszej chwili pomyślał nawet, że chłopiec się pomylił. Nie widać było żadnej przeszkody. Ani skał, ani wirów...

I w tym momencie dotarła do niego przerażająca prawda. Nie widział żadnych progów, gdyż rzeka po prostu gwałtownie spadała w dół. Płynęli prosto do wodospadu.

Myśli jak błyskawice przelatywały przez głowę Becka. Mogli skoczyć do wody i spróbować dopłynąć wpław do brzegu. Ale prąd był zbyt silny i z pewnością zniósłby ich do wodospadu. Mogli zostać i spróbować go pokonać. Ale co będzie, jeśli spadająca tratwa przewróci się i uwięzi ich pod wodą? Albo roztrzaska się wraz z nimi o skały?

Nic więcej nie przychodziło mu do głowy. A ponieważ oba te pomysły były niemożliwe do zrealizowania, Beck wybrał to, co wydawało mu się w obecnej sytuacji najmniej ryzykowne.

Z całych sił odpychając się tyczką, ponownie spróbował skierować „Pardwę” do brzegu, mając nadzieję, że gdy się do niego nieco zbliżą, będą mogli wskoczyć do wody i jednak pokonać rwący nurt.

Albo...

Nagle zaświtał mu promyk nadziei. Na lewym brzegu zauważył powalony pień drzewa, którego gałęzie zwisały się nad wodą. Musiało się przewrócić tej zimy, bo drewno nie zdążyło jeszcze zbutwieć. To była ich ostatnia deska ratunku.

– Spróbujemy się tam dostać – wskazał Tikaaniemu. – Może uda się nam złapać którąś z gałęzi.

Tikaani sam zauważył drzewo i energicznie pokiwał głową.

– Odwiąż plecaki i załóż swój na plecy.

Nie mieli czasu do stracenia. Tikaani nerwowo szarpał węzły, ale w końcu udało mu się je rozluźnić. Założył plecak i klęknął z przodu tratwy, gotowy do skoku. Beck w tym czasie próbował naprowadzić „Pardwę” na właściwy kurs. Musieli przepłynąć tuż pod drzewem, aby złapać się jego gałęzi.

W ostatniej chwili cisnął tyczkę w wodę i narzucił plecak na ramiona. I już wpływali pod korony drzewa.

Tikaani podskoczył ku najbliższej gałęzi, ale kiedy ją złapał, drzewo ugięło się pod jego ciężarem. Krzyknął z przerażenia, a jego stopy prześlizgnęły się po pokładzie. Beck rzucił się do przodu, złapał go za nogi i podsadził w górę. Mokre liście smagnęły go po twarzy, zupełnie jakby miały zamiar zepchnąć go z powrotem do wody. Tikaani złapał położoną wyżej gałąź i podciągnął się do góry. „Pardwa” niemal już wypłynęła spod korony powalonego drzewa. Beck de-

speracko rzucił się w tył, próbując dosięgnąć gałęzi. Wybrał konar tuż obok Tikaaniego, który wyglądał na odpowiednio mocny. Skoczył...

Ramię przeszył mu dotkliwy ból. Nadział się na inną, mniejszą gałąź, której nie zauważył, i w rezultacie z powrotem spadł na pokład. Tratwa zatańczyła na falach pod ciężarem jego ciała.

– Beck! – krzyknął Tikaani.

Beck natychmiast poderwał się, ale wiedział już, że w żaden sposób nie da rady dosięgnąć gałęzi.

Ponownie upadł na kolana, aby nie stracić równowagi. Jego oczy napotkały spojrzenie Tikaaniego, w którym malowała się rozpacz. Tratwa pędziła w dół rzeki z Beckiem na pokładzie, podczas gdy bezradny Anak znajdował się w bezpiecznym miejscu. Beck odwrócił wzrok i spojrział w stronę wodospadu.



ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Znow przemknęły mu przez głowę wszystkie wcześniejsze pomysły, ale wiedział, że ma tylko jedną szansę. Nie mógł się zbliżyć do wodospadu. A ponieważ nie był w stanie sterować tratwą, musiał szukać ratunku poza nią.

Jednym ruchem pozbył się plecaka, który stanowił teraz zbędny balast, i wskoczył do wody. Z rękoma uniesionymi nad głową i prostymi nogami zanurkował jak pływak olimpijski, starając się płynąć jak najdłużej pod wodą.

W szkole był całkiem niezłym pływakiem, ale jeszcze nigdy dotąd tak desperacko nie pragnął wygrać. Natychmiast gładko wpadł w rytm krawla: wdech, lewe ramię w górę, głowa pod wodę, wydech, prawe ramię do góry, znowu lewe ramię do góry i znowu wdech. Ręka-wdech-ręka-wydech.

Tym razem jednak rozszalały nurt stawiał bardzo silny opór. Każdą cząsteczką ciała czuł, że nieubłaganie zbliża się do wodospadu. Woda zalewająca mu oczy, za każdym razem, gdy się wynurzał, sprawiała, że niewiele widział, zdawał sobie jednak sprawę, dokąd go znosi. Starał się energicznie machać nogami, ale przeszkadzały mu ciężkie buty. Musiał polegać głównie na sile ramion.

Płynął z całych sił przed siebie, kiedy nagle zakryła go fala. Tym razem nie udało mu się wydostać na powierzchnię. Porwał go nowy, potężny prąd, który wydawał się czyhać na niego tuż pod powierzchnią wody i był dwa razy silniejszy od tego na górze. Miotał ciałem chłopca na wszystkie strony, nie zważając na jego rozpaczliwe wysiłki, aby zaczerpnąć powietrza. Woda szumiała mu w uszach, a co najgorsze, nie miał pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Mógł się o tym przekonać, wypuszczając z ust bańki powietrza, które wskazałyby mu właściwy kierunek, ale po pierwsze istniało ryzyko, że nie zdoła ich dojrzeć, a po drugie nie chciał marnować cennych zapasów powietrza, jakie mu zostały w płucach.

Wtem coś uderzyło w niego z ogromną siłą, aż wydał okrzyk bólu, który załomotał mu w uszach. Stracił połowę powietrza, ale w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że musiała to być skała, która nie poddaje się nurtowi i może stanowić dla niego ratunek. Spróbował się na nią wspiąć, walcząc ze spychającym go prądem, i w końcu zdołał się wynurzyć, krztusząc się i parskając.

Wypłuł z ust resztki wody i tak łapczywie chwycił powietrze, aż świszczało mu w płucach. Wokół huczał rozszalały nurt, ale skała dawała mu pewne oparcie. Po chwili oprzytomniał i rozejrzał się wokół.

W tym miejscu prąd wciąż był bardzo silny. Czuł, jak wysoko rozpryskują się fale uderzające w jego uczezione skały ciało. Zewsząd słychać było ogłuszający huk wodospadu, zupełnie jakby znajdował się zaledwie kilka metrów dalej. Jeśli jednak tak było, to dlaczego prąd do tej pory go tam nie zniósł? Wkrótce znalazł odpowiedź na to pytanie – na samym krańcu wodospadu przy brzegu rzeki znajdował się kamienny półokrąg, gdzie tworzył się wir, który go wciągnął.

Beck nadal nie był bezpieczny i musiał bardzo uważać. Kiedy próbował mocniej złapać się skały, prawie wyslizgnęła mu się z rąk. To uświadomiło mu, że powinien za wszelką cenę wydostać się z wody. Jediną drogą ratunku była wspinaczka w górę. Uniósł głowę. W tym miejscu wodospad utworzył głęboki wąwóz. Aby wydostać się na brzeg, należało się wdrapać kilka metrów.

Złapał się z całych sił skały i podciągnął na rękach, jednocześnie szukając oparcia dla nóg na jej śliskiej powierzchni. Nie znalazł go jednak i poczuł, jak zsuwa się po ostrej krawędzi. Spróbował jeszcze raz, ale bezskutecznie, i znów ledwo co uniknął porwania przez nurt.

Przywarł całym ciałem do skały i próbował się uspokoić. Uda mu się. Zanim jego ciało wychłodzi się na śmierć w lodowatej wodzie, zanim opadnie z sił i porwie go prąd, a później roztrzaska o skały u stóp wodospadu – na pewno mu się uda. Gdyby tylko wiedział, jak...

– Beck! – usłyszał znajomy głos i w tej samej chwili coś ciężkiego uderzyło go w głowę. – O rany, nie chciałem!

Beck odwrócił się i omal nie wyklął sobie oka. Na wysokości jego twarzy zwieszał się czubek gałęzi. Spojrzał w górę, tam gdzie powinien być jej drugi koniec.

Zobaczył Tikaaniego, który leżał na brzegu na brzuchu, starając się sięgnąć jak najdalej przed siebie. W rękach trzymał gałąź, której koniec znajdował się na wysokości oczu Becka.

– Łap ją, szybko! – krzyknął Tikaani głosem, w którym pobrzmiwała panika. – Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

Beck posłuchał.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rzeka nie zamierzała oddać swej zdobyczy bez walki. Kiedy tylko Beck puścił się skały, wydało się, że zdwoiła wysiłki, aby go porwać i ucieść w stronę wodospadu. Ale chłopiec kurczowo trzymał się gałęzi i Tikaani przeciągnął go przez wir na brzeg, tak że mógł samodzielnie wydostać się z wody. Uczucie tego, jak rzeka stopniowo wypuszcza jego ciało z morderczego uścisku, było jednym z najprzyjemniejszych, jakich doświadczył w życiu.

Podciągając się na rękach i pomagając sobie nogami, wspiął się na wysoki brzeg. Kiedy dotarł na górę, padł wyczerpany na ziemię tuż obok Tikaaniego.

– Dzięki – wysapał i zamknął oczy, czekając, aż wrócą mu siły.

Gdyby nie to, że dopiero co wydostał się z lodowatej wody, czułby się całkiem błogo. Ziemia była sucha, słońce świeciło, a ciało przyjaciela stanowiło naturalną ochronę od wiatru. Ale mimo to nadal szczekał zębami z zimna.

– No niestety, muszę się rozebrać i wysuszyć – zdecydował szybko.

– Mną się nie przejmuj – wrzucił ramionami Tikaani, pozwalając sobie przy tym na ironiczny uśmiešek. Może przypomniało mu się, jak po kąpieli w jeziorze sam musiał wykonywać polecenia Becka. – Sprawdź, czy mamy coś suchego do ubrania.

Kiedy Beck rozgrzewał się, biegając w miejscu i robiąc pompki i gwiazdy, Tikaani przejrzał zawartość swego plecaka. Niemal wszystko było w nim lekko wilgotne, ale nie tak przemoczzone jak ubranie Becka, bo ani plecak, ani on sam nie wpadli do wody. Młody Anak miał mokre włosy i spodnie, ale resztę jego ciała skutecznie chroniła nieprzemakalna kurtka, którą cały czas miał na sobie, pływając tratwą.

Tikaani zmienił spodnie i skarpetki, a potem wyszukał możliwie jak najsuchsze ubrania dla Becka. Wykręcił mokrą garderobę najlepiej jak umiał i odwrócił się w stronę wodospadu, podczas gdy przyjaciel się przebierał. Beck czuł, jak po jego ciele stopniowo rozlewa się przyjemna fala ciepła. To nic, że ubrania były lekko wilgotne – wiatr wiał zbyt słabo, aby dało się odczuć chłód. Jeśli pójdą dalej na piechotę, ich ciała same wytworzą ciepło, które wysuszy ubrania.

„I to jest jedyna jak na razie dobra wiadomość” – pomyślał gorzko. Przez niego omal nie zginęli, a dodatkowo stracili tratwę i brezent. Nie miał już nawet swojego plecaka, w którym znajdowała się mapa, woda i połowa ubrań.

– Beck! – Tikaani zmierzał w jego stronę, wskazując na znajdujący się za nim wodospad. – Pujortok!

– Jeśli w waszym języku oznacza to „cudem ocalony od śmierci” – wymamrotał Beck – to masz rację.

– Nie, nie – zaprzeczył Tikaani dziwnie ożywionym głosem. – To znaczy „dymiący”. Tak nazywamy ten wodospad. Ja już tu kiedyś byłem.

– Byłeś tu? – zamrugał oczami Beck.

– Tylko u stóp wodospadu, dlatego z początku nie rozpoznałem go z tego miejsca. Byłem tu z ojcem na biwaku.

Beckowi nagle wydało się, że Tikaani mówi w jakimś dziwnym, obcym języku. Znał poszczególne słowa, ale jego mózg nie mógł wydobyć z nich znaczenia.

– Na biwaku?

– Przecież mówię – wzruszył ramionami Tikaani. – Rozbiliśmy namiot, jedliśmy konserwy, spaliśmy w śpiworach, było super. Co prawda przyjechaliśmy samochodem, ale równie dobrze mogliśmy przyjść pieszo. Jestem pewny, że przed zachodem słońca dotrzemy do Anakatu!

* * *

Pujortok stanął dwudziestometrową ścianę wody. Musieli oddalić się nieco od brzegów rzeki, żeby znaleźć miejsce nadające się do zejścia. Widząc wodospad z boku, Beck zrozumiał, skąd wzięła się jego nazwa. Spadające z ogromną siłą krople wody unosiły się w formie skrzęcej się mgiełki przypominającej dym, który rozwiewał się wysoko nad czubkami jodeł. W rozpylonej nad wodospadem mgłę tworzyła się tęczą; jej łuk wskazywał im dalszą drogę.

Kiedy zeszli na dół, nastrój Becka znacznie się poprawił. A gdy u podnóża wodospadu naktknęli się na krzak, którego gałęzie wprost uginały się pod ciężarem dorodnych brzoszczy, całkowicie wrócił mu dobry humor. Niedługo potem ruszyli w dalszą wędrówkę w dół rzeki, z pełnymi żołądkami, w schnącej powoli odzieży i z optymizmem w sercu.

Tikaani zrobił się nagle bardzo rozmowny, co bardzo cieszyło Becka. Był teraz równie pogodny jak młody Anak, ale zmagania ze zdrażliwą rzeką zostawiły ślad w jego psychice. Kątem oka spoglądał na płynący obok Kynak, który w tym momencie, gdy Pujortok został daleko w tyle, wydawał się taki cichy i spokojny. Wiedział już, że to tylko pozory i że rzecze nie można ufać.

Ale na razie trzeba pozwolić Tikaanemu się wygadać.

– Mój dziadek mówi, że pierwsze polowanie to bardzo ważna rzecz w życiu chłopca. Przyprawiano ich tutaj z wioski na kilka dni...

Wydarzenia ostatnich dni najwyraźniej obudziły w Tikaanym wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w eskimoskiej wiosce, przemieszane w jego świadomości z opowieściami, jakie usłyszał od dziadka.

– Kiedyś przyjechali tu także żołnierze na ćwiczenia – opowiadał dalej. – Dziadek rozstawił wnyki i rankiem złapał kilka zajęcy, które obdarł ze skóry i upiekł, a później chciał ich poczęstować. Ale oni odmówili, bo dziadek dotykał mięsa gołymi rękami... Patrz! – Tikaani nagle prze-rwał i rozejrzał się dookoła. Spojrzał na góry, na rzekę i niewielkie wzniesienie na brzegu. Naj-wyraźniej miejsce to z czymś mu się kojarzyło.

– Zaraz będzie polana, na której biwakowaliśmy – powiedział uradowany. – Możemy tam odpocząć.

Beck przytaknął zmęczony. Przyda im się krótki odpoczynek przed ostatnim etapem wę-drówki do Anakatu.

Po pięćdziesięciu metrach rzeczywiście dotarli do niewielkiej polanki usłanej igliwem, wprost wymarzonej na krótką drzemkę. Wiszące wysoko na niebie słońce zalewało ją ciepłym blaskiem, a smukłe jodły skutecznie chroniły przed wiatrem. Aż chciało się tu odpocząć.

Grrrooo!

Beckowi serce stanęło w gardle. Nie, to niemożliwe.

Tikaani wybuchnął śmiechem.

– Patrz, jakie fajne!

Z krzaków wytułała się para niedźwiadków. Ich futro było brunatne i mięciutkie, jakby specjalnie wyszczotkowane. „Brunatne” – przemknęło przez myśl Beckowi. – „To znaczy, że mamy do czynienia z grizzly”. Małe, czarne ślepia osadzone w okrągłych łebkach nie wy-rażały żadnych złych zamiarów. Niedźwiadki bawiły się, mocując się ze sobą, koziołkując i wzajemnie podgryzając.

Beck nie mógł sobie darować, że zapomniał o jednej z najważniejszych zasad. Stracił czuj-ność, zbyt zmęczony, by myśleć, i zmylony fałszywym poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawa-ła im bliskość Anakatu. Zasada numer jeden brzmiała: „Uważać na niedźwiedzie!”.

– Wiesz chyba, co to znaczy niedźwiedź. Uciekamy stąd!

– Ale przecież one wcale nie są groźne... – zaprotestował Tikaani.

W tym momencie usłyszeli, jak za ich plecami pojawiło się coś najwyraźniej rozwścieczone-go. Chłopcy powoli się odwrócili.

– One może nie – wykrztusił Beck – ale ona tak.

Futro niedźwiedzicy, w przeciwieństwie do jej młodych, było zmierzwione i miało brunatną barwę z szarym nalotem. Niedźwiadki wyglądały niewinnie, czego nie dało się powiedzieć o ich matce – pod skórą niedźwiedzicy wyraźnie rysowały się potężne mięśnie. Zdecydowanie nie była w nastroju do żartów, widząc, jak dwa dwuonożne stworzenia odgradzają ją od dzieci.

Niedźwiadki były wielkości dużych psów. Niedźwiedzica, kiedy stanęła na tylnych łapach, miała prawie dwa i pół metra wzrostu. Ważąca pół tony bestia przenikliwym rykiem wyraziła swoje niezadowolenie z pojawienia się intruzów, a później opadła na cztery łapy i ruszyła do ataku.



ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tikaani krzyknął ze strachu i już chciał uciekać, gdy Beck złapał go i przytrzymał.

– Kładź się – syknął. Sam rzucił się na ziemię i pociągnął go za sobą. – Udawaj nieżywego.

Beck wiedział, że w przypadku spotkania z niedźwiedziem najbardziej niebezpieczną sytuacją dla człowieka jest znaleźć się w miejscu pomiędzy samicą a młodymi. Wówczas zwierzę zrobi wszystko, aby wyeliminować potencjalne zagrożenie. Zwinny niedźwiedź jest w stanie dopaść uciekającego człowieka w ciągu kilku sekund. Dlatego jedyną szansą na przeżycie było udawanie martwego.

Beck spróbował sobie przypomnieć moment, gdy opowiadał Tikaanemu o niedźwiedziach. To musiało być na początku ich wędrówki, a więc kilka dni temu. Ale od tego czasu tyle się wydarzyło i nie wiadomo, ile przyjaciół z tego zapamiętał.

Tikaani leżał na ziemi kilka metrów od niego, z głową odwróconą na bok. Jego twarz była kredowo biała, a oczy rozszerzone strachem. Beck nagle zdał sobie sprawę, że chłopiec leży na brzuchu, podczas gdy on, padając, zwinął się w kłębek, aby chronić jak największą powierzchnię ciała. Nie zdążył przypomnieć o tym Tikaanemu, a teraz nie mógł już tego zrobić – gdyby niedźwiedź zobaczył, że któryś z nich się porusza, rozprawiłby się z nim jak ze szmacianą lalką.

– Nawet jeśli cię trąci albo zacznie szarpać – wyszeptał Beck – nie możesz się poruszyć.

Tikaani nie dał żadnego znaku, ale Beck poznał po jego przerażonych oczach, że zrozumiał ostrzeżenie.

Beck miał świadomość, że jego rada może nie na wiele się przydać, nic innego jednak nie można było w tej sytuacji zrobić.

Potężna sylwetka niedźwiedzicy znajdowała się tuż przed nimi, całkowicie przesłaniając im słońce.

Nagle ujrzeni między sobą potężną łapę pokrytą zmierzwioną sierścią, w którą wbiły się igły i leśne owady, a zaraz potem poczuli ostry zapach zwierzęcia. Po chwili samica zniknęła, ale Beck czuł, że krąży wokół nich.

Nagle przyjaciel zniknął mu z pola widzenia. Beck zagryzł wargi, by nie wybuchnąć płaczem. Ale Tikaani nie wydał żadnego okrzyku i Beck domyślił się, że niedźwiedź musiał wbić

zęby w jego plecak, chcąc sprawdzić, jaka będzie reakcja. Najwyraźniej chłopcu nic się nie stało – nie poruszył się ani nie odezwał.

Niedźwiedzica zostawiła leżącego na brzuchu chłopca i zajęła się obwąchiwaniem Becka. Jej nozdrza poruszały się miarowo, a potężny oddech przypominał miech kowalski. Beck leżał nieruchomo, zastanawiając się, czy zwierzę może słyszeć, jak serce łomocze mu w piersiach.

Niedźwiedź trącił go łapą jak natrętnego owada, ale chłopcu udało się zachować spokój i nie poruszyć. Potężny łeb zbliżył się do jego oczu, odsłaniając niewielki skrawek pożółkłych kłów. Zwierzę ponownie szturchnęło go pyskiem, w oczekiwaniu na reakcję. Ale i tym razem Beck zdołał zachować zimną krew.

Nagle niedźwiedzica przybliżyła pysk i złapała zębami rękaw Becka, jedynie o włos omijając jego ciało. Chłopiec nie poruszył się, ale jednocześnie poczuł ucisk w piersiach i zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Bał się, że jeśli tylko nabierze powietrza do płuc, napastnik to zauważy. Niedźwiedzica potrząsnęła łbem, cały czas ciągnąc za rękaw. Beck poddał się temu, ale kiedy go puściła, odruchowo podparł się ręką, aby zamortyzować upadek. W tej samej chwili, przeklinając swoją głupotę, rozplaszczyl się na ziemi najbardziej jak mógł, sprawiając wrażenie kompletnie bezwładnego. Czy niedźwiedzica mogła zauważyć, że się poruszył?

Zbliżyła nos do jego głowy i zarzyczała, owiewając Becka oddechem, w którym czuć było odor zgnięłego mięsa. Chłopiec zamknął oczy i zrezygnowany czekał na atak.

Nagle przestał odczuwać ciepło oddechu. Wyobraził sobie, że zwierzę podniosło pysk w górę, wyszczerzyło kły i szykuje się do zadania ciosu.

Ale nic takiego się nie stało. Beck miał wrażenie, że obok niego zrobiło się pusto. Lekko uchylił jedną powiekę, potem drugą. Niedźwiedzica zniknęła.

Znajdowała się już po drugiej stronie polanki, zadziwiająco lekko stąpając po dywanie z igliwia. Widocznie uznała, że intruzi nie stanowią zagrożenia. Pociągnęła za sobą młode niedźwiadki, dając im znak do odejścia przeciągłym rykiem, który zdaniem Becka musiał oznaczać mniej więcej: „Mówiłam, żebyście się nie bawili z ludźmi?”.

Niedźwiedzica rodzina zniknęła w lesie.

Chłopcy leżeli nieruchomo jeszcze przez kilka minut. Tikaani posłusznie naśladował przyjaciela. Kiedy Beck miał już absolutną pewność, że zwierzęta nie wrócą, podciągnął się i usiadł. Tikaani zrobił to samo. Wymienili spojrzenia, a potem bez słowa wstali i czym prędzej opuścili polanę.

– Próba charakteru – odezwał się po chwili Beck.

– Trochę brudząca – zauważył Tikaani, otrzepując spodnie.

Beck podniósł z ziemi niewielką gałąź i mocno uderzył nią w pień najbliższego drzewa.

– To my! – krzyknął w głąb lasu. – Nie zwracajcie na nas uwagi!

Głośno rozmawiając i robiąc dużo hałasu, aby odstraszyć inne niedźwiedzie, które mogłyby im zagrozić, ruszyli w dalszą wędrowną do Anakatu.

– Ja też bym tak zrobił – powiedział nagle Tikaani mniej więcej pół godziny później.

Beck popatrzył na niego zdziwiony.

– Ale co?

Tikaani wskazał kciukiem za siebie.

– To, co ta niedźwiedzica. Ta polanka była placem zabaw dla jej dzieci. Nie wkurzyłbyś się, gdyby dwóch obcych bez pytania weszło na twoje podwórko?

– Raczej tak – zgodził się Beck.

– Tu jest jej dom – mówił dalej Tikaani. A później powtórzył nieco ciszej i z naciskiem – Jej dom. Czy wolno bez pytania wejść do cudzego domu?

Beck popatrzył na niego uważnie. Nie chodziło tylko o niedźwiedzie. Wyczuł gniew w słowach Tikaaniego i pomyślał, że może młody Anak ma na myśli Lumos Petroleum.

Od kilku dni w ogóle nie myślał o koncernie naftowym. Miał inne problemy, na przykład: jak ocalić własną skórę. Ale przecież wszystko to, co ich spotkało, było winą tej korporacji. W miarę jak zbliżali się do Anakatu, Lumos znowu zaczął go prześladować.

– Nie wolno – przyznał rację przyjacielowi.

– Nie! – powtórzył Tikaani. I ponownie, już tylko do siebie: – Nie wolno.

Nie napotkali już więcej niedźwiedzi, ale w pewnym momencie Beckowi zdawało się, że coś dostrzega między drzewami – jakiś cień, który biegł susami nisko nad ziemią. Mimowolnie się uśmiechnął.

– Więc dotarłeś aż tutaj... – wymamrotał pod nosem.

Ich stary, dobry przyjaciel, duch wilka, znowu do nich dołączył.

A może to nie on? Może w tej części Alaski żyło tak dużo wilków, że co jakiś czas któryś z nich pojawiał się na ich drodze? Raczej niemożliwe, ale i tak bardziej prawdopodobne niż to, że to samo zwierzę towarzyszy im od momentu katastrofy i razem z nimi przeprawiło się przez rzekę i góry, przeżyło burzę śniegową, a potem biegło w dół rzeki. Mimo to Beck nie mógł się pozbyć uczucia, że wilk, tak jak oni, także wędruje w jakimś bardzo konkretnym celu.

– Co mówiłeś? – spytał Tikaani.

Beck uznał, że chłopiec przeszedł już prawdziwą szkołę życia i można mu powiedzieć.

– Przysięgłbym, że... – urwał w pół słowa.

Wilk zniknął, a Tikaani patrzył na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Nic – wymamrotał Beck. – Jak daleko jeszcze do Anakatu?

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Tikaani i w tym momencie las nagle się skończył.

Przez chwilę stali nieruchomo, nie dowierzając własnym oczom.

Przed nimi znajdowała się niewielka, kręta odnoga morza o stromych, skalistych brzegach, która dalej przechodziła w regularną zatokę. Na jej brzegu zaś leżał Anakat.

Beck w pierwszej chwili poczuł rozczarowanie. Z opisu Tikaaniego wynikało, że mieszkańcy żyją w namiotach ze skór i ogrzewają się przy ogniskach. Ale jak się okazało, nie byli aż tak przywiązani do tradycji. Beck uznał, że widocznie można je kultywować, a jednocześnie prowadzić w miarę wygodne życie. Jeśli w drewnianym domu jest cieplej niż w namiocie ze skór lub w igloo, to znaczy, że lepiej mieszkać właśnie w nim. Jeśli elektryczność daje więcej światła niż lampa naftowa, dlaczego nie używać żarówek? Mieszkańcy Anakatu korzystali z udogodnień współczesnego świata, ale nie pozwalali, aby decydowały one o ich życiu. Brali tylko to, co ułatwiało im egzystencję w śniegach dalekiej Północy według zwyczajów przodków.

Wioska składała się z drewnianych zabudowań. Z daleka wyglądały jak prostokątne domki dla lalek o spadzistych dachach, na których nie gromadził się śnieg. Każdy z nich wzniesiono na niskich, kamiennych filarach, aby chronić podłogę przed zimnem, i pomalowano na czerwono, zielono i niebiesko. Te nieco już wyblakłe kolory stanowiły jedyną ozdobę. Mieszkańcy zdecydowanie nie próbowali pod tym względem rywalizować między sobą. Pomiedzy chatkami wity się wysypane żwirem ścieżki. Nad brzegiem zatoki widać było ruszty do wędzenia ryb. Beck zauważył niewielki pomost, do którego przycumowano kilka łodzi; parę innych zmierzało do brzegu, kołysząc się na falach.

Chłopcy zeszli z boczem w stronę wioski. Beck usłyszał nagle dziwny dźwięk i rozejrzał się badawczo, skąd może pochodzić. Nie przypominał ani świstu wiatru, ani szumu morskich fal uderzających o brzeg, ani turkotu żadnej maszyny. Tak naprawdę nie przypominał żadnego odgłosu, jaki znał ze swojego świata...

I nagle, kiedy tak zbliżali się do zabudowań, przyszło olśnienie. Nie mógł go znać, bo był to dźwięk cizy. Głos świata, w którym nie ma samochodów, muzyki ani samolotów. Oczywiście spotykał się z nim już wcześniej, podczas wypraw w różne dzikie zakątki, ale za każdym razem zapominał o nim, gdy tylko wracał do cywilizacji.

Tym razem było inaczej. Anakat był miejscem odwiecznego spokoju, gdzie czas wydawał się stać w miejscu. Gdyby nie sfatygowany kombi zaparkowany obok jednego z domów i antena satelitarna, Beck mógłby przysiąc, że cofnął się w czasie co najmniej o dwa stulecia.

– Tam jest lądowisko – Tikaani wskazał miejsce po drugiej stronie wąskiej zatoczki, gdzie nieopodal drewnianego mostu rozciągał się kawałek płaskiego terenu i widać było powiewający na wietrze pomarańczowy rękaw lotniskowy. – To tam mieliśmy wylądować. A to jest mój dom.

Okazał się nim budynek z samochodem i anteną satelitarną. Poza tym niczym nie różnił się od innych chatek, pozbawionych ozdób i przypominających proste klocki, bez ganków i balkonów. Funkcję schodów wejściowych pełniły dwa betonowe bloczki, ułożone jeden na drugim. Drzwi były zamknięte, a okna sprawiały wrażenie bardzo szczelnych i solidnych. Ich ramy były drewniane, wykonane techniką z ubiegłych stuleci, ale Beck podejrzewał, że dom ten jest cie-

plejszy i bardziej przytulny niż większość nowoczesnych budynków wzniesionych na południe stąd.

Nagle drzwi się otworzyły i z domu wyszła kobieta. Miała na sobie dżinsy i czerwoną kurtkę w kratę. Rozmawiała podniesionym głosem z kimś, kto pozostawał nadal w środku, dlatego nie patrzyła przed siebie.

– Powiedz mu, żeby próbował przez radio... – mówiąc to, odwróciła się i stanęła jak wryta, a na jej szerokiej twarzy odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

– Cześć – powiedział speszony Tikaani, niepewnie unosząc rękę na powitanie. – Cześć, mammo.



ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Beck widział przed sobą morze głów zgromadzonych w sali, wypełnionej niemal po brzegi. Wpatrywało się w nich ponad dwieście par oczu osadzonych w twarzach o charakterystycznych inuickich rysach, które w zadziwiający sposób potrafiły jednocześnie wyrażać bierność i zainteresowanie.

– Nie można wywiesić jakiegoś ogłoszenia? – powiedział Beck szeptem do przyjaciela.

To nie był pierwszy raz, kiedy musieli od nowa opowiadać swoje przygody i zapewne nie ostatni, ale tym razem mieli zdecydowanie największą publiczność.

– Nie – mruknął pod nosem Tikaani. – Ani nie opiszemy tego na blogu – dodał z przekąsem.

Drewniana sala spotkań stanowiła osobliwe połączenie nowoczesności i tradycji. Oświetlały ją lampy elektryczne, a mrugające żarówki przypomniały Beckowi, że Tikaani opowiadał kiedyś o niezbyt stabilnym generatorze w wiosce. Podłogę stanowiła ubita na twardo ziemia, kolejny dowód na to, że tylko częściowo stosowano się tutaj do reguł współczesnego świata.

Mieszkańcy na wiele sposobów wyrażali swe przywiązanie do tradycji. Kiedyś, jak sądził Beck, spotkania takie jak to musiały odbywać się wokół wielkiego ogniska. Teraz wszyscy siedzieli kołem w kilku rzędach, zwróceniem twarzami do środka sali, gdzie przemawiał ojciec Tikaaniego, wódz Anakatu. Beck i Tikaani siedzieli tuż za nim.

Oczywiście wcześniej pozwolono im coś zjeść, umyć się i przebrać w czyste ubrania Tikaaniego, ale zabrakło już czasu na to, czego najbardziej brakowało Beckowi – na sen.

* * *

Od momentu, gdy pojawili się w domu Tikaaniego, wszystko potoczyło się szybko. Przekazanie najważniejszych informacji – że wuj Al jest ranny i potrzebuje pomocy – i określenie jego położenia zajęło im nie więcej niż pół minuty. Jeszcze zanim skończyli mówić, ojciec Tikaaniego złapał za telefon satelitarny – jedyny sposób kontaktu Anakatu ze światem zewnętrznym, nie licząc wrażliwej na zakłócenia radiostacji – i połączył się z kimś w Bethel. Było to najbliższe położone większe miasto, oddalone o około 150 kilometrów w górę wybrzeża.

Zaraz po tym Tikaani utonął w objęciach stęsknionej mamy, podczas gdy Beck stał z boku i zastanawiał się, jak to jest, kiedy się wraca do domu, w którym czekają rodzice. Zdołał się o tym częściowo przekonać, gdy mama Tikaaniego puściła wreszcie syna i serdecznie uściskała także jego. Tymczasem Tikaaniego zaczęła ścisnąć inna, o wiele starsza kobieta. Była niższa od niego, całkiem siwa, a jej twarz pokrywała gęsta siatka zmarszczek. Jak łatwo zgadnąć, była to jego babcia. Uścisnęła rękę podaną przez Becka, a jej pomarszczona twarz rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

Telefon zadzwonił, kiedy mama Tikaaniego przygotowywała im szybki posiłek złożony z gorącej zupy i bułek.

– To z Bethel – powiedział ojciec Tikaaniego, kiedy odłożył słuchawkę. – Wysłali po twojego wujka helikopter z lekarzem.

Po tych słowach Beck poczuł, jak opuszcza go adrenalina, która bezustannie krążyła mu w żyłach od momentu katastrofy.

Ponieważ byli bardzo głodni, Beck i Tikaani opowiadali dalej o swoich przygodach z ustami pełnymi zupy i pieczywa. Opisali przeprawę przez rzekę, wypadek Tikaaniego na zamrzniętym jeziorze i przejście przez szczelinę w lodowcu. W tym miejscu mama Tikaaniego przerwała im.

– Powinna o tym usłyszeć rada starszych – zwróciła się do męża.

– Oczywiście – przytaknął. – Ale najpierw muszą opowiedzieć wszystko mnie.

„Starszych?” – pomyślał Beck. Wyobraził sobie, że będą musieli opowiedzieć wszystko jeszcze raz garście nudnych starsuszków. Nie zdawał sobie wówczas sprawy, że oznacza to spotkanie twarzą w twarz z wszystkimi mieszkańcami wioski. Spojrzał tylko z krzywym uśmiechem na przyjaciela.

Ale Tikaani go nie odwzajemnił. Musiał wiedzieć.

– Sam zobaczysz – rzucił tylko.

Chłopcy snuli dalej swą opowieść, opisując rodzinie Tikaaniego, jak tracili już nadzieję, że kiedykolwiek uda im się odnaleźć przełęcz.

Słyszając te słowa, babka Tikaaniego wyprostowała się na krześle i po raz pierwszy przemówiła.

– Przełęcz Białego Wilka – powiedziała z przekonaniem w głosie. Po czym dodała, bardziej twierdząco niż pytająco. – To Tikaani ją znalazł.

– Tak, to on – potwierdził Beck.

Skinęła głową i zwróciła się do niego z uśmiechem.

– Wilki są strażnikami tych gór. Zimą i wiosną, kiedy śniegu jest najwięcej, Przełęcz Białego Wilka to jedyna droga, jaką można się przez nie przedostać. Ale jest tak dobrze ukryta, że mogą ją znaleźć tylko ci, którzy cieszą się względami wilków.

– Chyba tak – zgodził się niepewnie Beck.

Przypomniał sobie wilka – a może wilki? – który, jak mu się wydawało, towarzyszył im od początku wędrówki. Tak, teraz był w stanie uwierzyć, że cieszyli się względami wilków. I byli

pod ich ochroną.

Beck ponownie spojrzął na Tikaaniego, który odpowiedział mu wątlm uśmiechem. Wiedział, że jeszcze niedawno – nie dalej jak kilka dni temu – chłopiec wyśmiałby opowieści swojej babki i jej przywiązanie do starych legend. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Beck pewnie sam zachowałby się podobnie. Ale w Kolumbii poznał na własnej skórze skutki swego sceptycyzmu, a teraz to samo przytrafiało się Tikaaniemu. Jego przyjaciel w czasie wędrówki nauczył się szanować zwyczaje swych przodków, które uratowały im życie, i wraz z nimi zaakceptował co nieco z ich wierzeń.

Ale największa niespodzianka wciąż jeszcze była przed nimi.

– A nie mówiłam ci, synu? – tym razem stara kobieta zwróciła się do ojca Tikaaniego. – Kiedy miałeś nadać chłopcu imię, pytałeś, kto powinien być jego opiekunem, a ja powiedziałam, że...

– Tak, matko – zgodził się mężczyzna z łagodnym uśmiechem. – Tak właśnie było.

Beck spoglądał raz na jedno, raz na drugie, nie mając pojęcia, o czym mówią. W końcu spojrział pytająco na Tikaaniego.

– Moje imię oznacza wilka – wymamrotał chłopiec, z ustami pełnymi bułki. – Nie mówiłem ci?

Beck utkwił w nim wzrok z szeroko otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Nie – wykrztusił wreszcie. – Nie mówiłeś.

Tikaani wzruszył ramionami i przełknął kęs bułki. A potem nachylił się i powiedział ściszym głosem:

– Prawdę mówiąc, kilka razy wydawało mi się, że widzę wilka, ale miałeś tyle na głowie, że nie chciałem cię martwić.

* * *

Teraz ojciec Tikaaniego przemawiał do zgromadzonych na sali w języku będącym mieszaniną eskimoskiego i angielskiego. Na koniec odwrócił się z uśmiechem do chłopców i dał im znak, żeby wyszli na środek i zaczęli swoją opowieść. Tikaani położył rękę na ramieniu Becka.

– Ja to zrobię.

Beck wyczuł w głosie przyjaciela osobliwy ton. Zaintrygowany, obserwował, jak Tikaani robi krok do przodu i wznosi ramiona do góry.

– Jestem Tikaani, syn Kunuka, syna Panigoniaka. Wybaczcie, że mówię tylko w języku jankesów.

Tę ostatnią uwagę skierował do pierwszego rzędu, w którym siedzieli najstarsi mieszkańcy wioski. Każdy z nich, tak mężczyźni, jak kobiety, miał długie, siwe włosy i pooraną głębokimi bruzdami twarz. Niektórzy z nich prawie niedostrzegalnie skinęli głową Tikaaniemu, zupełnie jakby z pewną niechęcią zezwalali na to odstępstwo od tradycji. „Jest młody” – wydawały się

mówić ich twarze. – „Nic dziwnego, że zna tylko angielski. Ma czas, aby nauczyć się mówić jak należy”.

Tikaani rozpoczął opowieść od momentu, gdy zepsuł się silnik samolotu. Beck rozsiadł się wygodnie na krześle. Jak się okazało, Tikaani miał prawdziwy dar opowiadania. Potrafił oddać nastrój chwili i grozę każdej niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się znaleźli. W jego opowieści dało się wyczuć wyraźny rytm, który porywał słuchaczy. Była jak... – Beck próbował w myślach znaleźć odpowiednie słowo – jak pieśń.

I nagle zdał sobie sprawę, czego jest świadkiem. Dużo wcześniej, zanim to wszystko im się przydarzyło, kobieta pilotująca samolot wspominała o ustnych tradycjach Anakatu. To było właśnie to! Tikaani recytował część historii wioski. Ich przygody stanowiły ostatni rozdział książki – a właściwie audiobooka – w której opisano wydarzenia minionych stuleci. To nie była po prostu opowieść, lecz – używając współczesnych pojęć – podcast, a dostojni starcy w pierwszym rządzie pełnili rolę iPodów!

Beck siedział jak urzeczony. Zastanawiał się, czy Tikaani kiedykolwiek był świadomy, że potrafi tak opowiadać. Choć urodził się i wychował w Anakacie, chciał koniecznie odciąć się od swych korzeni. A teraz powrócił do nich tak łatwo, jakby nigdy się stąd nie ruszał. Dzisiaj spełniał swój obowiązek względem Anakatu. Poprzez wspólną wędrówkę, przeprawę przez góry i spływ tratwą po rzece obaj chłopcy stali się częścią historii wioski. Dlatego teraz powinni zapisać się w zbiorowej pamięci jej mieszkańców.

„A potem” – pomyślał Beck – „może będę się mógł wreszcie wypać...”.

* * *

Tikaani skończył opowieść, dochodząc do momentu, gdy znaleźli się przed drzwiami jego rodzinnego domu, ale nie usiadł. Pozostał na środku jeszcze przez chwilę, po czym uniósł głowę, aby wygłosić ostatnią kwestię.

– Dzięki Beckowi nauczyłem się, że moja ojczysta ziemia może mnie wyżywić i dać mi schronienie. Nauczyłem się szanować siły natury, nad którymi nie potrafię zapanować, i wykorzystywać te, które jestem w stanie kontrolować. Nauczyłem się także, że jeśli się z nimi walczy, mogą zabijać, ale gdy pozostajemy z nimi w harmonii, starając się je poznać i zrozumieć, potrafią zostać naszymi sojusznikami.

Po tych słowach na jego twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

– Wiem, że dla was to nie jest żadne odkrycie. Dla mnie też nie powinno być. Teraz to już wiem.

Powiedziawszy to, chłopiec usiadł na swoim miejscu wśród pomruków aprobaty i przytakiwań. Beck pomyślał, że zgodnie z tutejszymi zwyczajami najpewniej oznacza to aplauz publiczności. Nachylił się w stronę przyjaciela.

– Brawo – szepnął mu do ucha.

Tikaani spojrział na niego błyszczącymi oczyma.

– Dziękuję.

Po skończonym spotkaniu rodzina Tikaaniego i obaj chłopcy ruszyli wolno do domu. Zajęło im to dłuższą chwilę, gdyż co chwilę ktoś do nich podchodził, aby się przywitać i uściśnąć dłonie. Beck czuł, że ledwo powłóczy nogami po zwirowej ścieżce.

„Spać” – pomyślał. – „Chcę spać”.

Ale zanim to było możliwe, ojciec Tikaaniego ponownie połączył się z Bethel, aby dowiedzieć się czegoś na temat wyprawy ratunkowej. Kiedy odłożył słuchawkę, odwrócił się rozpromieniony w stronę Becka.

– Znaleźli Ala, z nim wszystko w porządku – oznajmił z szerokim uśmiechem. – W zasadzie czuje się tak dobrze, że mogą po drodze wpaść tutaj po ciebie. Będą za pół godziny.

* * *

Helikopter przeleciał nisko nad wioską jak ogromna metalowa osa, aż szyby zadrzały w oknach.

Beck, Tikaani, jego rodzice i chyba połowa mieszkańców udali się na lądowisko. Pęd powietrza wywołany obrotami wirnika wzbijał tumany piasku, który szczypał Becka w oczy. Chłopiec trzymał się z daleka do momentu, gdy usłyszał zmianę tonu silnika, co oznaczało, że wirnik wytraca prędkość. Mimo że helikopter wciąż jeszcze kręcił się nad ich głowami, Beck podbiegł do kabiny z opuszczoną głową i otworzył drzwi.

Wujek Al, nareszcie! Leżał na podłodze, na noszach, przykryty kocami, w towarzystwie ratownika. Do ramienia miał podłączoną kroplówkę, a jego twarz była kredowobiała, ale na widok chłopca na jego ustach natychmiast pojawił się ciepły uśmiech.

– Dziękuję, Beck! – jego głos ginął w cichnym ryku silnika, ale był mocny i pewny. – I tobie, Tikaani, również. Bardzo wam, chłopcy, dziękuję...

Beck nie czekał, aż dokończy, tylko dopadł go i uściśnął, jak tylko można najmocniej kogoś, kto leży na noszach.

– Dwie minuty – powiedział ostro sanitariusz. – Powinienem zabrać go prosto do szpitala. Zboczyliśmy z kursu tylko dlatego, że on za to płaci.

Dwie minuty! Chłopcy szybko spojrzeli na siebie. Tyle razem przeżyli, a teraz Beck miał zniknąć, tak po prostu. Oboje poczuli, że to nie w porządku. Nie można ot tak opuścić swojego przyjaciela.

Czasami jednak trzeba...

– Wrócisz, prawda? – powiedział niepewnym głosem Tikaani.

– Tak – odparł Beck, siląc się na uśmiech. – Pewnie, że wrócę. Przecież mamy razem zrobić film.

– I musisz mi oddać ubranie.

– To przede wszystkim.

Tikaani uśmiechnął się szeroko.

– No właśnie.

Ucisnął mu dłoń i szybko wyszedł z kabiny, aby dołączyć do swoich rodziców. Beck usiadł w fotelu, zapiął pasy i wyjrzał przez okno. Zobaczył pilota, który wyskoczył z kokpitu, aby sprawdzić, czy drzwi kabiny są dobrze zamknięte. Po chwili wrócił i uruchomił silnik. Beck pomachał przyjacielowi i maszyna uniosła się w górę, zostawiając za sobą Anakat.

Stopniowo coraz bardziej oddalali się od ziemi. Wioska i zatoka powoli wtapiały się w zielone morze jodeł. Góry, które jeszcze nie tak dawno ze wszystkich sił próbowały pozbawić życia Becka i Tikaaniego, były teraz jedynie malowniczym krajobrazem. Wszystko mieniło się w pełnym słońcu i Beck poczuł, jak jego powieki robią się coraz cięższe.

Nie chciał stracić z oczu Anakatu, ale w pewnym momencie mrugnął i nagle przestał widzieć wioskę. Gdzie się skryła? Udało mu się odszukać wzrokiem zatokę. Skupisko domów wyglądało już jak nieduża kropka. Najwyraźniej mrugnięcie trwało nieco dłużej, niż sądził. Czuł, że nie ma już sił walczyć z opadającymi powiekami, ale obiecał sobie, że i tym razem zamknie oczy tylko na moment...

Kiedy je ponownie otworzył, helikopter krążył już nad lądowiskiem szpitala w Bethel.



ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tikaani przeniósł ciężar ciała z drętwiejącej nogi na drugą, podczas gdy ekipa filmowa zajmowała pozycje.

Kamerzysta poprawił kamerę na ramieniu i ustawił ostrość na twarzy chłopca. Dźwiękowiec wysunął mikrofon na końcu długiej tyczki, tak by znajdował się tuż powyżej pola widzenia kamery. Prowadząca wywiad, pogodna trzydziestokilkuletnia Amerykanka Joanne uniosła rękę.

– Gotowy?

– Gotowy – potwierdził Tikaani.

Za jego plecami lśniła woda w wąskiej zatoczce. Nad powierzchnię morza co chwilę wyskakiwały orki, jakby pozdrawiając błękitne niebo powyżej. Widok był piękny, ale Beck, stojący w tłumie milczących gapiów po drugiej stronie kamery, wstrzymał oddech. To było już trzecie ujęcie końcówki wypowiedzi Tikaaniego. Za pierwszym razem ktoś kichnął, a za drugim chłopiec się przejęzyczył i jego słowa zabrzmiały niewyraźnie. Beck miał nadzieję, że teraz nagrania nie zniszczą dowodzące orki. Nie zdawał sobie sprawy, że zarejestrowanie zwykłego wywiadu może być aż tak skomplikowane.

– No to... jazda!

Tikaani uśmiechnął się do kamery.

– Chodzi mi o to – powiedział – że nikt by nie połamał na kawałki bezcennego obrazu, żeby zdobyć trochę drewna na opał, prawda?

Z początku mówił nieco sztywno. Nie był urodzonym aktorem. Ale stopniowo górę wzięły autentyczny gniew i pasja.

– Dlaczego więc – odwrócił się lekko, by wskazać ręką zatoczkę, Anakat i dziką przyrodę w głębi – mielibyśmy coś takiego robić tutaj?

Znów spojrział do kamery.

– Istnieją alternatywne paliwa. Energia ze źródeł odnawialnych. Tymczasem tego wszystkiego nie da się odnowić. Kiedy zostanie zniszczone, już na zawsze takie pozostanie.

– Cięcie! – zawołała Joanne. – Znakomicie, Tikaani. Wykorzystamy to. Pójdzie w wiadomościach o szóstej.

Tikaani wyszczerzył zęby i powolnym krokiem podszedł do Becka i Ala.

– Cześć, nieznanymi.

Minął tydzień, odkąd widzieli się ostatni raz. Wydawało się, że znacznie dłużej. Rozmawiali przez telefon, a nawet udzielali wspólnie wywiadu w sali konferencyjnej, ale nie mieli jeszcze okazji spokojnie spotkać się twarzą w twarz. Beck nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo się stęsknił za przyjacielem.

– Wyszło bardzo dobrze. Naprawdę świetnie – powiedział Al.

Co jak co, ale na występowaniu w telewizji wuj znał się doskonale. Beck widział, że ta pochwała dużo znaczy dla Tikaaniego.

– No tak – wymamrotał. – Nabieram wprawy. To wy przylecieliście jakieś dziesięć minut temu?

Beck i Al dopiero co dotarli do Anakatu helikopterem. Tikaaniego nietrudno było znaleźć. Wystarczyło podążyć za ekipami telewizyjnymi.

– To my – potwierdził Beck i Tikaani znów się szeroko uśmiechnął.

– Przerwaliście mi wywiad dla CBS.

– Kurczę, przepraszam – odparł Beck.

Ruszyli powoli w stronę wioski. Al lekko kuśtykał, podpierając się laską.

– Z wami też robili wywiad w Bethel? – spytał Tikaani.

– Tak. Rozmawiałem z pięcioma czy sześcioma reporterami – potwierdził Beck.

Ale to Tikaani stał się prawdziwą gwiazdą, jego twarz pokazywano niemal we wszystkich wiadomościach. Czyżby nie widział Becka w telewizji? No jasne, nie mógł widzieć. Przecież cały ten tydzień spędził w Anakacie, a tu nie ma telewizorów.

– A kiedy się zjawi wasza ekipa filmowa? – spytał Tikaani.

– Po południu – odparł Al. – W końcu nakręcimy ten dokument. Choć prawdę mówiąc, chyba już będzie niepotrzebny.

Przez moment Tikaani wyglądał jak rażony piorunem.

– Jak to niepotrzebny? Dlaczego? – aż pobałd z wrażenia.

– Bo wygląda na to, że Anakat ma już swojego rzecznika.

Tikaani zmarszczył brwi.

– Kogo? Znaczący... – zrobił wielkie oczy i zarumienił się. – Niby mnie?

Beck uśmiechnął się. Wuj Al już mu to wszystko wyjaśnił, kiedy lecieli helikopterem.

Z punktu widzenia reporterów fatalnie się złożyło, że chłopcy nie zostali razem. Trudniej ich było wypytywać o wspólne przygody, choć i tak w prasie pojawiły się sensacyjne nagłówki w rodzaju: MŁODZI BOHATEROWIE RATUJĄ WUJA!

* * *

Ale stało się coś bardzo ciekawego. Być może dlatego, że dziennikarze przybywający do Anakatu zastali tam tylko Tikaaniego, to na nim skupili uwagę. W każdym wywiadzie telewi-

zyjnym chłopiec wspominał o planach zniszczenia tego zakątka Alaski, związanych z wydobywaniem w nim ropy naftowej. Wyglądało na to, że wszyscy interesują się teraz bardziej tym wątkiem niż dramatyczną przeprawą chłopców przez góry.

– Jesteś młodym Amerykaninem i młodym Anakiem – tłumaczył mu Al. – Należysz do obu tych światów, rozumiesz je i sprawiasz, że łatwiej im się nawzajem zrozumieć. Od tygodnia to robisz i świetnie ci idzie. Stałeś się autentycznym rzecznikiem Anaków i obrońcą przyrody.

Tikaani jeszcze bardziej się zarumienił.

– Ale ja... wcale nie chcę nim być. Chciałbym tylko... – machnął ręką w bliżej niesprecyzowanym geście – uratować Anakat.

– Bez obaw, to się szybko skończy – uśmiechnął się Al. – Media szybko się nudzą swoimi ulubieńcami. Ale na razie robisz mnóstwo dobrego. I jeszcze zdążysz zrobić.

– Czy to wystarczy, żeby powstrzymać Lumos? – spytał Beck.

Wuj Al wzruszył ramionami.

– Kto wie? Kto wie?

* * *

Kiedy dotarli do domu Tikaaniego, zastali tam jego tatę z telefonem satelitarnym w dłoni.

– To do pana, panie profesorze – powiedział. – Dzwoni pański producent.

– James? – Al zmarszczył brwi. – Czego on może chcieć? W tej chwili powinien już tu lecieć helikopterem – wziął telefon. – James? Tu Al. O co chodzi?

Chwilę słuchał w milczeniu.

– Co takiego? Kto tak powiedział...? Dobrze...

Prześlizgnął się spojrzeniem po chłopcach i odwrócił się, jakby szukał prywatności i przeszkadzało mu to, że stoją dwa metry od niego.

– Możesz to potwierdzić...? Nie możesz? Dobrze. Tak. Dobry pomysł... Znakomicie. Zajmę się tym. Na razie.

Rozłączył się i stał przez chwilę zamyślony, z zachmurzoną twarzą. Potem wyjął z kieszeni notatnik, usiadł i zaczął pisać.

– Zróbcie coś dla mnie, chłopcy – powiedział. Wydarł kartkę z notesu, złożył ją i wręczył Beckowi. – Możecie szybciej biegać niż ja. Oddajcie to tej sympatycznej pani, z którą przed chwilą rozmawiał Tikaani. To może być w interesie nas wszystkich.

Beck wziął kartkę, a jego mina zdradzała, że korci go, by zadać jakieś pytanie. Al przeszył go wzrokiem.

– Lećcie!

Chłopcy wybiegli z chaty.

Ekipa telewizyjna pakowała już sprzęt, tam gdzie ją zostawili. Joanne nagrywała jeszcze swoje pytania, żeby podczas montażu można było przepleść wypowiedzi Tikaaniego.

– Cześć – powitała ich szerokim uśmiechem, gdy zziązani stanęli obok niej. – Gdzie się pali? – spytała.

Uśmiechnęli się tylko i Beck wręczył jej kartkę.

– Od mojego wuja – wyjaśnił.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Od Alana Grangera? Proszę, proszę. Może chce mnie zaprosić na randkę? – rozłożyła kartkę, rzuciła na nią okiem i zeszywniała. Przeczytała wiadomość jeszcze raz, wolniej i uważniej.

– Wicie, co tu jest napisane?

Potrząsnęły głowami, a Joanne uśmiechnęła się szelmowsko.

– Dobrze! – odwróciła się i zawołała kogoś ze swej ekipy. – Dave! Daj mi tu szybko telefon satelitarny. A wy zaczekajcie. Wujek prosi, żebym coś sprawdziła przez swoje kontakty i być może będę musiała mu przekazać odpowiedź.

O cokolwiek miała zapytać przez telefon, zrobiła to tak, że nic nie usłyszeli, jedynie widzieli, że co chwilę na nich zerka. Becka zaczynało to wszystko irytować.

Ale po pięciu minutach najwyraźniej uzyskała odpowiedź.

– I to jest pewne? – zapytała rozmówcę. – Na sto procent? Dałbyś sobie głowę uciąć?... Jestem ci bardzo zobowiązana. Bardzo... Dobrze. Zarezerwuj mi dwie minuty w wieczornym wywiadu... Na razie.

Rozłączyła się i odwróciła do ekipy.

– Kamera! Mikrofon! – zawołała. – Tutaj! Pośpieszcie się! A wy stańcie tam, gdzie przedtem stał Tikaani.

– Będzie pani robić z nami jeszcze jeden wywiad? – w głosie Tikaaniego nie było entuzjazmu.

– Jasne! Zaraz się dowiesz...

Skołowani tym wszystkim chłopcy stanęli obok Joanne, plecami do morza i twarzami do kamery. Operator dał znak i dziennikarka zaczęła mówić do mikrofonu.

– Znajduję się właśnie w Anakacie razem z Tikaanem i Beckiem, których przygody relacjonowaliśmy państwu w ostatnich dniach. Chciałabym im przekazać wiadomość, jaką właśnie uzyskałam.

Obróciła się do chłopców z radosnym uśmiechem.

– Więc co powiecie na najświeższe doniesienia o tym, że koncern Lumos Petroleum zrezygnował z planów wydobywania ropy naftowej w Anakacie?

Później spotkali się jeszcze w domu Tikaaniego z ekipą, która przybyła, by nakręcić film dokumentalny wuja Ala. Producent przywiózł ze sobą niepublikowane jeszcze oświadczenie prasowe, będące źródłem pogłoski o tym, że Lumos Petroleum zmienił plany co do Anakatu. Usiedli wszyscy przy stole w głównym pokoju i Beck zaczął czytać.

„Rzecznik prasowy potwierdził, że koncert brał pod uwagę kilka ewentualności, z których jedną była budowa rafinerii i przesiedlenie Anaków, mieszkańców spornych terenów. Jak oświadczył, plany te są już nieaktualne, ponieważ zdaniem geologów okolice Anakatu nie kryją wystarczająco bogatych złóż...” – Beck urwał.

Radość walczyła w nim z gniewem. Radość, że dzięki Tikaaniemu – a także staraniom wuja Ala i tylu innych ludzi – kampania przyniosła rezultaty. Gniew, że zawsze się znajdzie jakaś wymówka.

– Przecież to kłamstwo! Byli absolutnie zdecydowani rozpocząć tu wiercenia! – wykrzyknął.

– Oczywiście, że tak – Al łagodnie wyjął mu z rąk kartkę i szybko przebiegł ją wzrokiem.

Beck niemal widział, jak wuja ogarnia błogie zadowolenie.

– Ale co mieli powiedzieć? „Przyznajemy, że z powodu zamieszania, jakie narobili dwaj młodzi bohaterowie, realizacja tych planów zaszkodziłaby wizerunkowi koncertu”? Od tego mają dobrze opłacanych fachowców, żeby wymyślali, jak wyjść z twarzą z takich kłopotów.

– To prawda – zgodził się Beck. – Ale pozostał niesmak. Naprawdę chcieli zbudować rafinerię. Przegrali bitwę. Czemu nie mogli tego przyznać?

– Beck, wygraliśmy – powiedział cicho Al. – A ściślej: wygraliśmy tym razem. Bo takich bitew będzie jeszcze wiele. I kto wie, może kiedyś nakręcą o was dwóch film. Na razie, jak to się mówi w waszym pokoleniu, jest po sprawie.

– Tak – odparł wesoło Beck. Wuj Al miał dość mgliste wyobrażenie o tym, jak mówią współczesne nastolatki. – Dokładnie tak: jest po sprawie.

Al zamknął oczy i odchylił się na krześle.

– Muszę trochę odpocząć, chłopcy. Idźcie się pobawić.

* * *

Przeszli główną ulicą w Anakacie do sali, w której Tikaani tydzień temu przemawiał do wszystkich mieszkańców, i gdzie teraz trwała zabawa.

– Udało nam się – westchnął.

– No – przytaknął lakonicznie Beck.

Więcej nie musieli mówić. I bez tego było co świętować.

– Film, tak? – zadumał się Tikaani.

Beck chrząknął.

– Hmm. Przydałaby się jeszcze w obsadzie jakaś dziewczyna. Żeby się pojawił element romansu.

– Mówisz serio? – Tikaani spojrział na niego z zaskoczeniem. – Dobra. Z tym że to ja ją zdo-
będę.

– Chyba śnisz – odparował Beck.

Tikaani roześmiał się.

Szli dalej, rozbawieni. Sensacyjna wiadomość o Lumos Petroleum najwyraźniej się już roze-
szła. Z sali spotkań dobiegała muzyka i śmiechy.

I wtedy kątem oka Beck dojrzał jakiś ruch między drzewami na skraju wioski. Tuż przy zie-
mi przemknął jakiś cień.

Tikaani chwycił Becka za ramię i wytężył wzrok.

– Widziałeś to?

– No – Beck patrzył w tym samym kierunku, potem się uśmiechnął i odwrócił wzrok. – Wilki
wciąż cię obserwują, Tikaani.

– Tak... – spoglądał w zamyśleniu na las. – Ciekawe, o co im chodzi?

Zamilkł na chwilę, po czym przeniósł wzrok na drogę.

– W razie czego wiedzą, gdzie mnie szukać. Jestem w domu.

SPIS TREŚCI:

Karta tytułowa	
Karta redakcyjna	
O Autorze	
Dedykacja	
Rozdział pierwszy	
Rozdział drugi	
Rozdział trzeci	
Rozdział czwarty	
Rozdział piąty	
Rozdział szósty	
Rozdział siódmy	
Rozdział ósmy	
Rozdział dziewiąty	
Rozdział dziesiąty	
Rozdział jedenasty	
Rozdział dwunasty	
Rozdział trzynasty	
Rozdział czternasty	
Rozdział piętnasty	
Rozdział szesnasty	
Rozdział siedemnasty	
Rozdział osiemnasty	